

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

TARA
ISABELLA
BURTON

OBSESJA

Proza Burton elektryzuje, a jej postaci – olśniewają.
Ta książka Was pochłonie.

Danya Kukafka, autorka powieści
Dziewczyna na karuzeli

TARA
ISABELLA
BURTON

OBSESJA

The title 'OBSESJA' is rendered in a large, bold, black sans-serif font. The letters are partially obscured by two white feathers, one positioned behind the 'S' and another behind the 'J'. The text is surrounded by several black ink splatters and dots, creating a graphic, artistic effect.

Przełożyła Magdalena Słysz

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *Social Creature*

Redakcja: Mirosław Grabowski

Korekta: Jacek Ring, Beata Wójcik

Projekt okładki: Kav Studio Pola Rusiłowicz

Zdjęcie na okładce: Olena Zaskochenko/ Shutterstock

Copyright © 2018 by Tara Isabella Burton

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca 2019

Translation copyright © 2018, Magdalena Słysz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-690-6

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 2519; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)

[Podziękowania](#)

*Brianowi –
który od początku towarzyszył mi podczas tej przygody*

Zabierając Louise na pierwsze przyjęcie, Lavinia każe jej włożyć jedną z własnych sukienek.

– Znalazłam ją na ulicy – mówi. – Jest z lat dwudziestych.

Może i tak.

– Ktoś ją po prostu tam zostawił. Uwierzysz w to?

Louise nie wierzy.

– Pewnie po prostu wyrzucił do śmieci. – Lavinia wydyma usta. Pociąga je szminką. – Tak to właśnie jest z ludźmi. Nie rozumieją znaczenia przedmiotów.

Poprawia Louise kołnierzyk. Związuje jej w pasie szarfę.

– W każdym razie gdy tylko ją zobaczyłam... Chryste Panie! Miałam ochotę... miałam ochotę uklęknąć, wiesz? I ucałować ziemię... czy to ogólnie katolicy całują ziemię, czy tylko marynarze? Tak czy owak chciałam w tamtym miejscu przytknąć usta do chodnika, z przyklejoną czyjaś gumą do żucia, i powiedzieć: „Dzięki Ci, Boże, że coś jeszcze na tym świecie ma sens”.

Pudruje Louise policzki. Nakłada na nie róż.

Nie przestaje mówić.

– Bo... to się, do cholery, tak idealnie składa, no nie? W jednym z tych bloków z piaskowca w East Village umiera czyjaś babka czy

ciotka, której od dwudziestu lat nikt nie odwiedzał, więc wyrzucają jej manele na ulicę, a tu o zachodzie słońca... idę sobie akurat Dziewiątą Wschodnią i znajduję to! Ta stara kobieta i ja... nie mogłyśmy się poznać, ale przeżywamy dwie piękne, romantyczne noce w tej samej sukience, jedna dziewięćdziesiąt lat po drugiej... Och, Louise, nie czujesz tego zapachu?

Podsuwa Louise koronkę pod nos.

– Mając na sobie coś takiego – ciągnie – można się zakochać.

Louise wciąga w nozdrza powietrze.

– I wiesz, co zrobiłam?

Kredką do brwi Lavinia rysuje Louise pieprzyk.

– Rozebrałam się do bielizny... nie, kłamie. Zdjęłam także stanik. Zdjęłam wszystko, włożyłam tę sukienkę, swoją zostawiając na ulicy, a potem szłam pieszo przez całą noc, do samego rana, aż na Upper East Side!

Zapina Louise guziki.

I się śmieje.

– Trzymaj się mnie – kwituje – a obiecuję... będą ci się zdarzały niesamowite rzeczy. Tak jak zdarzają się mnie.

Układa Louise włosy. Początkowo próbuje je zmierzwić, nastroszyć jak swoje. Ale są zbyt cienkie, zbyt proste, więc upina je w ciasny, gładki kok.

– Dobrze – ocenia. – Wyglądasz pięknie. Nie mogę tego znieść. Mam ochotę cię zabić. Zróbmy sobie zdjęcie.

Wyjmuje telefon. Wybiera opcję lustrzanego odbicia.

– Stańmy na tle pawich piór – komenderuje.

Louise ustawia się posłusznie.

– Zapozuj.

Louise nie umie.

– Och, proszę. – Lavinia macha telefonem. – Każdy potrafi pozować. No wiesz, ramiona do tyłu. Głowa trochę na bok. Wyobraź sobie, że jesteś gwiazdą niemego kina. Dobrze... nie, nie, broda niżej. O tak.

Przesuwa podbródek Louise trochę w dół. I cyka fotkę.

– Ostatnia jest całkiem niezła – komentuje. – Dobrze na niej wyglądamy. Wstawię ją na Facebooka. – Zwraca komórkę wyświetlaczem w stronę Louise. – Który filtr wolisz?

Louise nie rozpoznaje samej siebie.

Ma elegancką fryzurę. Ciemne usta. Zaznaczone kości policzkowe. Kocie oczy ze sztucznymi rzęsami. Jest w sukience typu flapper. Wygląda jak nie z tej epoki. W ogóle nie sprawia wrażenia prawdziwej.

– Do tego jeszcze papieros. Dzięki niemu kości policzkowe stają się bardziej wydatne. Boże... spójrz na siebie! Spójrz. Tylko. Na. Siebie. Jesteś piękna.

Lavinia podpisuje zdjęcie: „Dwie gorszycielki”.

Louise uważa, że to bardzo dowcipne.

Myśli: „Nie jestem sobą”.

„Dzięki Bogu – myśli. – Dzięki Bogu”.

Jadą do Chelsea taksówką. Za kurs płaci Lavinia.

Jest sylwester. Znają się od dziesięciu dni. To było dziesięć najlepszych dni w życiu Louise.

Zwykle jej dni wyglądają inaczej.

Wyglądają tak.

Louise się budzi. I natychmiast tego żałuje.

Możliwe, że: Louise się nie wyspała. Jest baristką w barze kawowym, wieczorem zamieniającym się w bar z winem, prowadzi stronę internetową sklepu GlaZam, w którym sprzedają tanie podróbki markowych torebek, a do tego pracuje jako korepetytorka przygotowująca do egzaminów na zakończenie szkoły średniej. Jeśli musi gdzieś się stawić o określonej porze, nastawia budzik z co najmniej trzygodzinnym zapasem, bo mieszka daleko, w Sunset Park, dwadzieścia minut marszu do stacji linii R, w tej samej podejrzanej, zakaruluszonej dziurze, w której tkwi od prawie ośmiu lat, a do tego metro przez połowę czasu nie kursuje. Kiedy raz na parę miesięcy dzwonią do niej rodzice, nieodmiennie pytają, dlaczego nie chce wrócić do New Hampshire, gdzie na przykład ten miły Virgil Bryce jest kierownikiem miejscowej księgarni i stale pyta o jej nowy numer. I Louise nieodmiennie się rozłącza.

Staje na wadze. Ma okres, więc waży pięćdziesiąt dwa kilogramy. Starannie się maluje. Ściąga brwi. Sprawdza odrosty. Zagląda na swoje konto bankowe (sześćdziesiąt cztery dolary i trzydzieści trzy centy). Korektorem pacykuje „niedoskonałości” cery.

Spogląda do lustra.

„Dziś – mówi głośno (psychoterapeutka, do której kiedyś chodziła, powiedziała jej, że zawsze lepiej jest wypowiadać takie rzeczy na głos) – jest pierwszy dzień reszty twojego życia”.

Zmusza się do uśmiechu. To też zaleciła jej terapeutka.

Louise pokonuje spacerem tę dwudziestominutową drogę do metra. Ignoruje zboczeńca, który jak co rano chce wiedzieć, jak pachnie jej cipka, choć to być może jedyny człowiek na świecie, z którym regularnie się styka. Podczas jazdy na Manhattan patrzy na swoje odbicie w ciemnych szybach kolejki. Dawniej, kiedy była pewna, że przejdzie do historii jako Wielka Pisarka, nosiła przy sobie notes i w środkach komunikacji pisała opowiadania, ale teraz jest na to zbyt zmęczona, a poza tym raczej nie zostanie pisarką; czyta więc w telefonie szmirowate artykuły z „Misandry!” i czasami przygląda się współpasażerom. (Louise lubi przyglądać się ludziom; działa to na nią uspokajająco; jeśli odpowiednio długo skupiasz się na cudzych wadach, mniej przejmujesz się własnymi).

Louise idzie parzyć kawę, zarządzać stroną GlaZam albo udzielać korepetycji.

Najbardziej lubi pracę korepetytorki. Kiedy mówi ze starannie wyćwiczonym akcentem, upina w kok starannie zafarbowane blond włosy i daje do zrozumienia, że chodziła do szkoły w Devonshire w New Hampshire, zarabia osiemdziesiąt dolarów za godzinę, a do tego ma satysfakcję, że kogoś zwiodła. Gdyby rzeczywiście uczyła się w Devonshire Academy, prywatnym liceum z internatem, a nie w zwykłym ogólniaku Devonshire High, dostawałaby dwieście pięćdziesiąt dolarów, ale rodzice, którzy są w stanie wyłożyć podobną sumę, skrupulatnie sprawdzają takie fakty.

Większość ludzi jednak nie zadaje sobie tego trudu. Jako szesnastolatka Louise wychodziła wcześniej z domu i jadła w Academy śniadanie, a potem obiad. Przez nikogo niezauważona

stołowała się tam trzy miesiące, obserwując otoczenie; potem zresztą dowiedziała się o tym tylko jej matka i gdy wreszcie pozwoliła jej wychodzić z domu, Louise zaczęła czatować z Virgilem Bryce'em, który nie lubił, żeby bywała gdziekolwiek bez niego.

Louise kończy pracę.

Kilka razy spogląda do lusterka w telefonie, głównie po to, aby się upewnić, że wciąż istnieje. Wchodzi na Tindera, chociaż rzadko kiedy komukolwiek odpowiada. Był jeden facet, który online sprawiał wrażenie feministy, ale w realu okazał się tyranem; i drugi, mający dziwne skłonności, kto wie, czy nawet nie uciekał się do przemocy; i jeszcze inny, naprawdę świetny, który jednak po dwóch miesiącach nagle się ulotnił. Czasami Louise się zastanawia, czy nie umówić się z kimś nowym, ale to potencjalnie kolejna sprawa, którą mogłaby zawalić.

Od czasu do czasu, jeśli w danym tygodniu dostała wypłatę, Louise chodzi do jakiegoś naprawdę dobrego baru: przy Clinton albo Rivington, albo na Upper East Side.

Zamawia najlepszego drinka, na jakiego ją stać. (Louise w ogóle nie stać na picie, ale nawet ona raz na jakiś czas zasługuje na coś dobrego). Sący go wolno, bardzo wolno. Jeśli nie jadła obiadu (a nigdy nie jada), alkohol działa na nią mocniej, co przynosi ulgę, bo gdy Louise się upija, zapomina o nieulegającym wątpliwości fakcie, że pewnego dnia wszystko zawali, o ile jeszcze tego nie zrobiła: straci wszystkie prace naraz i zostanie wyeksmitowana z mieszkania, przytyje z dziesięć kilogramów, bo jest zbyt

zmęczona, żeby ćwiczyć, a wtedy nawet zboczeniec nie będzie chciał jej przelecieć, dostanie raka krtani od tego ciągłego zmuszania się do wymiotów albo jeszcze rzadszego i mniej znanego nowotworu spowodowanego przez obsesyjne rozjaśnianie włosów w łazience bez wentylacji, odblokuje Virgila Bryce'a w mediach społecznościowych czy wpakuje się w inny związek, w którym poznany na Tinderze mężczyzna, z pozoru miły, zechce ją zbawić albo udusić, a ona będzie robić, co on jej każe, ponieważ innym sposobem zaważenia sprawy jest umrzeć samotnie.

Louise czeka, aż wytrzeźwieje (być samotną pijaną kobietą w Nowym Jorku nocą to jeszcze inny niezawodny sposób, żeby wszystko schrzanić), a potem wraca metrem do siebie i chociaż nie używa już notesu, to jeśli jest jeszcze na tyle zawiana, aby nie obawiać się bliskiej apokalipsy, obiecuje sobie, że następnego dnia, gdy będzie troszkę mniej zmęczona, napisze opowiadanie.

Podobno jeśli nie udało ci się w Nowym Jorku do trzydziestki, to już nigdy się nie uda.

Louise ma dwadzieścia dziewięć lat.

Lavinia – dwadzieścia trzy.

Oto jak się poznały.

Siostra Lavinii, Cordelia, ma lat szesnaście. Uczy się w szkole z internatem w New Hampshire – nie w Devonshire Academy, ale w jednej z konkurencyjnych placówek. Przyjeżdża do domu na ferie bożonarodzeniowe. Ich rodzice mieszkają w Paryżu. W Księgarni na Rogu, przy Dziewięćdziesiątej Trzeciej i Madison, w której mieszkająca o wiele dalej Louise od trzech lat załapuje się na

darmowego świątecznego szampana – chce wypić za friko i popatrzeć, jak szczęśliwe i bogate rodziny są szczęśliwe i bogate –

Lavinia znajduje jedną z jej ulotek reklamowych: „Potrzebujesz korepetytora, który przygotuje cię do egzaminów na zakończenie szkoły średniej? Możesz go mieć już dziś!”.

– Obawiam się, że niewiele wiem – mówi przez telefon. – Ale Cordy jest bardzo inteligentna. A ja na pewno ją zepsuję... chyba że ktoś mnie powstrzyma. Wie pani, co mam na myśli. Dobry wpływ. Jest tu na tydzień, bo potem wyjeżdża na Boże Narodzenie do Paryża. Obejrzałyśmy już wszystkie filmy Bergmana, jakie tylko są w domu, i skończyły mi się pomysły, czym ją zająć, żeby nie szwendała się po mieście. Zapłacę. Ile kosztuje coś takiego? Proszę powiedzieć.

– Sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę – odpowiada Louise.

– Zgoda.

– Zacznę dziś wieczór – proponuje Louise.

Lavinia zajmuje połowę piętrowego kamienicy z piaskowca przy Siedemdziesiątej Ósmej, między Park a Lex. Kiedy Louise staje przed drzwiami frontowymi, przez otwarte okno dochodzą głośne dźwięki opery. Lavinia, fałszując, śpiewa do wtóru. Louise nie musi więc patrzeć na przyciski domofonu, aby się domyślić, że mieszka ona na pierwszym piętrze.

W skrzynkach na oknach są kwiaty. Wszystkie zwiędły.

Lavinia staje na progu w czarnej sukience bez rękawów, całej z piór. Włosy ma do pasa. Są potargane, szorstkie, nieczesane od wielu dni, ale w takim odcieniu blond, jaki Louise stara się

osiągnąć, eksperymentując z farbami przez całe godziny, tyle że ten jest naturalny. Nie jest wysoka, ale szczupła (trudno ocenić, jak szczupła, bo nie pozwalają na to pióra), i patrzy na nią tak intensywnie, że Louise instynktownie cofa się o krok, wpadając na wazon ze zwiędłymi liliami.

Lavinia nie zwraca na to uwagi.

– Dzięki Bogu, że pani jest – mówi.

Cordelia siedzi przy stole w jadalni. Włosy ma zaplecione w długi gruby warkocz, zwinięty i upięty. Nie odrywa wzroku od książki.

Na ścianach wiszą antyczne wachlarze i haftowany złotą nicią kaftan. Na głowie manekina, którego rysy zaznaczone są szminką, tkwi pudrowana peruka, a na wszystkich płaskich powierzchniach w pokoju stoją oprawione w pordzewiałe ramki art nouveau karty tarota – Papieżycy, Wieża, Głupiec. Same ściany są w królewskim, wręcz oślepiającym odcieniu niebieskiego, oprócz gzymsów, które właścicielka mieszkania pomalowała na złoto.

Lavinia cmoka Louise w oba policzki.

– Proszę dopilnować, żeby o dziesiątej poszła do łóżka – rzuca i wychodzi.

– To w jej stylu. – Cordelia wreszcie unosi głowę. – Nie jest wcale taka niedelikatna – komentuje. – Po prostu ma specyficzne poczucie humoru. Myśli, że to zabawne, kiedy tak się ze mną drażni. I z panią.

Louise nie odpowiada.

– Przepraszam – podejmuje Cordelia. – Już zaczęłam się uczyć. –

Jej uniesione w kącikach usta drgają.

Parzy dla Louise dzbanek herbaty.

– Może być czekoladowo-waniliowa albo orzechowo-cynamonowo-gruszkowo-kardamonowa – wyjaśnia. – Vinny nie ma zwyczajnej herbaty.

Napar podaje w imbryku o zawiłym wzorze. („Jest z Uzbekistanu” – tłumaczy. Louise nie może się połapać, czy to ma być żart). Stawia go na tacy.

Zapomina o łyżeczce, ale w cukierniczce jest już jedna. Po drugiej filiżance Louise uświadamia sobie, że jeżeli zamiesza nią herbatę, łyżeczka będzie mokra i przyklei się do niej cukier. Jeśli jej nie zamoczy, cukier opadnie na dno filiżanki.

Popija więc nieosłodzoną herbatę. Przez chwilę zastanawia się, czyby nie poprosić o drugą łyżeczkę, ale na myśl o tym zaczyna się denerwować, więc nic nie mówi.

Omawiają zagadnienia językowe z testu dla uczniów szkół średnich: jaka jest różnica między słowami: lewitacja, lewizna, lewicowy. Potem przechodzą do matematyki: trójkąty pitagorejskie, figury na płaszczyźnie. Cordelia poprawnie odpowiada na wszystkie pytania.

– Pójdę na Yale – wyznaje, jakby to była jedynie kwestia decyzji.

– A dyplom będę robić na uniwersytecie papieskim w Rzymie. Zostanę zakonnicą. – A potem rzuca: – Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że się z pani nabijam. Nie powinnam. To znaczy... chciałabym zostać zakonnicą. Ale mimo wszystko.

– Nic się nie stało – odpowiada Louise.

Wypija kolejną filiżankę gorzkiej orzechowo-cynamonowo-gruszkowo-kardamonowej herbaty.

– Mam wyrzuty sumienia – ciągnie Cordelia. – Że zatrzymuję tu panią. Tak naprawdę nie potrzebuję korepetycji. Proszę się nie przejmować... Bardzo się pani stara. Tylko że... znam już to wszystko. – Wzrusza ramionami. – Może Vinny chce, żeby była pani moją niańką. Tyle że... nie wróci na dziesiątą.

– Wszystko w porządku – odpowiada Louise. – Możesz pójść spać, kiedy zechcesz.

– Nie o to chodzi. – Cordelia uśmiecha się blado. – To Vinny ma forszę, żeby pani zapłacić.

Cordelia i Louise siedzą w milczeniu na kanapie aż do szóstej rano. Dziewczyna wkłada szlafrok pokryty kocią sierścią (choć kota nigdzie nie widać) i czyta papierową wersję *Apologia pro vita sua* Henry'ego Newmana. Louise przegląda w telefonie zapowiedzi artykułów w „Misandry!”.

Jest bardzo zmęczona, ale bardziej niż snu potrzebuje czterystu pięćdziesięciu dolarów.

Lavinia wraca do domu o świcie, cała w piórach.

– Strasznie, strasznie przepraszam! – woła. Potyka się o próg. – Oczywiście zapłacę pani za ten cały czas. Za każdą godzinę. Każdą. Przytrząskuje sobie drzwiami spódnice. Która się rozdziera.

– Rany boskie.

Powietrze przecinają spadające pióra.

– „Wszystkie, co, wszystkie piękne me pisklęta!” – wykrzykuje Lavinia. Opada na kolana. – „I matkę razem w tve chwyciłeś

szpony?”¹

– Pójdę po wodę – odzywa się Cordelia.

– To zły znak! – Lavinia przewraca się ze śmiechem, trzymając w dłoni czarne pióro. – Zapowiedź śmierci!

Louise wygarnia zbłąkane pióra spod drzwi.

– Nie, proszę tego nie robić! Niech tam leżą!

Lavinia chwyta ją za nadgarstki i pociąga.

– Zakończyła życie w godny sposób. – Czka. – Ta sukienka... poległa na polu bitwy. – Jej włosy rozsypują się na podłodze, sięgając aż do przerobionego na stolik kawowy kufra z parowca. – I co to była za bitwa. Och... proszę mi przypomnieć, jak ma pani na imię.

– Louise.

– Louise! – Lavinia znowu pociąga ją za nadgarstek, ale żartobliwie. – Jako Lou Salomé.

Louise nic to nie mówi.

– Przeżyłam właśnie wspaniałą, najwspanialszą noc w swoim życiu. Jedną z tych nocy. Rozumiesz?

Louise uśmiecha się uprzejmie.

– Nie rozumiesz?

Louise się waha.

– Znowu uwierzyłam, Louise! – Lavinia przymyka oczy. – W Boga. I chwałę. W miłość i czarodziejski pył... Boże, uwielbiam to miasto.

Cordelia stawia szklanę wody na kufrze.

Jednak Lavinia wspina się na kanapę. Piękna, mroczna i świetlista jednocześnie. Louise nie wie, co zrobić albo powiedzieć,

żeby tamta ją polubiła, jest jednak bystrą obserwatorką i wyczuwa, czego komu potrzeba i tak dalej, więc jak zwykle znajduje klucz.

– Mogę ją naprawić.

Lavinia siada.

– Co naprawić?

– To tylko rąbek. Mogę go zszyć. Masz igłę i nici?

– Igłę i nici? – Lavinia spogląda na Cordelię.

– W moim pokoju – podpowiada dziewczyna.

– Naprawdę potrafisz to zszyć?

– Chyba że... nie chcesz.

– Nie chcę? – Lavinia zgarnia fałdy spódnicy. – „Łazarz wstał z martwych”. – Układa je sobie na podołku. – „Przyszedłem wam powiedzieć!” – Rozkłada ręce. – Och, tak mi... tak mi przykro!

– Niepotrzebnie – odpowiada Louise.

– Wiem... wiem... pewnie uważasz, że jestem śmieszna.

– Wcale nie.

– Na pewno?

Louise nie wie, co Lavinia chce usłyszeć.

– To znaczy...

Ona jednak nawet nie czeka.

– Nie oceniasz mnie?

– Nie.

– Ale na pewno?

Louise odpowiada bardzo powoli.

– Tak. Na pewno.

– Było nas... było nas tylko kilkoro. Ja, ojciec Romylos i Gavin... Gavin, ten narcystyczny socjopata. Tak mi powiedział...

kiedyś. Jeden z najmiłszych ludzi na świecie, ale rzeczywiście narcystyczny socjopata. W każdym razie postanowiliśmy sprawdzić, czy można się włamać do Ogrodu Botanicznego. I wygląda na to, że można! Popatrz!

Pokazuje Louise zdjęcie. Lavinia, pop i łysy mężczyzna w golfie zeskakują na żywopłot.

– Ojciec Romylos to ten w sutannie – dodaje.

– Czy o tej porze są tam chociaż jakieś kwiaty? – Cordelia wraca z zestawem do szycia. Podaje go Louise.

– To moje ulubione zajęcie, włamywanie się do różnych instytucji! Wtedy człowiek czuje, że żyje... jest gdzieś, gdzie nie powinno go być. Kiedyś nas złapali, w zoo, musieliśmy zapłacić strasznie wysoką grzywnę, ale co tam! Och... nie patrz tak na mnie.

– Jak?

Louise zszywa rąbek. Nawet nie podnosi głowy.

– Jakbyś myślała, że jestem okropna!

– Wcale tak nie myślę – odpowiada Louise.

Myśli natomiast: „Ona niczego się nie boi”.

– Nie jestem pijana, wcale – zapewnia Lavinia. Muska jej ramię włosami. Swoimi długimi, grubymi, pięknymi włosami. – Przysięgam. Wiesz, co powiedział Baudelaire?

Louise wzmacnia szew.

– Baudelaire powiedział, że należy się upijać. Winem. Poezją. Cnotą... do wyboru. Ale się upijać.

– Vinny upija się cnotą – zauważa Cordelia.

Ta prycha.

– To tylko prosecco – wyjaśnia. – Nawet Cordy pije prosecco.

Matka go podaje.

– Nie znoszę alkoholu. – Cordelia puszcza oko do Louise, gdy ta zbiera pozostałe pióra z poduszek na kanapie. – Picie to przywara.

– Boże, można ją znienawidzić, prawda?! – Lavinia kładzie stopy na kufrze z parowca. – Ty chyba nawet nie wierzysz w Boga, co, Cordy? Kryła się z tym przez cały rok... dasz wiarę? Przedtem była weganką. I... och, Boże, jesteś genialna!

Ogląda zszyty przez Louise rąbek.

– Zajmujesz się kostiumami? Mam przyjaciółkę, która szyje i wypożycza kostiumy. Co roku przygotowuje osiemnastowieczne stroje na karnawał w Wenecji.

– Nie, nie zajmuję się kostiumami.

– Ale umiesz szyć.

Louise reaguje wzruszeniem ramion.

– Nic nadzwyczajnego.

– Mało kto to potrafi. Na czym się jeszcze znasz?

Louise jest zaskoczona tym pytaniem.

– Na niczym szczególnie.

– Tylko nie kłam.

– Jak to?

– Jesteś niezwykła. Nosisz na czole znamię geniuszu. Zauważyłam to... gdy tylko cię zobaczyłam. I... siedziałaś z Cordy, no nie? Do samego rana. To dopiero coś.

Louise nie jest niezwykła. Ona to wie. My to wiemy. Potrzebuje czterystu pięćdziesięciu dolarów i tyle.

– Jesteś aktorką? Z taką urodą mogłabyś być.

– Nie jestem aktorką. – (Louise nie ma takiej urody).

– Artystką?

– Nie.

– Więc jesteś pisarką!

Louise się waha.

Waha się, bo nie można nazywać się pisarzem, jeśli nie napisało się czegoś, co ktoś inny chciałaby opublikować; z czego byłoby się na tyle zadowolonym, żeby zabiegać o wydanie; gdy w tym mieście jest tylu poronionych pisarzy, którzy jedynie budzą śmiech. Jednak zanim zaprzeczy, jej wahanie na tyle się przeciąga, że Lavinia triumfuje.

– Wiedziałam! – Klaska w dłonie. – Wiedziałam! Oczywiście, że jesteś pisarką. Jesteś kobietą, która specjalizuje się w słowach. – Zbiera plansze z wyrazami: asesor, asertywność, asekuracja. – Niepotrzebnie w ciebie wątpiałam.

– To znaczy...

– Co napisałaś?

– Och, no wiesz... nic specjalnego. Tylko kilka opowiadań i tym podobne.

– O czym one są?

Teraz Louise jest już na dobre wystraszona.

– Ojej. O Nowym Jorku. Dziewczynach w Nowym Jorku. Nic nadzwyczajnego. Takie tam.

– Nie bądź śmieszna! – Lavinia patrzy na nią tymi swoimi jasnymi, błyszczącymi oczami. – Nowy Jork to najwspanialsze miasto na świecie! Nie sposób o nim nie pisać!

Tak mocno ściska ją za nadgarstek i tak intensywnie się w nią wpatruje, mruga tak niewinnie, że Louise nie może sprawić jej

zawodu.

– Tak – przyznaje w końcu. – Jestem pisarką.

– Nigdy się w takich sprawach nie mylę! – pieje Lavinia. – Cordy mówi, że mam intuicję... zawsze wyczuwam, czy ktoś okaże się interesujący, czy nie. To jak telepatia, tyle że w odniesieniu do talentu... i działa! – Przeciąga się na kanapie jak kot. – Ja też piszę, wiesz? To znaczy... obecnie pracuję nad powieścią. Wzięłam nawet roczny urlop naukowy.

– Urlop naukowy?

– Z uczelni! Dlatego tu jestem. – Wzrusza ramionami. – Żyję w brudzie i nędzy. Zrobiłam sobie przerwę, żeby ją skończyć. Ale problem polega na tym, że brakuje mi samodyscypliny. Nie jestem jak Cordy. Ona to pracuś. – (Cordelia znowu czyta Newmana i nie podnosi wzroku). – A ja imprezuję. – Ziewa głęboko i przeciągle. – Biedna Louise – mówi z taką czułością. – Z mojej winy straciłaś noc.

Przez okno wlewa się światło dnia.

– Nic się nie stało – odpowiada Louise. – Niczego nie straciłam.

– Piękną piątkową noc. Piękny zimowy piątek... w samym środku okresu przedświątecznego. Pewnie miałaś plany. Przyjęcie gwiazdkowe, co? Albo randka.

– Nie miałam żadnej randki.

– To co zamierzałaś? Zanim to wszystko zrujnowałam?

Louise wzrusza ramionami.

– Sama nie wiem. Miałam jechać do domu. Może pooglądać telewizję.

Prawda jest taka, że Louise planowała pójść spać. Sen to

najbardziej pociągająca czynność, jaka przychodzi jej na myśl.

– Ale jest już prawie sylwester!

– Mało gdzie bywam.

– Zbliży się Nowy Rok! – Lavinia patrzy na nią szeroko otwartymi oczami. – A my mamy po dwadzieścia lat!

Bywanie kosztuje. Potem trzeba wrócić do domu. Każdemu po drodze dawać napiwki. Jest zimno. W metrze stoi woda. A jej nie stać na taksówkę.

– Wybierz się ze mną – proponuje nagle Lavinia. – Zabiorę cię na przyjęcie!

– Teraz?

– Jasne, że nie teraz, ty głuptasie... jeszcze nie zwariowałam. W MacIntyre wydają przyjęcie noworoczne... zabawimy się! To będzie ich najlepsze przyjęcie ze wszystkich. I jestem ci to dłużna! Za te wszystkie dodatkowe godziny, kiedy tu siedziałas... jestem ci winna procent.

– Jesteś jej winna sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę – włącza się Cordelia ze swojego fotela. – Od siódmej... – Zerka na zegarek. – Do siódmej.

– A niech to! – woła Lavinia tak gwałtownie, że Louise się wzdryga. – Dałam całą forszę ulicznemu muzykowi. Grał przed Bandshell *New York, New York*. „Byliśmy bardzo zmęczeni... byliśmy bardzo weseli” ².

Prostuje się.

– Teraz musisz ze mną przyjść – kwituje. – Jeśli się nie zobaczymy, nie będę mogła ci zapłacić za dzisiejszą noc.

Uśmiecha się z zachwytem.

– Jestem ci winna coś więcej niż tylko pieniądze – ciągnie. – Jestem ci winna najpiękniejszą noc w twoim życiu.

To pierwsze przyjęcie, na które Lavinia zabiera Louise, i najlepsze; Louise nigdy nie przestanie wracać do niego pamięcią. Idzie na nie w sukience Lavinii, tej z lat dwudziestych (tak naprawdę to podróbka z lat osiemdziesiątych kupiona w sklepie), znalezionej przez Lavinie na ulicy, bo właśnie podobne rzeczy przytrafiają się ludziom takim jak Lavinia Williams, i to bez przerwy.

Hotel MacIntyre to tak naprawdę wcale nie hotel. To trochę skład, trochę nocny klub, a trochę scena – w Chelsea. Na sześciu kondygnacjach mieści się ze sto pokoi. Połowa z nich wygląda jak w nawiedzonym hotelu z czasów Wielkiego Kryzysu, ale jest tam także las i – na ostatnim piętrze – cały zakład dla obłąkanych, gdzie Ofelia popada w obłąd (wystawiają również *Hamleta*, ale w wersji bez słów), i Louise słyszała, że czasami aktorzy zabierają kogoś z gości do sekretnych pomieszczeń albo kaplic i całują w policzek, w czoło albo w usta, ale wstęp kosztuje po sto dolarów od osoby (i to bez opłaty za szatnię i dziesięciu dolarów za wystawienie biletu), więc nigdy nie sprawdziła, czy to prawda.

W niektóre wieczory, te wieczory, jedne z tych wieczorów, organizują tam specjalne tematyczne bale kostiumowe; przyjęcia do białego rana, z darmowym alkoholem, w stylu „pocałuj nieznajomego i zobacz, co z tego wyniknie”, na które wszyscy przychodzą przebrani, wędrują labiryntem połączonych ze sobą pokoi, z własnym nagłośnieniem na każdym piętrze, i nawet w wannach w zakładzie dla obłąkanych uprawiają seks.

Louise nigdy nie brała w czymś takim udziału.

Ale bez obaw. Będzie miała okazję.

Oto co znajduje się w MacIntyre, w takiej kolejności, w jakiej zauważa to Louise: czerwony aksamit, świece, strusie pióra, smukłe szampanki, jedni trzymający kieliszki z napisem „Szczęśliwego 2015 roku!”, drudzy cykający selfie, kobieta w czerwonej cekinowej sukni bez pleców, śpiewająca piosenkę Peggy Lee *Is That All There Is?*, inni cykający selfie. Lavinia. Dziewczyna w smokingu. Maria Antonina. Ktoś w kostiumie poskramiacza lwów. Lavinia.

Ludzie w wieczorowych strojach. Ludzie we własnych wieczorowych strojach. Ktoś w gorsecie. Ktoś w bieliźnie. Lavinia.

Mężczyzna w sutannie („Nie mów mu, że ci to mówiłam, ale jest suspendowany”). Kobieta ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, która nie ma na sobie nic oprócz pasztecików i piór, o najbardziej skrzeczącej i najbardziej nowojorskiej wymowie, jaką Louise kiedykolwiek słyszała („W burlesce występuje jako Athena Maidenhead. Jak naprawdę się nazywa, nie mam pojęcia”). Łysy facet w obcisłych czarnych dżinsach i golfie, jedyny nie w kostiumie, ale jakby zupełnie nic sobie z tego nie robił („To Gavin. Prowadzi arkusz kalkulacyjny w Excellu dla każdej kobiety, z którą się umawia”). Lavinia.

Lavinia tańcząca. Lavinia pijąca. Lavinia fotografująca wszystko, ciągnąca Louise za sobą, ciągnąca tak blisko, że ta wyczuwa zapach jej perfum. Są robione specjalnie dla niej, w chińskim kantorku przy Czwartej Wschodniej, jak Louise dowie się pewnego dnia, już

niedługo, i pachną lawendą, tytoniem, figą, gruszką i wszystkim, co najpiękniejsze na świecie.

Peggy Lee śpiewa właśnie „...czy to wszystko trawi już ogień?” i Louise wychyla kieliszek szampana, jakby to była wódka, a potem zaczyna się denerwować, bo kiedy pije, przestaje uważać, żeby czegoś nie schrzanić, a kiedy przestaje uważać, chrzani najbardziej; Lavinia jednak obejmuje ją jedną ręką w pasie, drugą bierze butelkę ginu Bombay Sapphire i wlewa go jej do ust, i chociaż Louise nie brakuje rozumu, jest dobrą obserwatorką i bardzo się pilnuje – przez cały czas stara się uważać! – czując dłoń Lavinii na swoim krzyżu, myśli, że jeśli świat ma się skończyć, to mogłby właściwie skończyć się tej nocy.

– Przyjaciele! Rzymianie! Rodacy! Więcej ginu!

Lavinia. Lavinia. Lavinia.

Mieszkając w New Hampshire, Louise często sobie wyobrażała, że kiedy już znajdzie się w Nowym Jorku, będzie chodziła na takie właśnie przyjęcia.

Gdy stanie z Virgilem Bryce'em na moście kolejowym i będzie go błagała, żeby dotknął jej piersi, a on w końcu łaskawie się zgodzi, i zaczną rozmawiać o wspólnej ucieczce (chciał zamieszkać w Kolorado i ilustrować mangi), i Virgil przypomni jej, jaki świat jest okrutny, ona spróbuje mu wytłumaczyć, że Nowy Jork to zupełnie inne miejsce niż wszystkie.

Tam, dopóki tylko ci zależy, powie, nie ma znaczenia, że nie jesteś kimś wyjątkowym, że nie masz szczególnej urody, nawet jak na standardy Devonshire w New Hampshire. Nowy Jork cię porwie

i wyniesie, spełniając wszystkie twoje wygórowane aspiracje; na każdym przyjęciu w każdą noc w tym rozświetlonym, roziskrzonym mieście poczujesz się, jakbyś był jedynym człowiekiem na świecie, najbardziej niezwykłym i najbardziej kochanym.

Wy i ja, oczywiście, znamy prawdę.

Wiemy, jak łatwo można to zainscenizować. Wystarczy tylko zadbać, żeby światło nie było zbyt jasne, znaleźć parę tancerek rewiowych z tanimi piórami przyklejonymi do tyłka i nakłaniać ludzi do picia.

Ale takie dziewczyny jak Louise nie mają o tym pojęcia. Jeszcze nie.

Louise nigdy jeszcze nie była taka uszczęśliwiona.

Godzina dziewiąta. Lavinia, Louise, Gavin Mullaney, ojciec Romylos, Athena Maidenhead i wielu innych, bez imienia ani nazwiska, tańczą charlestona na scenie pod żyrandolem wielkości żyrafy.

– Wolno nam tu być? – pyta Louise, ale przez głośną muzykę Lavinia jej nie słyszy.

Para akrobatów splata się w powietrzu, trącając kryształki żyrandola. Athena porzuciła swoje pióra i między jej ciałem a cudzym potem nie ma już nic oprócz dwóch pasztecików i peruki łonowej.

– Postanowienie noworoczne! – woła Lavinia. – Niech się stanie: będziemy pić życie aż po osad!

Sukienka zsuwa jej się z ramienia, odsłaniając pierś. Ale Lavinia zupełnie się tym nie przejmuje.

Wtedy czyjeś dłonie zasłaniają Louise oczy. Ktoś całuje ją w szyję.

– Zgadnij kto to – tchnie w jej obojczyk kobiecy głos.

Louise szybko się odwraca.

Dziewczyna jest zmieszana.

– Ale przecież...

– Mimi? – Lavinia zatrzymuje się w tańcu. Na jej twarzy nie ma uśmiechu.

– Przecież to twoja sukienka... – Dziewczyna mówi głośno, sztucznie, bez wyrazu, jak uczennica w szkole średniej recytująca fragment sztuki. – Myślałam, że... – Śmieje się. Równie głośno i równie sztucznie. – Niewidzisz? – Uśmiecha się rozpaczliwie. – Ona jest twoją sukienką!

Wszyscy milczą.

– Przepraszam za spóźnienie – ciągnie. –

Sesja terapeutyczna trwałą wieki. A potem miałam w coś się ubrać.

Nadal nikt nie reaguje.

– On mówiżemamdepresję.

Muzyka dudni. Dziewczyna się zbliża. Mruga powiekami.

– Powiedziałaś mi, że mówiszemamdepresję.

Nic. Nawet skinienia głową.

– To nawet nie osobowość anankastyczna.

Ojciec Romył os niezręcznie skłania głowę, a to jeszcze gorsze, uzmysławia sobie Louise, niż gdyby nadal nikt nie zwracał na tamtą uwagi.

A ona jeszcze się uśmiecha.

Nawet gdy podchodzi do Lavinii. Mimo że Lavinia się cofa.

– Brakowało mi ciebie – mówi.

Dziewczyna obraca się na pięcie ku Louise.

– To ja – odzywa się. – Ja.

– Słucham?

– Mimi – ciągnie, jakby Louise ją знаła.

– Och – odpowiada Louise.

Mimi podaje jej telefon. I zarzuca Lavinii ręce na szyję.

– Zrób nam zdjęcie!

Lavinia się nie uśmiecha.

Mimi odbiera Louise swoją komórkę. Przewija zdjęcia.

– Świetnie razem wyglądamy – rzuca. – Wstawię je wszystkie.

Dziesiąta. Jest księżyc w pełni.

– Obiecuj mi coś – prosi Lavinia.

Palą papierosy na dachu; stoją pośród jakiegoś żywopłotu – Louise nie ma pojęcia, jak się tam znalazły – w labiryncie albo w czymś z krzewami różanymi kwitnącymi mimo mrozu.

– Chcę wejść w dwa tysiące piętnasty już teraz. Chcę, żeby było jak trzeba. Żeby nowy rok był lepszy od poprzedniego. – Wydycha dym. – Musi być.

(Nie ma tam nikogo innego, Mimi, Gavina, ojca Romyłosa ani Atheny Maidenhead, Louise nie pamięta jednak, żeby się z nimi żegnała).

– Oczywiście – odpowiada.

– Pragnę recytować dziś z tobą poezję.

Początkowo Louise myśli, że Lavinia żartuje. Ale ona się nie

uśmiecha; zaciska usta i jest poważniejsza niż kiedykolwiek do tej pory.

– Przypomnij mi o tym, dobrze?

– Dobrze – odpowiada Louise.

– Przyrzekasz?

– Tak. Przyrzekam – zapewnia.

Nie pamięta jednak żadnych wierszy.

Lavinia wyjmuje z torebki długopis. Pisze nim na przedramieniu. „Więcej poezji!!!” Litery są niezgrabne. To samo gryzmoli na ręce Louise.

– No – kwituje. – Teraz będziemy pamiętać.

Razem spoglądają na miasto. Niebo jest usiane gwiazdami, choć Louise ma świadomość, że część z nich to światła Nowego Jorku.

– Louise? – Z ust Lavinii wydobywają się spirale dymu.

– Tak?

– Jakie jest twoje postanowienie noworoczne?

Jest ich wiele: jeść mniej schudnąć zarabiać więcej znaleźć lepszą robotę napisać opowiadanie napisać opowiadanie napisać w końcu to cholerne opowiadanie i gdzieś wysłać (gdybyś wreszcie przestała czytać „Misandry!” o czwartej nad ranem kiedy nie możesz spać i zamiast tego przeczytała jakąś cholerną książkę to może może napisałabyś jakieś cholerne opowiadanie).

– Nie wiem. – (I jeszcze nie być taką nudną).

– Oj, przestań... mnie możesz powiedzieć!

Prosi tak szczerze. Jakby nie było się czego obawiać.

Louise chce jej uwierzyć.

– To głupie – wyznaje.

– Założę się, że nie! Założę się o sto dolarów, że wcale nie jest głupie. – Praktycznie rzecz biorąc, Lavinia jest jej winna od czterystu pięćdziesięciu do tysiąca ośmiuset dolarów, w zależności od tego, czy liczyć te godziny, które Louise spędziła z Cordelią, czekając na powrót Lavinii do domu, czy nie, ale Louise już ich nie liczy.

– Chciałabym opublikować jedno ze swoich opowiadań. Może. Jeśli okaże się dobre.

– W czasopiśmie?

– Tak.

– Jeszcze żadnego nie opublikowałaś?

– Nie. To znaczy... opublikowałam. Ale wiele lat temu.

– Dam głowę, że są świetne – mówi Lavinia. – Genialne, dam głowę. Dam głowę, że wszystkim się spodobają.

– Ojej, to nie...

– Nie sprzeczasz się ze mną. Mam przeczucie. Wiem. – Lavinia odrzuca swoje nieskończone długie włosy.

– A ty jakie masz postanowienie?

Lavinia strząsa resztki popiołu z papierosa.

– Takie samo jak co roku. Niezmienne aż do śmierci. – Z zadowoleniem bierze głęboki oddech. – Chcę żyć. Żyć naprawdę. Wiesz, co powiedział Oscar Wilde?

Louise nie ma pojęcia, domyśla się tylko, że to musiało być coś dowcipnego.

– Powiedział... „Wkładałam w swoją twórczość talent, ale w swoje życie geniusz”. Ja też tak zamierzam. Czy może uważasz, że to banał? – Niemal wypluwa ostatnie słowo.

– Nie... nie!

– Pewnie tak. Chrzanić to. Mam to gdzieś. Bo tego właśnie pragnę.

Jedenasta. Są teraz na parkiecie, znowu; wszyscy wokół się całują; wszyscy oprócz Lavinii, która została pośrodku w świetle reflektora, nietykalna, tańcząc sama.

– Cozaszalonaniesamowitanoc.

Mimi ma rozartą szminkę. Kreskę wokół oczu też.

– Chodź! – Pociąga Lavinie za rękaw. Wciąż mówi w ten sam urywany, sztuczny sposób. – Napijemy się szampana! – woła. – Zrobimy sobie selfie!

Wtedy do Louise dociera, co jest takiego osobliwego w nienaturalnym, pantomimicznym sposobie mówienia Mimi.

Ona stara się naśladować wymowę Lavinii.

Lavinia się nie uśmiecha.

– Już zrobiłyśmy sobie selfie.

Mimi uśmiecha się z desperacją.

– To zróbmy jeszcze jedno!

Wyciąga telefon z aparatem fotograficznym i ustawia się obok Lavinii. Całuje ją w policzek, zostawiając na nim ślad szminki.

– O Boże, Mimi!

– Cholera... na jednym mam zamknięte oczy! Jeszczerazdobra?

Nie może jednak zapanować nad drżeniem ręki. Wszystkie zdjęcia wychodzą nieostre.

– Dobrze, koniec już z tym.

– Jeszcze jedno! Tylko jedno.

Mimi chwyta Lavinie, napiera na nią biustem, wyciąga szyję, żeby ją pocałować.

– Tylko jedno, proszę!

Szarpie Lavinie za rękaw. I rozrywa go.

To niewiarygodne, jak głośny może być trzask materiału.

– Do cholery, Mimi, nie wiesz, kiedy sobie pójść, co?

Wzrok Lavinii jest przerażający.

Mimi napływają do oczu łzy. Ale wciąż ma na twarzy uśmiech.

– Proszę – dziewczyna skomle jak pies. – To jedna z tych nocy.

Prawda? Prawda?

– Jesteś pijana, Mimi. Wracaj do domu.

I Mimi posłusznie wraca.

Godzinę później wstawia do internetu wszystkie zrobione tej nocy zdjęcia. Na każdym z nich oznacza Lavinie.

„Psiapsiółki” – pisze, jakby ktoś jeszcze używał słowa „psiapsiółka”, i dodaje emotikony przedstawiające tańczącego liska, dziewczynę kręcącą hula-hoop i kota wykonującego fikołki.

Muzyka jest tak głośna, że nie sposób nikogo usłyszeć, chyba że jest się na tyle blisko kogoś, aby go pocałować; teraz tańczymy; teraz stajemy we czworo na jednej z kolumn, dwa metry nad tłumem; Lavinia wysuwa się do przodu, z uniesioną brodą i ściągniętymi do tyłu ramionami, jak bożek.

Właśnie opuszczono wielki zegar; każdy woła: „Tak! Tak!”; Lavinia lustruje zebranych tymi swoimi promiennymi oczami, które jakby płonęły.

– Co się stało?

Nie odpowiada.

– Szukasz Mimi?

Lavinia wciąż kogoś wypatruje, więc Louise podąża za jej wzrokiem, ale nie widzi nic szczególnego z wyjątkiem dwóch nieznajomych chłopców w wieczorowych strojach, którzy robią sobie zastrzyki. Potem doznaje jakby porażenia prądem; Lavinia wbija jej paznokcie w nadgarstek, więc Louise pyta: „O co chodzi?”, ale jest już tak pijana, że kiedy tamta zwraca się ku niej, ona nawet nie pamięta, co chciała wiedzieć.

Lavinia chwyta ją za ramiona.

– Skoczmy – mówi.

– Co takiego?

– Ty. Ja. Zróbmy to.

– Chcesz surfować w tłumie?

Nikt tego nie robi. Nie w prawdziwym życiu.

Ale to nie jest prawdziwe życie.

– Co takiego może się stać?

Do północy została minuta.

– Zaufaj mi – nalega Lavinia. – Proszę.

Dziesięć, dziewięć...

Louise przypomina sobie to wszystko, co budzi w niej lęk.

Przypomina sobie, że nie ma ubezpieczenia zdrowotnego, więc gdyby sobie coś złamała, nie podoła kosztom leczenia; że następnego dnia musi iść do pracy i nie stać jej, żeby wziąć sobie wolne, nawet gdyby miała taką możliwość – osiem – poza tym prawie nie zna Lavinii i właściwie nie powinna jej ufać, bo nowo

poznani ludzie przeważnie nie spełniają oczekiwań, w najlepszym razie, i chociaż Lavinia patrzy na nią z takim natężeniem, to w końcu obca osoba, a najpewniejszym sposobem, żeby zawalić sprawę, jest otworzyć się przed kimś nieznanym, ona zaś nie może sobie pozwolić na głupotę – sześć – tak samo jak na szczęście, to za duży luksus; jednak serce bije jej szybko jak u kolibra, który się wykończy i umrze przed północą; jednak nie była szczęśliwsza, jak daleko sięgnie pamięcią, więc też się wykończy, jeśli będzie trzeba, jeżeli będzie się czuć tak jak teraz – cztery – ponieważ w końcu pragnie w życiu tylko jednego, być kochaną i – trzy, dwa, jeden!

Łapie je tłum.

Wokół tylu ludzi – chwytają ją w pasie, za nogi i ręce, i Louise już się nie boi; wie, po prostu wie, że nie pozwolą jej upaść; wie, że może im zawierzyć, bo są tu razem, do tego tak cudownie, nedorzecznie pijani, i wszystkim tak jak jej samej zależy, żeby nie upadła, ponieważ wspaniale jest być tak wysoko i każdy pragnie mieć w tym swój udział.

Lavinia wyciąga dłoń w tłumie; uśmiecha się; jest daleko, a potem bliżej, trochę bliżej i wreszcie na tyle blisko, żeby ująć rękę Louise i mocno ją uścisnąć.

Już prawie świta.

Wszyscy wychodzą na ulicę. Zdejmują buty. Dziewczyny idą boso po lodzie. Za kurszaledwie na Upper East Side taksówkarze biorą po sto dolarów od osoby.

Louise już trochę wytrzeźwiała; na stopach w ciasnych szpilkach

czuje odciski, ale jest zbyt szczęśliwa, żeby się tym przejmować. Opatula się płaszczem, nie dość eleganckim, żeby to tłumaczyło jego lekkość, i kuli przed wiatrem. Lavinia tymczasem zamawia ubera, mimo że cena o tej porze musi być szalona.

– Dokąd jedziemy?

Lavinia przytyka palec do ust.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Samochód wiezie je przez West Village, potem Lower East Side i wreszcie wjeżdża na most Brooklyński.

– Czy o to ci chodziło? – Lavinia jest otulona obszernym futrem. Mruga powiekami.

– O co?

– O takie przyjęcie. Tego pragnęłaś?

– Tak – odpowiada Louise. – Było wspaniale.

– To dobrze. Cieszę się. Chciałam cię uszczęśliwić.

Uber jedzie wzdłuż rzeki.

– Pomyśl tylko – ciągnie Lavinia. – O tej porze byłabyś w domu.

Louise powinna być o tej porze w domu.

– A zamiast tego... – Lavinia otwiera okno. Wiatr owiewa im twarze. – Zobaczysz wschód słońca. Czy to nie cudowne?

Uber zatrzymuje się przed diabelskim młynem: pomalowaną na żywe kolory bramą, sztyldami gabinetu osobliwości, kolejką górską.

Wesołe miasteczko jest zamknięte o tej porze roku. Ale latarnie uliczne wydobywają z mroku karuzelę, nawiedzone domy, deptak za nimi i na samym końcu – fale.

– Chciałam nad wodę – wyjaśnia Lavinia.

Deptak jest obludzony i śliski, więc Lavinia wspiera się na

Louise; obie się ślizgają i upadają, trochę obcierając sobie kolana, ale oprócz tego nic im nie jest.

– Wreszcie – mówi Lavinia.

Jest za zimno, żeby usiąść, więc kucają i przytulają się do siebie pod wielkim futrem Lavinii.

Lavinia wręcza Louise piersiówkę.

– Napij się – rzuca. – To cię rozgrzeje.

W środku jest whiskey – dobra whiskey, jak przyjemnie napić się na rozgrzewkę, kiedy z zimna nie czujesz rąk, ale od czego jest Lavinia.

– Na „Titanicu” też pili whiskey – mówi. – Szli na dno razem ze statkiem, wiedzieli, że zbliża się koniec, ale powiedzieli sobie: „A co tam, do cholery!”, i zalali się w trupa najlepszym trunkiem. To ich uratowało, kiedy statek zatonął. Było im tak ciepło od środka, że nie czuli zimna. Udało im się dopłynąć do łodzi ratunkowych. Myślę o tym... przez cały czas... gdy... ojej, twoja sukienka!

Sukienka, którą Lavinia tak uprzejmie, z dobrego serca pożyczyła Louise – ta znaleziona na ulicy w East Village, symbol piękna, prawdy i wszelkiego dobra na tym świecie, a może nawet dowód istnienia Boga – jest w strzępach. Poplamiona winem. Nadpalona papierosami.

Wtedy Louise myśli: „No i wszystko schrzaniłaś”.

Nie uważała. Była skupiona na sobie, bezmyślna, wypijała za dużo i przestała się pilnować – nawet zwierzęta wiedzą, że muszą zachować czujność – i teraz Lavinia odwróci się od niej, tak jak odwróciła się od biednej, żalostnej Mimi, która rozdarła jej rękaw.

Będzie jeszcze gorzej niż poprzednio, bo po tej wspaniałej nocy Louise już wie, co może stracić.

Bardzo stara się powstrzymać od płaczu, ale jest zalana, więc oczywiście jej się to nie udaje i krztusi się łzami. Lavinia spogląda na nią ze zdumieniem.

– Co się stało?

– Przepraszam. Boże, tak mi przykro... twoja sukienka.

– Co z nią?

– Zniszczyłam ją!

– I co z tego?

Lavinia odrzuca swoje długie włosy, które łopoczą na wietrze.

– Dobrze się bawiłaś, prawda?

– Tak, pewnie, że...

– Więc w czym problem? Zawsze można kupić nową kieckę.

Jakby to było takie łatwe.

– Mówiłam ci – ciągnie. – Mnie wciąż się coś przydarza.

Bogowie ześlą nam następną.

Łzy zasychają Louise na twarzy.

– To ofiara – przekonuje Lavinia. – Poświęcimy ją dawnym bóstwom... utopimy i... och!

– Co takiego?

Lavinia podsuwa jej pod nos swoją dłoń.

Napis „Więcej poezji!!!” już prawie się zamazał i zostało z niego tylko: „Wcej zji!”, ale Louise jest w stanie go odczytać.

– Zapomniałaś? Jak mogłaś?

– Ja...

– To zamyka sprawę.

Lavinia zrywa się na nogi. Zrzuca z siebie futro. Ściąga także swoją piękną białą sukienkę, w której wygląda jak anioł. I stoi w śniegu naga, marznąc. Jej piersi stają się sine. Sutki – purpurowe.

– A niech to!

Śmiejąc się, wpada w histerię.

– Alezimmzimnozimmno!

Louise wytrzeszcza na nią oczy.

– No dalej! Teraz twoja kolej!

– Chcesz, żebym się... – Pod płaszczem już trzęsie się z zimna.

Lavinia ma dziki wzrok. Louise strasznie marznie.

– Obiecałaś! – Wyciąga drżącą rękę z niebieskimi żyłami. – Obiecałaś!

Rzeczywiście obiecała. Więc się rozbiera.

Początkowo ma wrażenie, że umrze z zimna, które czuje za oczami, w gardle, w nosie i w przełyku, tak że nawet whiskey nie pomaga. Gdyby była na „Titanicu”, toby utonęła. Ze sterty oszronionych, zapiaszczonych desek u swoich stóp Lavinia bierze sukienkę, przyciska ją do piersi i mówi:

– Chodź.

„Nie jest za późno, moi przyjaciele, by świata jeszcze innego poszukać”³.

Tyle że każdy zna *Ulissesa* Tennysona. To nic szczególnego. Jeśli masz w pamięci jakiś wiersz Tennysona, to pewnie ten; w ogóle jeżeli znasz tylko jeden wiersz, jeden jedyny, istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że to będzie właśnie *Ulisses*. Znajomość go (we fragmentach) nie czyni Lavinii

wyjatkową, Louise także nie jest wyjątkowa, dlatego że nauczyła się go na pamięć (całego) jeszcze w Devonshire, szeptała sobie jego urywki na moście kolejowym i desperacko usiłowała przekonać Virgila Bryce'a, że „aż na skraj Zachodu żeglować” to najpiękniejsze słowa w języku angielskim, i gdyby „żeglowanie” było poza jej zasięgiem, toby chociaż popłynęła. Nie ma – pewnie – czegoś takiego jak przeznaczenie, jest – pewnie – tylko przypadek. I to pewnie banał: jak plakaty z Klimtem czy Muchą, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, Paryż (Louise nigdy nie była w tym mieście).

Ale Louise ma ten wiersz wyryty w sercu i z ulgą przyjmuje, że Lavinia też.

*Odwiążcie cumy, chwycie wiosła w ręce,
W rozkołysane bruzdy bijcie nimi,
Bo jest mą wolą aż na skraj Zachodu,
Aż tam, gdzie gwiazdy się kąpią, żeglować,
Póki nie umrę.*

Lavinia rzuca sukienkę na wodę. Ta się zanurza; a potem wynurza – wyniesiona na powierzchnię przez fale jak topielica.

Lavinia i Louise spoglądają na siebie wzajemnie.

Są tak straszliwie przemarznięte, że zaraz skamieniają, myśli Louise, zamienią się w lód jak żona Lota (czy to była sól? – jej mózg nie jest w stanie pracować) i zostaną tam na zawsze, we dwie, dłoń przy dłoni, pierś przy piersi, czoło przy czole, ze śniegiem na obojczykach. I dzięki Bogu, dzięki Bogu, bo gdyby tak skamieniały na zawsze i to zawsze było taką nocą jak ta, po której nie

przychodzi ranek, Louise byłaby gotowa oddać za to wszystkie inne swoje marzenia.

Gdy tak leżą nagie, robią sobie selfie, od ust w dół. Zastłaniają dłońmi sutki, żeby Instagram nie ocenzurował zdjęcia, i na samym środku fotki widnieją pozostałości napisu „Więcej poezji!!!”.

– Wytatuujemy to sobie na przedramionach – postanawia Lavinia.

Kulą się pod futrem. Lavinia z powrotem wkłada suknię. Louise nie ma co włożyć – poza koszulką i bezużytecznym płaszczem.

– Chcę zapamiętać tę chwilę na wieczność – odzywa się znowu Lavinia. Nie może przestać się śmiać. – Aż do śmierci.

Kiedy ktoś mówi: „Będę pamiętać to do śmierci”, zwykle ma na myśli: „Świetnie się bawiłem/bawiłam” albo po prostu „Chcę się z tobą pieprzyć”. Tamten feminista z politechniki, z którym umawiała się Louise, też mówił, że nigdy jej nie zapomni; tak samo facet o dziwnych skłonnościach („nigdy nie zapomnę, co pozwoliłaś mi ze sobą robić, jesteś zupełnie inna niż pozostałe kobiety”); tak samo Virgil Bryce. Nawet gość, który nagle się ulotnił, powiedział kiedyś, tamtego wieczoru latem, gdy zabrał ją na spacer po Prospect Parku: „Pewnie w końcu wyjadę z Nowego Jorku, ale chcę, żebyś zapamiętała takie noce jak ta” (tamtej nocy się z nim pieprzyła).

Jednak Lavinia nie jest jak inni.

I kiedy za sześć miesięcy umrze, ostatniego dnia życia pomyśli właśnie o tej nocy, o gwiazdach i o oceanie.

Louise to wie. Będzie przy tym.

Idą w stronę torów na estakadzie.

Lavinia zatrzymuje taksówkę.

– Jedź – mówi z uśmiechem. Louise nie może nadziwić się jej szmince, wciąż takiej intensywnej, po tym całym wypitym szampanie. – Moje futro jest cieplejszej niż twój płaszcz.

Louise nie stać na taksówkę.

– Nie, nic mi nie będzie – odpowiada. – Wrócę metrem.

Lavinia się śmieje, jakby to miał być żart.

– Boże, jesteś cudowna – komentuje. Całuje Louise w oba policzki. – Już za tobą tęsknię.

Rzuca się na tylne siedzenie taksówki.

Dwie minuty później Louise dostaje zawiadomienie przez telefon. Lavinia wstawiła na Facebooka ich wspólne zdjęcie.

Idzie do Q na Coney Island, bo inne linie nie kursują z powodów, które urągają zdrowemu rozsądkowi. Nie stawia stóp na szczeliny w chodniku.

Siedzi w metrze, drżąc w bieliźnie pod cienkim płaszczem z dziurawymi kieszeniami, który kupiła w H&M ze cztery lata wcześniej, kiedy dostała z GlaZam czterysta dolarów jako premię bożonarodzeniową; stara się unikać kontaktu wzrokowego z mężczyzną, który krąży po wagonie w szpitalnej koszuli z medyczną bransoletką na ręce, ale inni też się gapią, więc trzeba uważać, zwłaszcza jeśli się mierzy metr sześćdziesiąt pięć i waży podczas okresu pięćdziesiąt dwa kilo. Wciąż jest tak pijana, że jej niedobrze, i stara się nie porzygać, gdy na Kings Highway wsiadają dwaj młodzi faceci z torbami z Burger Kinga i przez całą drogę do

Atlantic Avenue żrą frytki.

Tam Louise musi się przesiąść do R, chociaż przez to nadkłada drogi; jakieś dziewczyny, które wracają prawdopodobnie z wieczoru panieńskiego, wydzierają się i wymachują zimnymi ogniami, a na peronie, na plastikowej skrzynce, stoi mężczyzna wieszczący koniec świata.

– Nienawidzę waszych świąt, gardzę nimi! – woła, mimo że nikt na niego nie zwraca uwagi. Spogląda prosto na Louise. („Bo kiedy składacie mi całopalenia i wasze ofiary, nie znoszę tego, na ofiary biesiadne z tucznych wołów nie chcę patrzeć”⁴). Przynajmniej Louise się wydaje, że spogląda prosto na nią. („Idź precz ode mnie ze zgiełkiem pieśni twoich, i dźwięku twoich harf nie chcę słyszeć”).

Louise wysiada z R przy Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy.

Pięty ma otarte do krwi. Między palce dostał jej się piasek i porobiły się pęcherze. Trzyma w dłoni klucze.

Na rogu przed domem widzi menela, który zaczepia ją codziennie w drodze do metra i z powrotem. Pali trawkę. I gapi się na nią.

– Hej! – zagaduje.

Ona jednak idzie z opuszczoną głową. Nie patrzy na niego.

– Hej, mała! – Tamten nie daje za wygraną.

Louise nie reaguje.

– Wiesz, że zimno na dworze?

Powtarza sobie: „Po prostu idź dalej, idź dalej”.

– Mógłbym cię rozgrzać!

Facet się uśmiecha – jakby chciał okazać jej sympatię, jakby miała to przyjąć jako wyraz uznania, jakby to była największa uprzejmość, jaką kiedykolwiek jej wyświadczone.

– Rozgrzałbym cię, mała.

Rusza za nią – bez pośpiechu, nie biegnąc, jakby to był miły spacer, a nie coś, co sprawia, że chce jej się krzyczeć.

– Chcesz, żebym cię ogrzał?

Louise ze wszystkich siła stara się tego nie słyszeć.

Szybko wsuwa klucz do zamka, mimo że trzęsą jej się ręce. Ma już wprawę.

– Nie pochlebiaj sobie! – Facet woła za nią, kiedy wreszcie udaje jej się wejść. – Takiej suki jak ty nie zerznąłbym nawet trzymetrowym chujem!

Kiedy Louise wreszcie kładzie się do łóżka, jest dziewiąta.

Nastawia budzik na dwunastą.

Po przebudzeniu ledwie może się ruszać, ale wstaje, bo o drugiej zaczyna się jej zmiana w barze kawowym, bo ten ćpun obmacywacz, który go prowadzi, obciąłby jej dniówkę, jeśli spóźniłaby się do pracy nawet pół minuty.

Lavinia nie dzwoni ani nie pisze.

Louise myślałaby, że to wszystko jej się przyśniło, gdyby nie napis „Więcej poezji!!!” na przedramieniu, gdyby nie ciężkie przeziębienie, jakiego dostaje w tym tygodniu, przez co musi odwołać lekcję z Paulem, którego rodzice są z tego bardziej niezadowoleni niż on sam. Takie noce, z kimś, kto zna *Ulissesa* i głaska cię po włosach – nie są rzeczywiste. Ludzie mówią ci, co pragniesz usłyszeć, biorą od ciebie, co chcą, a potem okazuje się, że tylko żartowali.

Louise zastanawia się od czasu do czasu, czy to dlatego, że zniszczyła tę sukienkę.

Louise pracuje. Jeździ metrem. Farbuje odrosty, pasmo po paśmie.

Lavinia ma tyle ciekawych zajęć w tym tygodniu; Louise śledzi je wszystkie na Facebooku i Instagramie. Idzie na prawosławne przyjęcie gwiazdkowe i na premierę *Rusałki* do Met – na bloga operowego zostaje sfotografowana w długiej do ziemi srebrnej cekinowej sukni – a także bierze udział, z Atheną Maidenhead i ojcem Romylosem, w herbatce urządzonej w śnieżnej scenerii przy pomniku Alicji z Krainy Czarów w Central Parku i przez całą noc krąży tam i z powrotem, tam i z powrotem po promie kursującym na Staten Island („Byliśmy bardzo, bardzo zmęczeni –

głosi podpis pod zdjęciem na Instagramie – i bardzo, bardzo szczęśliwi”). Oficjalne fotografie z hotelu MacIntyre trafią do „Urban Foxes” i do kolumny plotkarskiej „Fiddlera”, którego blog kiedyś był poświęcony tylko plotkom ze świata literatury, a teraz od czasu do czasu robi wyjątki, zamieszczając galerie zdjęć z imprez okołoliterackich, a Lavinia jest na każdym z nich.

Na jednym Louise dostrzega siebie.

Podczas gdy Lavinia pozuje, ona właściwie tylko odbija się w lustrze w holu, tam gdzie był bar z ginem, odwraca na bok twarz, jednak wygląda tak pięknie, że początkowo siebie nie rozpoznaje.

Klika w zdjęcie. I je zapisuje. Przed swoją zmianą idzie nawet do Staples przy Union Square i płaci cztery dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów za wydruk na błyszczącym papierze, w razie gdyby pewnego dnia, z powodu nuklearnego holokaustu, wojny albo czegoś innego, internet wysiadł i fotka przepadła.

Po tygodniu Lavinia przysłała jej esemesa. Jest w nim tylko nazwa – Bemelmans – i godzina.

Louise powinna odpracować swoją zmianę w GlaZam. Wpisuje w Google „Bemelmans” i dowiaduje się, że to w hotelu Carlyle i że kieliszek wina kosztuje tam od dwudziestu dolarów wzwyż, bez podatku i opłaty za obsługę.

Lavinia zjawia się pierwsza.

Rozsiadła się na dwóch stołkach. Oprócz tego, że ma szeroką spódnicę, na jeden z nich rzuciła swoje wyleniałe norki i torebkę, chociaż w barze pełno jest gości hotelowych, turystów i biznesmenów, którzy z tłumioną wściekłością patrzą na jej rzeczy.

– Siadaj. Zamówiłam dla nas szampana. Piję już drugiego...
spóźniłaś się!

Louise jest zdyszana.

– Przepraszam. To przez metro.

– Byłaś już tu kiedyś?

– Nie przypominam sobie.

Lavinia odrzuca do tyłu włosy – wyglądają, jakby próbowała je rano upiąć, ale od tego czasu się rozpuściły i nie zadała sobie trudu, żeby doprowadzić je do porządku.

– To moje miejsce – wyjaśnia. – Jestem tu jedyną kobietą przed czterdziestką, która nie zajmuje się prostytutką.

Drewno jest ciemne i choć z powodu wczesnej wieczornej pory nie zapalono jeszcze świec, sala wygląda jak oświetlona ich blaskiem i prezentuje się pięknie. Ściany są ozdobione muralami. Pośrodku stoi fortepian i pianista gra *New York, New York*. Lavinia nuci do wtóru.

– Zawsze to tutaj grają – zauważa. – Za każdym razem. Nie przeszkadza mi to. Nawet dodaje otuchy. Jak Boże Narodzenie.

Podsuwa Louise wysoką szampankę.

– Wzniesiemy toast?

Louise wciąż z zimna drżą ręce.

– Za co?

– Za nasze noworoczne postanowienia, oczywiście!

– Oczywiście.

– I za nas!

– I za nas!

Stukają się kieliszkami.

Jasne, Louise bywała już w pięknych miejscach. Niekiedy, gdy ma czas między jedną lekcją a drugą, idzie do Met, płaci dolara za wstęp i wędruje samotnie korytarzami, jak duch, żeby побыć wśród pięknych rzeczy. Jednak zawsze czuje się tam obco. Inaczej niż Lavinia, która najwyraźniej jest tu u siebie.

– Zrobiłaś to już? – Lavinia promienieje. – No, chodzi o twoje opowiadanie. Do ilu czasopism je wysłałaś?

– Och.

Louise nie pracowała nad opowiadaniem.

– Jeszcze do żadnego... ale jestem już prawie gotowa!

– Dasz mi do przeczytania? Bardzo bym chciała. Już nie mogę się doczekać, kiedy je przeczytam.

– A co z twoją powieścią? – zagaja Louise. Aby ktoś zapomniał o swoim pytaniu, na które nie chcesz odpowiedzieć, należy go zachęcić do mówienia o sobie. – Jak idzie ci pisanie?

– Ojej. Jak zwykle. Tak było zawsze. I będzie. Ale nie wrócę na studia, dopóki jej nie skończę... obiecałam to sobie... złożyłam najsolenniejszą przysięgę. Nie postawię stopy w New Heaven, dopóki nie dojdę do kropki po ostatnim zdaniu. Nie to, żeby ktoś chciał kiedykolwiek postawić stopę w New Heaven.

Lavinia zna barmana, nie muszą więc prosić o następną kolejkę, dostają ją od razu.

Po drugiej stronie baru Louise zauważa znajomą kobietę. Wysokie kości policzkowe i głęboki dekolt, usta w kolorze czerwonego wina; siedzi wsparta na ramieniu mężczyzny, starszego od niej, którego zegarek wręcz wszystkich oślepia.

– Ona zawsze tu jest – zauważa Lavinia. – Nie sama.

Patrząc na kobietę, unosi kieliszek. Tamta puszcza do niej oko.

– Moja matka byłaby przerażona. „Z kim ty się zadajesz?!”, pytałaby. „Gdybyś chodziła na zabawy ze znajomymi z Chapin, znalazłabyś sobie odpowiedniego chłopaka”. Dla mnie nie ma znaczenia, w jaki sposób ktoś zarabia na życie, a dla ciebie? W Paryżu w dziewiętnastym wieku istniał półświatek. I nikt nie osądzał Baudelaire’a. Bez piór wygląda nie najgorzej.

Wtedy do Louise dociera. To Athena Maidenhead.

– Poza tym właściwie nie jest prostytutką – podejmuje Lavinia. Poprawia szminkę. – Tylko należy do... no wiesz. Półświatka. Ma profil na WhatsYourPrice i tak dalej. – Zaciska usta. – Jak wyglądam?

– Pięknie.

– To doskonale – kwituje Lavinia. – Selfie.

Robią sobie selfie.

– Wysyłam ci je. Wstaw do internetu. I oznacz mnie. A potem udostępnij, dobra?

– Dobra.

Piją jeszcze po kieliszku, i jeszcze, i jeszcze.

Jedną kolejkę stawia im jakiś ambasador, barman Timmy podaje następną – Louise nie jest pewna, czy ją zamawiały – kolejną posyłają pianiście, aż wreszcie, wreszcie przychodzi rachunek.

Lavinia bierze go, nawet nie niego nie patrząc.

– Chodź – mówi. – Idziesz ze mną na przyjęcie.

Druga impreza, na którą Lavinia zabiera Louise, odbywa się w księgarni, która nie jest księgarnią. Mieści się w objętym kontrolą

czynszów mieszkaniu przy Osiemdziesiątej Czwartej Wschodniej, którego lokator, szczerbaty, brzuchaty, wesoły mężczyzna, Matty Rosekranz, prowadził kiedyś prawdziwą księgarnię, ale stracił ją po recesji, bo nikt już nie chce kupować książek. Rozpruł więc lokal, w którym mieszkał, wyrzucił z niego zlew, pozbył się kuchenki gazowej i wszędzie porzastał książki – dobrą literaturę, ale także erotyczne szmiry i powieści science fiction z lat pięćdziesiątych o prawie wyczerpanym nakładzie. Ludzie, którzy znają numer mieszkania, dzwonią z dołu przez domofon i wpadają z butelką albo jointem. Jeśli to ładne dziewczyny, po prostu sprowadzają przyjaciół i czytają na głos swoje dzieła, a Matty zabawia ich wszystkich; nikt tak naprawdę nie kupuje książek, ale każdy ma wrażenie, jakby uczestniczył w czymś wyjątkowym.

Nikt też nigdy nie widział Matty’ego Rosekranza poza tym sekretnym magazynem.

– Gavin twierdzi, że zauważył go kiedyś w wydziale komunikacji w Harlemie – mówi Lavinia, nachylając się nad domofonem. – Ale mu nie wierzę.

– Co tu robisz, do cholery? – pyta Matty Rosekranz, kiedy wchodzi. W pierwszej chwili Louise myśli z lękiem, że to do niej kieruje te słowa, ale on się śmieje, chwyta Lavinie w pasie i unosi. – Sądziłem, że już się ciebie pozbyliśmy.

– Mnie nie można się pozbyć – odpowiada Lavinia. – Wracam jak bumerang.

Po mieszkaniu kręci się mnóstwo ludzi. Powietrze jest gęste, przesycone zapachem piwa. Wszystko, co nie zostało zastawione

piwem, pełni funkcję regałów, z wyjątkiem regału, z którego zrobiono stół; przy nim rezyduje Matty Rosekranz z butelką wódki, sześciopakiem i kilkoma czerwonymi kubkami z plastiku, które wszyscy raz po raz strącają, a Louise odruchowo podnosi.

– Polityka tożsamości – peroruje mężczyzna w jaskrawej, turkusowej muszce – została zaprzepaszczona przez lewicę. Wszystko opiera się na fundamentalnym równaniu: x równa się x . A potem ktoś mówi: „Och, jestem mężczyzną, ale też jestem kobietą”... Przykro mi, wiem, że to nie jest poprawne politycznie.

Przemawia do bardzo chudej, bardzo kruchej kobiety o dużych oczach i lnianych włosach, która jest wyraźnie pod wrażeniem.

Lavinia wkracza pomiędzy nich.

– Cześć, nieznajomy.

Całuje faceta w policzek, jakby wcale mu nie przerwała.

– Lavinia! – Rozpoznaje ją dopiero po chwili. – Co u ciebie? Nie widziałem cię od...

– U mnie wręcz fantastycznie! – Lavinia macha rękami. – Jest cudownie... robię ostatnio takie rzeczy... Jezu... to cud, że wyrabiam się ze wszystkim, taka bywam zajęta... dzięki Bogu, że mam Louise. – Ujmuje jej rękę i podnosi wysoko. – To dzięki niej wychodzę na prostą. Jest taka zdyscyplinowana... przez cały czas pisze. Inspiruje mnie.

– Więc ty też jesteś pisarką?

– Och, przepraszam! Nie znacie się. Louise, to Beowulf Marmont. Beowulfie, to Louise...

– Wilson.

– Louise Wilson. Och, na pewno będziecie mieli o czym rozmawiać. Louise to najciekawsza osoba, jaką kiedykolwiek poznałam. Chryste Panie... jest i Gavin!

Oddała się.

„To ma być test” – myśli Louise.

Lavinia poddaje ją próbie: chce zobaczyć, jak Louise dogada się z innymi jej przyjaciółmi, gdy nie są jeszcze zalani w trupa i słyszą się nawzajem.

Nie ma o to do niej pretensji – z nowymi znajomymi tak się postępuje.

– Więc... – zaczyna ćwierkać. – Gdzie ty i Lavinia się...

– W Yale.

– Ach. Oczywiście.

– A wy?

– Och. – Louise wzrusza ramionami. – No wiesz. Imprezy. – Nie przestaje się uśmiechać.

Beowulf prycha.

– Jasne – komentuje. – Skąd jesteś?

– Chodziłam do szkoły w Devonshire – odpowiada Louise. Znowu to robi, prawie bezwiednie: mówi w sposób urywany, jak cudzoziemka.

– Więc znasz Nicka Gallaghery.

– Och. Nie. To znaczy... pewnie skończył szkołę po mnie.

– A kiedy ty ją skończyłaś?

Waha się. Stara się oszacować jego wiek i ocenić, ile lat może sobie odjąć.

– W dwa tysiące ósmym. – Liczy, że wygląda na

dwudziestopięciolatkę.

– Wobec tego powinnaś go znać. To rocznik dwa tysiące dziesiąty. Dobry z niego chłopak. Dostał się na etat do „New Yorkera”.

– Niestety. To znaczy... było tam tylu ludzi.

– W takim razie musisz go poznać. Właśnie jadłem z nim lunch... w zeszłym tygodniu. W „New Yorkerze”. Byłaś tam?

– Jeszcze nie! – Desperacko stara się zachować wesoły ton.

– Dobrze by było, gdybyś go poznała. Jeśli chcesz, no rozumiesz, pisać do „New Yorkera”. – Wzrusza ramionami. – Bo, cóż, wiele młodych pisarek nie chce. Z powodu, rozumiesz, patriarchatu. Wolą nowe media i tym podobne. Jak „The New Misandrist” czy takie tam. – Sarka. – A do tej pory gdzie publikowałaś?

Powinna skłamać. Ale wie, że ją rozgryzł. Niepewność da się wyczuć na milę.

– Sorki – mówi więc. – Nie jestem pisarką.

– Och, super.

Louis zna to spojrzenie. Facet patrzy nad jej ramieniem, szukając kogoś ważniejszego, z kim mógłby pogadać.

– Super, super, super.

– A ty gdzie...

Ale on już odchodzi. Lavinia stoi w kącie, rozmawia z Gavinem Mullaneyem, zdejmuje z półek książki, taka swobodna, zagaduje jednego nieznanego, potem drugiego, i przez cały czas wygląda na zadowoloną.

Nawet nie patrzy w stronę Louise.

Louise wychodzi ze skóry. Ma na twarzy ładny uśmiech, żeby nikt nie zauważył, jaka jest spięta, i stara się sprawiać wrażenie zajętej: sunie palcem po grzbietach książek na regałach, udając wielkie zainteresowanie. Podśłuchuje, gdy ktoś mówi, że pełni funkcję redaktora wydania internetowego „Fiddlera”, dzięki czemu generalnie jest drugą albo trzecią co do ważności osobą przed trzydziestym piątym rokiem życia w każdym towarzystwie. Obserwuje ludzi, ale niezbyt nachalnie; chce i nie chce, żeby do niej podeszli, bo gdyby podeszli, nie miałyby nic ciekawego do powiedzenia i Lavinia by się zorientowała.

Zaczyna się czytanie.

Beowulf Marmont prezentuje swoje opowiadanie, które ma się wkrótce ukazać w „The New Weehawken Review”. Bohaterem jest mężczyzna, który za dużo pije i lubi kobiety o ustach jak poduszki. Beowulf jest bardzo pewny siebie, krąży po pokoju, chrząka i ucisza nawet Lavinie, która szeptem rozmawia z Gavinem o Ednie St. Vincent Millay. I mimo że na poziomie swojego racjonalnego „ja” Louise wie, że facet nie zwraca na nią uwagi – w ogóle ma ją gdzieś – a wdychany dym z palonej przez innych trawki mógł ją przywieść do paranoi, to jednak przez cały ten czas, gdy on czyta, a Lavinia odwraca wzrok, przypomina sobie, co się może stać, jeśli na przyjęciu nie dasz z siebie wszystkiego. Ludzie patrzą nad twoim ramieniem; zapominają o tobie; obgadują cię, kiedy wychodzisz, i nie zapraszają ponownie; Louise wie, że nie daje z siebie wszystkiego – stoi pod ścianą jak ofiara, jaką się podczas rozmów z nieznajomymi (mogłaby powiedzieć coś błyskotliwego,

dowcipnego, gdyby Lavinia była przy jej boku, myśli), ale im bardziej jest tego świadoma, tym bardziej zasycha jej w gardle, im większe chce zrobić wrażenie, tym staje się żałośniejsza.

Szuka więc ucieczki.

W tym zagrzybionym składzie jest tylko jedno otwarte okno, w pomieszczeniu, w którym dawniej była kuchnia. Louise biegnie tam i po drodze bierze książkę, pierwszą z brzegu, z górnej półki; chce sprawiać wrażenie osoby wyluzowanej, która wychodzi z wieczoru literackiego, żeby skupić się na lepszej lekturze, choć tak naprawdę boi się zostać sama, bez wsparcia Lavinii, z ludźmi mającymi się za lepszych od niej.

– Ty też się ukrywasz?

Louise się wzdryga.

Siedzi, lekko skulony, na stosie książek. Uśmiecha się do niej.

Ma duże, dziecięce piwne oczy i bardzo cienkie usta. Opadające ciemne włosy i okulary w szylkretowych oprawkach, jakich już się nie nosi. Jest ubrany w tweed, który także wyszedł z mody.

– Czy to aż tak oczywiste?

– Każdy na takich imprezach ma ochotę gdzieś się schować, no nie? – Śmieje się dziwnie, chrapliwie. – Chyba niektórzy z nas są po prostu słabszej konstytucji. Albo nie muszą nawiązywać kontaktów.

– Szczęściarze z nich – komentuje Louise.

– Szczęściarze z nas – poprawia ją.

– Jasne – przytakuje Louise. – Szczęściarze z nas.

A potem pyta:

– Więc nie jesteś pisarzem?

On się oburza.

– O nie. Wybrałem znacznie sensowniejszą drogę zawodową.

– Czyli?

– Studia doktoranckie. – Rozjaśnia się. – W dziedzinie filologii klasycznej.

– Słyszałam, że na tym można zbić pieniądze.

– O tak. – Robi dla niej miejsce na ławie, na której również stoją książki. – Zyski są wielkie. – Zapala jointa i proponuje, żeby się zaciągnęła.

– Nie wiem, czy powinnam – odpowiada Louise. – Od trawki dostaję manii prześladowczej.

– Jak od wszystkiego, nie?

– Z wyjątkiem nawiązywania kontaktów. Na to przynajmniej wygląda.

Jednak się zaciąga. Krztusi się i kaszle, więc nieznajomy podaje jej wyjętą z kieszeni marynarki chusteczkę.

– Wygłupiasz się?

Facet się jąka, trochę, i Louise uświadamia sobie, że go speszyła.

– To znaczy... dzięki. I przepraszam. Przepraszam... to było niegrzeczne. Tylko że ja...

On się śmieje.

– Ktoś musi trzymać poziom.

– Właśnie. – Nie rozumie, dlaczego jest dla niej taki miły. – Pewnie, że tak.

– Więc ty też nie jesteś pisarką? – Odbiera od niej swojego jointa.

– Tak. Nie. Może?

– Nie ma już kogoś takiego jak pisarz. – Do kuchni chwiejnym krokiem wchodzi najbrzydszy mężczyzna, jakiego Louise kiedykolwiek widziała. – Tak uważa Henry Upchurch.

Ma kwadratową małą twarz. Szczeka wydaje się za duża jak na tę czaszkę, a skóra na niej zbyt naciągnięta. Facet jest blady w niezdrowy żółtawy sposób. A do tego niski i grubawy.

– Hal, tylko nie...

– „Ameryka była kiedyś wielka. Już nie jest. Wtedy była. Mieliśmy ludzi pióra. Mieliśmy ludzi czynu”. Naprawdę? Nic ci to nie mówi?

– Przykro mi – odpowiada Louise.

– Chryste. Gdzie ty chodziłaś do szkoły? A może nie chodziłaś?

– Hal!

– Nie jestem dupkiem! Szczerze... pytam tylko z ciekawości. – Przerzuca książki. – Masz. Weź. Edukuj się.

Wyciąga rękę z jakimś tomiszczem. *Schyłek jesieni*. Henry Upchurch.

– Najlepsze pierwsze zdanie w literaturze amerykańskiej. To literacki gigant. I Wielki Człowiek. Nie sądzisz, że jest Wielkim Człowiekiem, Rex? – Wymawia to imię „Reksz”, ale jest bardzo pijany. – Chryste, Rex, rozchmurz się. Jesteś żalorny.

– Po prostu zmęczony.

Hal klepie go po ramieniu, mocno.

– Czy mój przyjaciel cię zanudza? – pyta, zwracając się do Louise.

– Nie.

– A ty go zanudzasz?

– Nie! – Rex wstaje. – Nie... wszystko w porządku, Hal.

– Przestań. – Tamten odwraca się ku niej. – Jak się nazywasz?

– Louise.

– Chcę ci wyświadczyć przysługę, mała Louise. – Wciska jej książkę w rękę. – Pragnę zapoznać cię z wybitnymi, szlachetnymi, już nieco martwymi, choć wciąż żyjącymi białymi ludźmi, przed którymi mogłabyś skłonić głowę. To gdzie chodziłaś do szkoły?

– W Devonshire.

– W Devonshire. Oczywiście. Popatrz. To Faber. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy. Wydanie jubileuszowe, na trzydziestą rocznicę. – Bierze od niej książkę. Otwiera ją. – I spójrz na to. Jeszcze z autografem.

Louise słyszy dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia monotony głosu Beowulfa.

Hal mruży oczy.

– „Drogi Marcusie...” Poczciwy stary Marcus, pewnie pedał. „Drogi Marcusie. Z zachwytem przeczytałem Twój list z trzeciego marca i dowiedziałem się, że spodobał ci się *Pociąg szaleństwa*. Proszę, przyjmij ten egzemplarz ze szczerymi życzeniami i nadzieją, że studia na Harvardzie okażą się opła... opła... opłacalne”. – Pokasłuje. – Co za wspaniałomyślny, nader wspaniałomyślny człowiek. I popatrz tylko na dedykację! Spojrzysz? „Z najgłębszą wdzięcznością mojemu towarzyszowi broni i agentowi Niallowi Montgomery’emu, długoletniemu wydawcy Haroldowi Lernerowi i z wyrazami miłości żonie Elaine

oraz synowi”. Widziałaś? – Zatrząskuje książkę. – „Oraz synowi”.
– Uśmiecha się szeroko, ukazując szczyrby między zębami, jakby Louise podzielała jego poczucie humoru.

– Przepraszam. – Rex wpatruje się w podłogę. – Hal za dużo wypił.

– Nie jestem pijany. Po prostu doceniam literaturę, to wszystko... nie jak tamci rogowcy w sąsiednim pokoju. Chryste! To prawda. Nie ma już wielkich pisarzy. Nic nowego pod słońcem.

– Ty też piszesz?

– A broń Boże, mała Louise. Jestem tylko skromnym agentem ubezpieczeniowym na stanowisku kierownika.

Macha jej książką przed oczyma.

– Kupię ci ją. – Dostrzega, co Louise trzyma w dłoni. – Chyba nie dał ci chusteczki, co?

Louise nie odpowiada.

– Pedzio z ciebie, Rex. Super. Lawl.

Louise dopiero po chwili uświadamia sobie, że w jego ustach, ze względu na wymowę, to „LOL”, akronim, a nie „loll”.

Hal tymczasem bierze czerwone plastikowe kubki.

– Pójdę po drinki. I jeszcze jedno. Rex? – Szczerzy się od ucha do ucha. – Ona tu jest.

Po wyjściu Hala przez chwilę stoją w milczeniu. Potem Rex siada. Wypuszcza z płuc powietrze. Bierze jedną z książek. I odkłada. Zapala kolejnego jointa. Upuszcza zapalniczkę.

– Wszystko w porządku?

– Przepraszam – mówi Rex. – Boże... ten Hal. Wybacz.

– Nie ma sprawy.

– To dupek. Zwykle... zwykle nie jest taki zły. Tylko lubi się drażnić. Ale w głębi duszy to porządny gość.

– Naprawdę? – Louise próbuje się uśmiechnąć, aby mu pokazać, że nie ma do niego pretensji.

– W głębi, głębi duszy.

Śmieją się razem.

– Tylko kiedy się napije, dostaje świra. Na punkcie swojego ojca.

– Ojca?

– Wielkiego Amerykańskiego Pisarza.

– Nie!

– Znam go od małego – wyjaśnia Rex – i wciąż nie mogę się zorientować, czy wie, że się domyśliliśmy. Bo mówi to na serio.

– Kochanie.

Lavinia, w progu, wygląda olśniewająco. Jej perły błyszczą. Włosy spływają kaskadą.

– Kochanie – powtarza i Louise sobie uświadamia, że mówi do niej.

– Szukałam cię wszędzie! – Patrzy na nią z twardym uśmiechem.

– Przepraszam! – Louise nie bardzo wie, dlaczego tak szybko wstaje. – Musiałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

– Kochanie... będziesz miała tyle powietrza, ile zapagniesz. Jestem taka podekscytowana. Pamiętasz o naszym pikniku?

Uśmiech nie schodzi jej z ust. Ma ostre zęby. Nagle, nie wiedząc dlaczego, Louise zaczyna się bać.

– Naszym pikniku?

– Chyba nie zapomniałaś? Będzie cudownie. Załatwię szampana. Myślę o tym... od sylwestra... i wiem, że będziesz zachwycona.

– Rzeczywiście – odpowiada Louise bardzo powoli. – Na pewno. Lavinia bierze ją za rękę. Przyciąga do siebie. I całuje w policzek. Zostawiając na nim ślad szminki.

Rex milczy. Ma wypieki na twarzy. Stoi bez ruchu.

– Och, Lavinio, przepraszam, to jest...

– Spóźnimy się. – Lavinii nawet nie drgnie powieka. – Idźmy już.

– Kto to był? – pyta Louise, gdy wychodzą na schody.

Lavinia tylko się uśmiecha.

Jadą taksówką do High Line. Lavinia płaci. Wstępują do sklepu z alkoholem i kupują dwie butelki moëta. Za nie też płaci Lavinia. Odnajdują miejsce, które znają tylko one: gdzie brama do High Line jest od dołu lekko wygięta. Louise podąża za Lavinią i kolejno przeczołgują się na drugą stronę.

Louise zdaje sobie sprawę, że nazajutrz ma pierwszą zmianę w barze i przełożoną lekcję z Paulem i że będzie musiała wstać o szóstej, aby odwalić dla GlaZam robotę, której nie zdążyła zrobić tego dnia, i chociaż wie, że dać się aresztować, być zmuszonym zapłacić grzywnę i spędzić noc w pace to zdecydowanie jeden ze sposobów, aby wszystko schrzanić, czuje taką ulgę, że wyrwała się z tamtej sekretnej księgarni oraz z grona ludzi, którzy patrzą na nią, jakby była przezroczysta, i jest z Lavinią (która może patrzy na nią, jakby była przezroczysta, a może nie, w każdym razie widzi to, co chce widzieć), iż radośnie idzie za nią w świetle księżyca.

– Jak wyglądam? – Stoją same w High Line, z płatkami śniegu we włosach, wśród oszronionych gałęzi. Lavinia pociąga usta szminką, poprawia aksamit i perły.

– Wyglądasz pięknie – odpowiada Louise. Bo to prawda.

– Zrobisz mi zdjęcie? – Podaje jej swój telefon.

– Jasne.

Louise fotografuje ją jako śnieżnego anioła. Stojącą na tle krzaków. Siedzącą na ławce z rozłożoną spódnicą.

Pokazuje jej te zdjęcia.

– Dobrze. Dobrze. Złe... to usuń. W porządku. Możesz je wstawić.

Zapala papierosa. Dłonie jej drżą.

– Czy nie jest wspaniale? – pyta. – Być na dworze... w taką noc, pod księżycem i gwiazdami.

Louise z ulgi chce się śmiać.

– Nie podobało ci się na imprezie?

– Oj nie! A tobie?

– Oj nie!

– Ten Beowulf Marmont...

– Boże, przepraszam, że cię z nim zostawiłam! Chciałam się wyrwać... zostałam złożona w ofierze... och, Louise, wybaczysz mi kiedykolwiek?

– Myślałam, że go lubisz.

– Nosi żółtą muszkę. Jak można lubić kogoś, kto nosi żółtą muszkę? – Podaje papierosa Louise, która nie lubi palić na trzeźwo, ale podoba jej się, jak dym wygląda na tle śniegu. – Kiedyś na studiach powiedział mi, że obrzezanie jest tym dla mężczyzny, czym gwałt dla kobiety. I wcale nie próbował mnie wkurzyć.

– Jest okropny.

– Nie przystawiał się do ciebie? Podrywa każdą dziewczynę, jaką widzi.

– Och. Nie. – To trochę przykre.

– Dzięki Bogu. Chyba chodzi z tą okropną dziewczyną o wielkich oczach... która wygląda jak postać z anime czy ktoś taki. Jego piarstwo jest straszne.

– Straszne! – potwierdza Louise, chociaż niewiele o nim słyszała.

– Boże... gdybyśmy żyły w dziewiętnastowiecznym Paryżu albo gdzie indziej! Gdzie byliby prawdziwi artyści. Prawdziwi pisarze. Ludzie przewyższający tych wszystkich beznadziejnych, pretensjonalnych...

– To samo mówił Hal.

Uśmiech na ustach Lavinii tężeje.

– Boże... Hal!

– Znasz go?

– Rozmawiałaś z nim?

– Trochę... tak jakby.

– I co o nim sądzisz?

– Hm... jest jakby...

– To imbecyl, chcesz powiedzieć?

– Tak. Właśnie!

Jak dobrze wreszcie się odprężyć.

– Totalny czubek, w dodatku strasznie skupiony na sobie, no nie? Co pięć sekund wspomina o swoim ojcu, jakby sam dokonał czegoś w życiu!

– Rzeczywiście tak się zachowywał!

– Pewnie! Zawsze tak się zachowuje! Popisuje się i ćpa... jest taki banalny, że to aż żenujące. A Rex!

– Co z nim?

Lavinia nieruchomieje.

– Spodobał ci się?

– Co takiego?

– Bo przecież... rozmawialiście.

– Och. No tak. Nie. To znaczy... niekoniecznie.

– Nie powinnaś z nim rozmawiać. Jest najgorszy z nich wszystkich. – Zapala kolejnego papierosa, ale ręce drżą jej już tak bardzo, że upuszcza zapalniczkę, którą Louise szybko podnosi. – To tchórz.

– A co się stało?

– Co masz na myśli? Nic się nie stało! – Lavinia się śmieje.

– Sprawiałaś wrażenie...

– To nie było nic takiego – odpowiada Lavinia. – Głupota. Było, minęło. Jest dla mnie nikim. Mam go gdzieś.

– Poczekaj, czy ty i on...

Lavinia nic więcej nie mówi. Odrzuca włosy, jak to ma w zwyczaju.

– Nieważne. Zróbmy sobie selfie. Jest dobre światło. Masz piękną cerę. Też chciałabym mieć taką. Boże, nienawidzę cię.

– Przepraszam – mówi Louise. – Nie wiedziałam. Gdybym wiedziała, nie dałabym mu się wciągnąć w rozmowę.

– Możesz z nim rozmawiać. Nic mnie to nie obchodzi. On mnie nie obchodzi. Jest... zwyczajny, nudny, chce normalnego życia z normalną dziewczyną, z którą mógłby, no wiesz, chodzić na

brunche i tak dalej. Ma prawo.

Gasi w śniegu papierosa, który syczy i gaśnie.

– Powiedzieć ci coś śmiesznego, Louise?

– Co?

– To jedyny człowiek, jakiego kiedykolwiek naprawdę kochałam.

Opiera się o barierkę, patrząc ku rzece, więc Louise nie widzi jej twarzy i nie może się zorientować, czy Lavinia mówi poważnie.

– Czy to nie głupie? – ciągnie.

– Nie sędzę.

Lavinia obraca się w jej stronę.

– Bo uważasz, że jest tego wart?

– Nie, jasne, że nie. Chodzi mi o to, że... – Louise zastanawia się, jak to wyrazić. – Ludzie zakochują się z rozmaitych powodów.

– Pisał listy. To dlatego. Nie wydaje ci się, że to głupi powód?

– Zależy od listów.

– Byliśmy dziećmi. Mieliśmy po... szesnaście lat. Ja chodziłam do Chapin, a on do Collegiate, bywaliśmy na tych samych imprezach. Nieważne.

– Nieważne.

– W każdym razie wymieniliśmy się numerami telefonów i zapytał, czy mógłby od czasu do czasu napisać do mnie list. No wiesz, taki w kopercie, ze znaczkiem i tak dalej. Myślałam, że tylko tak mówi. Jak wszyscy. – Podnosi głowę. Twarz ma bladą z zimna.

– To znaczy jak wszyscy normalni. Nie tacy jak my. – Rozjaśnia się i w blasku księżycy wygląda promiennie. – Ty i ja... my dotrzemy obietnic. Mówimy: „Będziemy recytować poezję nad oceanem”. Albo: „Włamiemy się do High Line”. I robimy to.

Tak czy owak napisał list. Wtedy Rex był człowiekiem z krwi i kości.

Wypaliła już połowę paczki papierosów.

– Czasami... doręczał je osobiście. Pisał gęsim piórem. Zielonym atramentem. I pieczętował. Zostawiał każdy u portiera. Przez długi czas nie miał nawet konta na Facebooku... świrował na tym punkcie. Nosił zegarek na rękę. Boże... wciąż używa telefonu z klapką. Imponował mi.

Wzdycha powoli. W oddali w całym mieście gasną światła, jedno po drugim.

– Buntowaliśmy się... *contra mundum*. Trzymaliśmy się za rękę, przechodziliśmy przez Met i rozmawialiśmy o wspólnej ucieczce. Opracowaliśmy cały plan podróży. To miała być Wielka Wyprawa... rozumiesz... chcieliśmy zobaczyć piękne miejsca i piękne przedmioty. Zamierzaliśmy pojechać do Wiednia i obejrzeć *Pocałunek* Klimta w Belwederze, wpaść do Wenecji na karnawał. Kiedy wreszcie będziemy wolni.

Louise myśli o Virgилu Brysie, na moście kolejowym.

– Cóż – podejmuje Lavinia. – Nigdzie nie pojechaliśmy.

– A co się takiego stało?

– Nic się nie stało. Po prostu Rex zrobił się nudny. I tyle.

– Kiedy?

Lavinia prychnęła.

– Parę lat temu. To bez znaczenia. Mówiłam ci. Jest nieciekawym. Ma już nawet konto na Facebooku. Chyba. Nie wiem na pewno. Zablokował mnie.

Na jej policzkach lśni śnieg. Usta są czerwone.

– Boże, mam nadzieję, że mnie nienawidzi – mówi nagle.

– Dlaczego?

– Bo to by znaczyło, że wciąż o mnie myśli. – Wypuszcza dym.

Opiera się o barierkę. – Byłaś kiedyś zakochana?

Louise musi się zastanowić.

– Sama nie wiem. Może.

– Nie bądź śmieszna. Takie rzeczy się wie.

– Przeprowadziłam się do Nowego Jorku z kimś – wyjaśnia

Louise. – Byłam w nim zakochana. Tak mi się wydaje.

Nikomu nie mówi o Virgilu Brysie. Ale też nikt jej nie pyta.

– A on był w tobie zakochany?

– Tak.

– I wciąż jest?

– Nie wiem. Zablokowałam go.

– Złamał ci serce?

– Nie wiem. Ja chyba złamałam jemu.

Lavinia klaszcze.

– Wiedziałam. Wiedziałam! Boże... jesteś małą femme fatale.

– Wcale nie.

– Taka cicha, skryta, tajemnicza... Boże, wiedziałam. W chwili gdy cię zobaczyłam...

– Naprawdę nie, naprawdę.

– Tak sobie pomyślałam... dla takiej kobiety mężczyzna byłby gotów podciąć sobie żyły.

– Nie podciął sobie żył – zaprzecza Louise. – Chociaż kiedyś groził, że to zrobi.

Lavinia chwyta ją za nadgarstek.

Przez moment Louise sądzi, że powiedziała za dużo, że zaszokowała Lavinie, że się wygadała, jak to zdarza się innym i potem w pomieszczeniu zapada cisza, wszyscy chcą wyrazić ci współczucie, a w gruncie rzeczy litują się nad tobą i tracą dla ciebie sympatię.

Lavinia jednak wybucha śmiechem.

– Jezu Chryste, uwielbiam cię.

Ma łzy w oczach. Cała się trzęsie. Mocno ściska jej dłoń.

Louise nie może się powstrzymać. Sama także zaczyna się śmiać.

Nigdy wcześniej nie było jej tak wesoło.

Ale z Lavinia na tym moście, znacznie wyższym i ładniejszym niż jakikolwiek most w Devonshire, wszyscy wydają się trochę mniej realni. I wszystko, co ma związek z tą drugą Louise – tą z szarymi mysimi włosami i krzywym uśmiechem, trochę grubawą, którą mógłby pokochać tylko ktoś niepoczytalny albo bardzo dobry, z litości – sprawia wrażenie fikcji.

– Założę się, że tego nie zrobił, co? – Lavinia wciąż zanosi się śmiechem.

– Nie, oczywiście, że nie. – Przynajmniej z tego, co jej wiadomo.

– Mężczyźni.

– Mężczyźni!

– Nigdy nie dotrzymują słowa.

Lavinia tak się śmieje, że po twarzy płyną jej łzy.

Louise podaje jej chusteczkę.

Wtedy Lavinia przestaje się śmiać.

– Skąd ją masz?

– Ojej. Od Rexa.

– Dał ci?

– Kichnęłam. A potem zapomniałam mu ją oddać. Przepraszam.

– Pokaż.

Lavinia bierze od niej chusteczkę.

– I pewnie wciąż nosi zegarek.

– Wybacz. Nie zauważyłam.

Lavinia milczy.

A potem rzuca:

– Daj mi zapalniczkę.

Louise daje posłusznie.

Lavinia powoli zaczyna się uśmiechać. Podpala róg chusteczki. Początkowo płomień jest nikły. A potem zajmuje cały materiał.

– Niech to szlag! – Lavinia rzuca chusteczkę.

Przez chwilę stoją w miejscu, obserwując mały uparty ogień na środku ścieżki.

Lavinia ssie kciuk w miejscu, gdzie się poparzyła.

– Widzisz? – pyta cicho. – Nic dla nas nie znaczą, prawda?

Wygląda tak pięknie w blasku ognia.

„Jest taka piękna – myśli Louise – że nie można jej nie wierzyć”.

Lavinia o krok zbliża się do ognia.

– Powinnyśmy być menadami – ciągnie, wciąż cicho i spokojnie.

– Wyrzec się mężczyzn i rozrywać ich zębami, kiedy tylko się zbliżą. Wal się, Reksie Eliot! Wal się, Halu Upchurch! Wal się, Beowulfie Marmont! – Obraca się na pięcie. – A ten twój... jak on się nazywa?

– Eee... Virgil?

– Co za imię!

– Jego matka była nauczycielką historii.

– Virgil i co dalej?

– Bryce.

– Wal się, Virgilu Bryce!

Lavinia odwraca się ku niej.

– No, dalej! Teraz twoja kolej... ty też musisz to powiedzieć, bo inaczej nic z tego.

– Wal się, Virgilu Bryce – mówi cicho Louise.

– To żalosne! – Lavinia chwyta ją za rękę. – Jeszcze raz!

– Wal się, Virgilu Bryce!

– Na litość boską... Wal się, Virgilu Bryce!!!

– Wal się, Virgilu Bryce!!!

– Walcie się, wszyscy faceci!

Dobrze się tak wykrzyczeć.

– Walcie się, wszyscy faceci!

Ogień gaśnie.

Lavinia rzuca:

– Upijmy się.

I się upijają.

Obalają obie butelki szampana, tam, w High Line, pod gwiazdami, przy torach kolejowych schodzących się z naprzeciwka. Piją i Lavinia opowiada Louise o tych wszystkich miejscach, do których razem pojedą, kiedy skończą swoje dzieła, gdy będą już Wielkimi Pisarkami – jedna i druga: o Paryżu, Rzymie i Trieście, gdzie mieszkał James Joyce, Wiedniu, gdzie zobaczą obrazy, i Wenecji, gdzie wezmą udział w karnawale.

Ale Lavinia tam nie pojedzie.

Niebawem umrze. Już to wiecie.

Robią następne zdjęcia. Louise w śniegu. Lavinia na barierce. Lavinia i Louise wychylające się, jakby miały rzucić się w dół.

Wstawiają je.

– Powinnaś dodać go do znajomych na Facebooku – zauważa Lavinia.

– Kogo?

– Rexa. Ma już swój profil, no nie?

Louise sprawdza.

– Rzeczywiście.

– To go dodaj. Hala też.

I Louise dodaje.

Piją, aż zaczynają wirować gwiazdy. Wspierają się na sobie wzajemnie. Robią kolejne śnieżne anioły.

– Louise?

– Uhm?

– Przeczytasz moją powieść?

– Pewnie.

Lavinia siada.

– Fantastycznie. To chodźmy.

– Teraz?

Lavinia już staje.

– To nie tak daleko!

– Jest druga w nocy!

– Nie ma sensu, żebyś jechała taki kawał drogi do siebie, na to

zadupie, no nie? Możesz przenocować u mnie.

Jest taka miła, wręcz błaga.

– Och, nie odmawiaj, Louise. Proszę... proszę... proszę, nie odmawiaj.

I Louise nie odmawia.

Jadą do Lavinii taksówką. Lavinia płaci.

Przytrząskuje drzwiami swoją szeroką spódnicę. Louise ją uwalnia. Lavinia jest bardziej pijana, niż Louise zdawała sobie sprawę, więc musi jej pomóc dostać się do mieszkania. Ale to jej nie przeszkadza. „Przyjemnie jest być użyteczną” – myśli.

– Wreszcie w domu! – Lavinia wtacza się do środka. – Boże, jak tu pusto! Nie znoszę, kiedy Cordy wyjeżdża. – Wlecze się w stronę czajnika. – Napijemy się herbaty. Z krańców Azji! To znaczy z Edgware Road. Chcesz czekoladowo-karmelową czy lawendowo-miętową? I włączymy sobie muzykę! Dobrą muzykę! Nastrojową!

Idzie do komputera; nastawia *Tristana i Izoldę* Wagnera tak głośno, że Louise ma obawę, iż sąsiedzi usłyszą, przyjdą i urządzią awanturę.

– To niech słyszą! – Lavinia wzrusza ramionami. – Do diabła z nimi! Jeśli na Upper East Side czegoś potrzeba, to więcej Wagnerowskiej muzyki!

Jeszcze bardziej podkreca dźwięk.

– Uwielbiam tę część. – Rzuca się na kanapę. I zamyka oczy.

Herbatę parzy Louise, bo prócz niej nikt tego nie robi.

– Z mlekiem...?

– Ciii!

Dolewa mleka.

– To aria kochanków. Są w tej chwili jedyną parą ludzi na świecie. Ona i on.

Louise przynosi herbatę.

– Posłuchaj!

Louise słucha.

– To nigdy nie trwa długo, prawda? Zawsze wreszcie następuje koniec. No nie?

– Tak – potwierdza Louise. Stawia herbatę na stoliku. – Zgadza się.

– Boże, jaka ty jesteś tajemnicza... uwielbiam to! Do licha... mój szlafrok! – Lavinia wyciąga długą bladą dłoń. – Jest w sypialni.

Louise idzie po szlafrok. Jasnoniebieski, jedwabny, poplamiony i bardzo niepraktyczny, w kwiatki. Pomaga Lavinii go włożyć.

Potem siada obok niej na kanapie. Lavinia głaska ją po włosach.

– Jest trzecia w nocy.

– Wiem. Wiem. Ale... tylko jeden rozdział, dobrze? Proszę... Później będziesz mogła przespać się w łóżku Cordy... a ja jutro wstanę wcześnie, przed twoją zmianą, i usmażę nam naleśniki, może być?

– Tylko jeden?

– Tak bardzo mi zależy na twojej opinii! Powinno ci to pochlebiać! – jęczy Lavinia, stawiając stopę na kufrze z parowca. –

Ja czytałabym twoje opowiadania przez całą noc. Gdybyś tylko chciała.

Wyjmuje swój telefon.

– Masz. Tu jest całość.

Blask wyświatlacza oślepia. A tekst jest bardzo drobny.

Louise go przewija.

– To długa powieść?

– Po prostu zacznij czytać. Jeśli nie będzie ci się podobała, możesz przerwać. Zgoda?

– Ledwie mogę odcyfrować.

– Chcę zobaczyć, jak zareagujesz. To najlepszy sposób. Muszę widzieć twoją twarz. I wcale nie oczekuję, że ci się spodoba. Prawdę mówiąc, gdyby za bardzo ci się spodobała... straciłabym dla ciebie szacunek. Więc lepiej, żeby nie przypadła ci do gustu... pod jakimś względem.

– Przestań... na pewno przypadnie mi do gustu!

Jednak w tym cały problem: nie przypada.

Nie chodzi o to, że powieść jest zła. Jest zła – styl zbyt kwiecisty, zdania za długie, aluzje literackie zanadto wymuszone; co druga linijka to cytat; bohaterowie albo monologują o naturze Życia i Sztuki, albo robią coś bardzo symbolicznego, co nie do końca przekonuje. Gorzej – powieść jest manieryczna i pretensjonalna. Występuje w niej niejaka Larissa, piękna, jasnowłosa, w typie świętej, której pasje są znacznie głębsze, ważniejsze i bardziej wartościowe niż wszystkich innych.

Nawet Louise zna pierwszą zasadę dobrego pisarstwa: nigdy nie zakładaj, że twoje życie jest bardziej wartościowe niż wszystkich innych tylko dlatego, iż ty tak twierdzisz. A Larissa traktuje życie jak twórczość i chce żyć, jakby tworzyła, tyle że to, oczywiście, niemożliwe, ponieważ nikt wokół niej nie rozumie takich koncepcji

jak Piękno i Prawdziwa Miłość. Bohaterka próbuje zawrzeć pakt samobójczy ze swoim kochankiem, który, rzecz jasna, na nią nie zasługuje i nie wyraża zgody, więc sama bez wiarygodnego powodu skacze z mostu.

I za dużo w tej powieści wykrzykników.

Louise miotają sprzeczne uczucia. Stara się jednak nie pokazywać tego po sobie.

Jest zakłopotana, jakby przyłapała kogoś na oglądaniu pornosów. Ma wrażenie, że zobaczyła coś naturalistycznego i intymnego, nagiego i bezbożnego.

Jest zła, bo wszystko, co pisze Lavinia, jest wyrazem pewności, że jej przemyślenia, jej namiętności, jej filozofia i jej zawód miłosny zasługują na zainteresowanie czytelnika, są warte jego czasu, a Louise sama nigdy takiego przekonania nie miała.

I czuje też ulgę.

Że ma coś, czego nie ma Lavinia.

Jej oczy stają się szkliste. Jest zmęczona; chce spać – strasznie chce – ale Lavinia patrzy na nią i podryguje na kanapie, z uśmiechem kiwa głową, więc jeśli w jakiś sposób – jakikolwiek – zdradziłaby się z tymi wszystkimi uczuciami, już nigdy by tego nie odkręciła.

– I co myślisz? – Lavinii brakuje tchu.

Louise się waha.

– Uważasz, że to jest niedobre.

– Nie! Nie... wcale nie!

Lavinia zanosi się śmiechem.

– Nie byłam pewna.

– Jest dobre! To... naprawdę jest dobre!

– Ale?

Louise bierze głęboki oddech.

Lavinia też bierze głęboki oddech.

– Ale nic...

– No, mów! – Lavinia klepie ją po dłoni. – Zawsze coś jest nie tak.

– Chodzi tylko o to, że...

– Tak?

– Hm... Larissa to ty, oczywiście.

– Dlaczego „oczywiście”? – Lavinia szybko mruga powiekami.

– Bo takie ma imię.

– A jakie by miała mieć?

– To znaczy... zastanawiam się, czy... – Louise musi być ostrożna. – Zastanawiam się, czy nie ma tu za dużo zbieżności.

– Za dużo? To ty mi powiedz. Zniosę to. Naprawdę zniosę. Mów.

– Nie. Nie za dużo. Tylko... masz zbyt mały dystans do swojej bohaterki, nie sądzisz?

– Co to ma znaczyć?

Louise widziała już u niej ten wyraz twarzy. Widziała go w sylwestra, kiedy Mimi rozdarła jej sukienkę.

– Nic takiego.

– Według ciebie jestem wobec niej zbyt wyrozumiała czy coś w tym stylu?

– Tego nie powiedziałam!

– Przepraszam. – Lavinia oddycha głęboko. – Przepraszam. – Okrywa kolana kocem. – Przykro mi. Masz rację. Powinnam...

jestem zbyt zmęczona i już. Jestem zmęczona i w kiepskim nastroju. Powinnam pozwolić ci pójść do domu.

Podciąga koc pod brodę.

A Louise ogarnia niepokój: „Nie może mi tego zrobić”.

„Chyba oszalałaś, żeby ją o to posądzać – wyrzuca sobie. – Jesteś podła, myśląc tak o niej. Po prostu zapomniała. I to wszystko. Zapytaj, czy możesz zostać – przypomnij jej – i będzie po sprawie. Nie możesz stale podejrzewać ludzi o najgorsze”.

Lavinia już zamknęła oczy.

Louise ma świadomość, że wystarczy, aby tylko zagadnęła: „Ale mogę zostać, prawda?”. Boi się jednak, że Lavinia odpowie „tak”, a pomyśli „nie”, że rano usmaży naleśniki, a potem już więcej do niej nie zadzwoni, ponieważ właśnie schrzaniła sprawę, bo nie ulega wątpliwości, że schrzaniła. Nikt nie chce znać prawdy o sobie i sama – oczywiście – powinna była wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Tak łatwo byłoby, myśli, zwyczajnie poprosić o to, czego chce.

– Bardzo mi się podoba – mówi w końcu.

Lavinia otwiera oczy.

– To właśnie próbowałam powiedzieć. Ta powieść jest bardzo... emocjonalna. Bardzo... autentyczna.

– Naprawdę? Tak uważasz?

– Będziesz wielka, Lavinio. Nie mam żadnych wątpliwości. Żadnych.

Tamtej nocy po raz pierwszy Louise uzmysławia sobie, jaka Lavinia jest młoda.

Nietrudno ją okłamać.

To następna rzecz, którą uświadamia sobie Louise.

Lavinia obejmuje ją obiema rękami; ściska tak mocno, że Louise nie może oddychać.

– Boże, tak bardzo cię kocham – mówi. – Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. – Zarzuca koc na stopy Louise. – Nikomu innemu nie dałabym tego przeczytać, nawet Cordy. Nikomu oprócz ciebie.

Louise opiera głowę na ramieniu Lavinii, która ujmuje jej dłoń.

Myśli: „Nie możemy jednocześnie być kochani i szczerzy”.

To bardzo proste, zdaje sobie sprawę Louise. Na świecie żyją dwa typy ludzi: tacy, których możesz zwieść, aby zyskać ich sympatię, i tacy, którzy są na tyle inteligentni, aby nie dać się nabrać.

Tamtego dnia, kiedy pierwszy raz rozjaśniła włosy – w tamtym miesiącu, gdy przeprowadziła się do Sunset Park, kupiła książkę z mantrami, zmieniła numer telefonu i zablokowała w mediach społecznościowych Virgila Bryce’a – spojrzała do lustra i zrozumiała, że może się podobać.

Poczuła się tak, jakby uszło jej płazem jakieś oszustwo.

Upewniała się co do tego z miesiąc czy dwa. Najpierw te męty, które na nią gwizdały, potem starsi faceci w barach, a nawet bardziej zbliżeni do niej wiekiem, też w barach i na Tinderze, wtedy gdy jeszcze z niego korzystała (wyznawca poliamorii, zbok i ten, który się ulotnił). Mężczyźni uważali ją za atrakcyjną.

Ale zachowywali się tak, rozumiecie, tylko dlatego, że byli głupi.

Nie widzieli w niej Louise.

Widzieli blondynkę, szczupłą i niebrzydką, i nie dość rozumni myśleli, że jest nią naprawdę, a nie tylko udaje. I inne jej cechy (wyrafinowanie, inteligencję, otwartość na eksperymenty w łóżku) także uważali za prawdziwe, tacy byli głupi.

Ale to nigdy nie trwa długo. Louise o tym wie. Nie można zwodzić w nieskończoność, nawet jeśli ma się do czynienia z najgłupszymi. Pewnego dnia zrozumieją, że wszystko, co uważają w tobie za atrakcyjne, jest fałszem.

Zwiodła Lavinie, dochodzi do wniosku, więc ta musi być od niej głupsza. Ma sobie za złe, że tak o niej myśli, bo doznała od niej tylko życzliwości, niemniej jednak tak właśnie myśli.

Chyba że Lavinia powiedziała: „Jedź do domu”, bo miała świadomość, że to niemożliwe – o tej porze, przy takim zimnie...

Takie rozważania Louise też ma sobie za złe.

– Louise?

Lavinia już prawie zasypia.

– Tak?

– Nie sądzisz, że jestem jakby... zbyt intensywna?

– Zbyt intensywna?

– No, wiesz. Zbyt przytłaczająca. Męcząca.

– Nie – odpowiada Louise. – Jasne, że nie. A ja taka jestem?

– Nie, skąd – mamrocze Lavinia. – Ty jesteś... to znaczy... wręcz odwrotnie...

Louise milczy.

– Kocham cię. – Lavinia zaczyna chrapać na jej ramieniu.

Louise usiłuje przespać się na kanapie, bo jeśli wstanie, obudzi Lavinie. Bawi się telefonem. Czyta głupie artykuły z „Misandry!”.

Chce jej się płakać.

Wyrzuca to sobie, bo przecież miała taki udany wieczór – może nie wśród tych dupków w księgarni, ale później. Przeżyły wspaniałą noc, dostały się do High Line i spaliły chusteczkę Rexa jako symbol wszystkich mężczyzn na całym świecie, tych, którzy kiedykolwiek je skrzywdzili, i rozbijały się po mieście taksówkami, za które Louise nie musiała zapłacić, a teraz śpi w takim pięknym mieszkaniu, w otoczeniu takich pięknych przedmiotów, ma przy sobie kogoś, kto wziął ją za rękę i powiedział: „Kocham cię”, a poza tym tego dnia robiły wszystko to, co w Devonshire uznałyby za wspaniałe i ze wszech miar właściwe; byłaby dumna, gdyby przyszło jej na myśl, że może robić to w Nowym Jorku.

„Jestem beznadziejna – mówi sobie. – I tyle”.

Patrzy na zdjęcie ich obydwu, które Lavinia wstawiła do internetu.

Są w High Line. W otoczeniu śniegu, oszronionych gałęzi i gwiazd, których za sprawą filtra nie da się odróżnić od świateł miasta.

„Wyglądamy na szczęśliwe” – myśli Louise. Może i były.

Wszyscy zdjęcie lajkują. Ojciec Romylos, Gavin Mullaney, nawet Beowulf i tylu innych, których nazwiska przynajmniej już coś jej mówią.

Mimi Kaye też.

„Hej, kotku!”

Mimi włączyła Louise do grona znajomych.

„Szałowo wyglądasz na tych fotkach”. Emotikon przedstawiający uśmiechniętego kota, który puszcza oko.

„Dzięki” – odpisuje Louise.

Flirtujący lisek z oczami w kształcie serca. „Fajnie tam, co?”

„Tak, było miło, dzięki”.

„Lavinia i ja stale tam bywałyśmy, cha, cha, cha. Kiedyś nawet zdarzyło nam się zasnąć. Złapał nas glina, ale dzięki Lavinii jakoś się wywinęłyśmy. Śmieszne, co nie?” Kurczak umalowany jak klaun.

„Nie wydaje Ci się, że to śmieszne?” Sowa w czapce, todze i okularach, wyglądająca na dociekliwą.

Louise nie odpowiada.

I nie zasypia.

Trzecia impreza, na którą Lavinia zabiera Louise, to przyjęcie w lofcie na tyłach Jefferson L, w sali teatralnej, której właścicielem jest jej znajomy; całe półpiętro zamienili tam w bibliotekę tomów poetyckich. Czwarta impreza to dobroczynny występ kabaretowy w Laurie Beechman Theatre przy Hell's Kitchen, na którym wszyscy oprócz nich mają około pięćdziesiątki, makijaż permanentny i szale z cekinów. Piąta odbywa się w Gramercy, to promocja albumu pod tytułem *Seksualne sekrety Europy* autorstwa zdegenerowanego australijskiego podróżnika nazwiskiem Lydgate, który musi mieć około pięćdziesięciu pięciu lat, a wygląda na osiemdziesiąt, i wtedy Louise zażywa kokę, czego nigdy wcześniej nie robiła, i ściga się z Lavinią przez całą Pierwszą Aleję.

Chadzają na przyjęcia, na które żadną z nich nikt nie zapraszał.

– Nic trudnego – twierdzi Lavinia. – Wchodzisz i już.

Robią sobie identyczne tatuaże. To pomysł Lavinii.

– Nie chcę zapomnieć naszej wyprawy nad ocean – uzasadnia. –

Pragnę przez cały czas wracać myślami do tamtej nocy. Zamierzam ją uwiecznić.

Stoją na Saint Mark's Place, w najdroższym i najmniej higienicznym w całym Nowym Jorku miejscu na robienie tatuażu. Są pijane, bo właśnie wyszły z nielegalnego baru, do którego

można się dostać tylko przez budkę telefoniczną po zgłoszeniu swojego nazwiska dwie godziny wcześniej. Przedtem wstąpiły do perfumerii przy Czwartej Wschodniej, ponieważ Lavinia chciała zamówić swój firmowy zapach o nazwie Sehnsucht, który Louise czuje na wszystkich jej ubraniach, i tamtego wieczoru składa zamówienie także na własny (za który również płaci Lavinia), z mniszka lekarskiego, paproci, tytoniu i wrzosu, ale kiedy potem go wącha, uważa, że pachnie nie tak, bo nie przypomina perfum Lavinii.

– Chodź! – woła Lavinia. Weszła właśnie do obskurnego studia; nawet Louise wie, że zachodzą tam tylko świeżo upieczeni studenci Uniwersytetu Nowojorskiego. – Boże, Louise, czy ty chcesz żyć?

Dwie godziny później Louise trzeźwieje w Washington Square Parku i uświadamia sobie, że obie mają wytatuowane na przedramionach malutkimi literami „Więcej poezji!!!” i że wcale nie przeraża jej to tak, jak powinno.

– W najgorszym razie – Lavinia wzrusza ramionami – usunie się go laserem. To nie takie drogie.

Opiera się barkiem o ramię Louise.

Trzymając się za ręce, cykają sobie fotkę.

W internecie mają wiele takich fantastycznych zdjęć. Jedno zrobione w Lincoln Center, dokąd wpadły po operze, przed balem kostiumowym w MacIntyre; zdjęły tam swoje wieczorowe suknie, żeby pokazać gorsety, które miały pod spodem. Inne przedstawiające je w saniach na tak zwanym tweedowym pikniku w Bryant Parku, z udziałem snobistycznego towarzystwa.

Wszyscy te fotki lajkują.

– Wygląda na to, że wreszcie dbasz o siebie – komentuje matka Louise przez telefon. – Masz ładne włosy.

Louise farbuje je na nieco bardziej truskawkowy blond. Lavinii w nim do twarzy, myśli, a mają taki sam odcień skóry.

Znajomi z Devonshire też lajkują – ci, którzy ledwie raczyli się do niej odezwać. Podobnie Beowulf Marmont. I facet, który się ulotnił.

On lajkuje nie raz.

Louise kończy swoje opowiadanie. Nawet rozsyła je do czasopism.

Obie siedzą na kanapie w mieszkaniu Lavinii, w którym unosi się woń kadzidelka, i trzymają na kolanach laptopy; nastawiły timer i przez godzinę mają pisać, i chociaż Lavinia co chwila się nudzi, wstaje, żeby zaparzyć dzbanek cynamonowo-rodzynkowo-daktylowej herbaty, a potem o tym zapomina, Louise pracuje. Lavinia zamawia na Seamless kolację dla nich obu – tak luksusowo jest jeść coś, co ugotował ktoś inny, i nie musieć potem zmywać.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – komentuje Lavinia. – Dzięki tobie dobrze się prowadzę. Inspirujesz mnie.

Po przyjęciu walentynkowym w redakcji „Fiddlera” Louise wysłała Gavinowi Mullaneyowi esej o Devonshire. Nie jest o tym, o czym chciałyby napisać – czyli jak przez tydzień udawała, że chodzi na Academy – bo woli nie pisać o sobie; tworzy jednak coś w rodzaju reportażu o pewnym szalonym zdarzeniu, do którego doszło, gdy była w drugiej klasie: parze dzieciaków z Academy odbiło i uciekły, a potem szukała ich cała policja. Gavinowi się

podoba.

„Nie jestem wielbicielem fikcji literackiej – pisze – i nie interesuje mnie szczególnie charakterystyka bohaterów, bo osobiście nie odczuwam empatii wobec innych, ale to świetnie się czyta, a inni najwyraźniej lubią historie o pierwotnych emocjach.

Mogłabyś przy okazji wstawić ten tekst na Tweeta?”

Po kilku dniach sugeruje, żeby skontaktowała się z drugą na liście jego ulubionych dziewczyn (prowadzi arkusz kalkulacyjny), niejaką Michelle-Ann, która odeszła z „Misandry!”, żeby założyć nowe czasopismo, bardziej interdyscyplinarne, „The New Misandrist”. I Louise się kontaktuje.

Louise sama daje się ogłupić.

Nie przejmuje się już tak pieniędzmi (choć nie wie, czemu nigdy nie ma forsy, mimo że to Lavinia za wszystko płaci). Opuszcza się w pracy dla GlaZam. Je pieczywo (Lavinia uwielbia croissanty z Agata & Valentina i upiera się, żeby kupować ich tuzin, chociaż sama zjada tylko jednego). Zaczyna ufać ludziom, tak jak Lavinia; zyskuje poczucie bezpieczeństwa wynikające ze świadomości, że na świecie panują porządek i ład i nie może się wydarzyć nic nieodwracalnego.

Już nie czeka na jego koniec.

Aż do pewnej nocy.

Tego wieczoru przepaja ją szczęście. Były w muzeum na Lower East Side, gdzie uczestniczyły w przyjęciu ku czci autora ilustracji erotycznych poświęconych Baletom Rosyjskim, zostały dłużej w koktajlbarze w stylu Marii Antoniny i teraz jest w takiej euforii,

że wypija o jeden kieliszek szampana za dużo – wie o tym. Potem długa, wolna jazda metrem i po wyjściu na peron zaczyna śpiewać.

A Louise nigdy nie śpiewa.

Wracając do domu, zawsze się kuli. Wkłada ręce do kieszeni. Patrzy przed siebie. Zawsze ma już klucze w dłoni.

Zawsze.

Jednak tej nocy Louise jest pijana i Lavinia zaprosiła ją do opery za parę tygodni, a do tego obiecała uszyć jej sukienkę. Oczywiście to Louise ją uszyje, ale Lavinia kupi materiał i dodatki w stylu retro; poza tym mają tyle wspaniałych planów, że z radości Louise nuci *As Time Goes By*, bo właśnie to grali na przyjęciu w stylu Baletów Rosyjskich, i w efekcie zapomina wyjąć klucze z torebki.

– Ładny masz głos, mała.

On zawsze tu jest.

Tej nocy Louise się go nie boi. Odrzuca swoje truskawkowoblond włosy i posyła mu zabójcze spojrzenie, jak Lavinia barmanom, kiedy nie chce za coś zapłacić.

– Może nauczysz mnie tak śpiewać?

– Nie, dziękuję! – Idzie, niemal podskakując.

– Jak masz na imię?

– Nie twoja sprawa!

„Ślą łaskę niebiosy – myśli Louise tą częścią swojego mózgu, która jeszcze jest w stanie myśleć – jest dobrze na ziemi” ⁵.

– Pytałem, jak masz na imię!

– Artemisia Gentilleschi! – Macha rękami.

– Kpisz sobie ze mnie?

Jest blisko niej. Nie zdawała sobie sprawy, jak blisko.

– Hej! Pytałem cię o coś!

Łapie ją za ramię.

W tym cała rzecz: da się oszukać tylko siebie. Jeśli chcesz, możesz mamrotać niewyraźnie – możesz przesadzić z alkoholem, śmiać się, szczerzyć w uśmiechu, poprawiać szminkę i mówić „upijmy się – poezją i cnotą”, możesz przez jakiś czas udawać, że jesteś człowiekiem – jednak w końcu wyjdzie na jaw, kim jesteś naprawdę.

Jeśli ktoś podchodzi za blisko, uciekasz.

Jeśli idzie za tobą, biegniesz szybciej.

Odwracasz się.

On się waha.

I robisz to, co konieczne.

A jeżeli jesteś na tyle leniwa, głupia i arogancka, aby zapomnieć o wyjęciu kluczy – tego jednego razu jesteś na tyle leniwa, głupia i arogancka, aby o tym zapomnieć – musisz użyć tego, czym dysponujesz.

Własnego łokcia. Paznokci. Zębów.

Uderzasz nieznajomego w oko, zanim zdążysz się zorientować, czy chce cię zgwałcić, czy tylko powiedzieć, że masz ładny uśmiech.

Bijesz go, drapiesz i szarpiesz za włosy, a nawet kopiesz, prosto między nogi, dopóki nie upadnie na ziemię.

Kopiesz go jeszcze raz, na wypadek gdyby nadal chciał za tobą iść.

I uciekasz.

Louise przestaje dygotać dopiero na schodach.

Nie pozwala sobie płakać, dopóki nie znajdzie się w środku.

Nie pozwala sobie krzyczeć. Nawet teraz. I nigdy potem. Przyciska do piersi rękę, tę z siniakiem w miejscu, w którym ją chwycił, tam gdzie na przedramieniu goi się jeszcze tatuaż „Więcej poezji!!!”, i stara się oddychać bardzo powoli, głęboko, spokojnie, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Ściska ją w gardle.

„Ty głupia – myśli. – Zaslugujesz na całe zło, jakie cię w życiu spotka”.

Może i jest pełnia księżyca. Może gwiazdy świecą jasno. Może papierosy pachną jak kadzidło.

Ale nie dla niej, myśli. Nie dla takich jak ona, którzy nie mieszkają na Upper East Side, nie studiują w Yale, nie mają nawet naturalnych blond włosów.

Każdy, kto jej to mówił, miał rację.

– Bzdury – kwituje Lavinia, kiedy następnego dnia Louise chce jej zwrócić bilet do opery. – To premiera sezonu.

Louise podała jakiś niejasny i nieprzekonujący powód. Paul potrzebuje dodatkowych korepetycji, bo pali za dużo trawki. Coś w tym rodzaju.

– Bilety są kupione – zamyka sprawę Lavinia, jakby do tego sprowadzała się cała trudność.

Zauważa siniaka na ręce Louise.

– Boże święty!

Louise tłumaczy, że to nic takiego, że zrobił go jej tylko jakiś

facet, który ją zaczepia, a ostatnim razem trochę go poniosło, bo była niemiła, takie rzeczy zdarzają się stale.

– Stale?

Lavinia wyciąga nogi i kładzie na kufrze z parowca. Wachluje się pawimi piórami. Podkręca muzykę.

– Możesz zająć pokój Cordy – rzuca. – Nie będzie jej przez całe lato, bo wyjeżdża do Paryża.

Głupota. Louise ma tego świadomość.

Ale w sumie to przecież tylko wolny pokój przy Siedemdziesiątej Ósmej i Lex.

Tydzień później Lavinia wynajmuje furgonetkę przewozową. Pojawia się w Sunset Park w rozszerzanych spodniach, z szalem zawiązanym na głowie, niczym odkrywczynie z lat trzydziestych, jakby właśnie wyruszała na jakiś niebezpieczny nieznaną ląd, chociaż to tylko południowy Brooklyn (nawet nie prawdziwy południowy Brooklyn, jak Gravesend czy Bensonhurst, tylko Sunset Park). Patrzy ze zdumieniem na prowadzone przez Latynosów sklepiki, białe plastikowe krzesła, sikającego na korytarzu Greka.

– Bardzo mi się tu podoba! – mówi. Stuka papierosem o ścianę. – Powinnaś faceta opisać. Stuknięty Grek... może to jakiś prorok. W „Fiddlerze” byliby zachwyceni.

Louise nie chciałaby nigdy więcej wracać myślą do stukniętego Greka.

Wsiadają do furgonetki, którą Lavinia najwyraźniej potrafi prowadzić („Nauczyłam się któregoś lata w Newport. Skosiłam

skrzynkę pocztową”), z pojedynczym pudłem bezużytecznych rupieci; Louise i tak nie zamierza ich zatrzymać.

Jest on, na rogu.

Ma podbite oko. I rozciętą wargę.

Widzi ją. Podnosi głowę.

– Coś nie tak?

– Nic – odpowiada Louise. – Jedź.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła...

– Jedź!

Na twarzy Lavinii z wolna pojawia się dziwny uśmiezek.

– To chyba nie...

– Proszę, Lavinio.

Chce tylko stąd odjechać. Nigdy więcej nie zobaczyć tej ulicy, mieszkania ani żadnego z tych sklepików ze sprzedawanymi na sztuki papierosami, dyndającymi różańcami i jednakowo opakowanymi posiłkami do odgrzania w mikrofalówce.

Lavinia hamuje.

Jest fatalnym kierowcą; Louise leci do przodu tak gwałtownie, że zółć podchodzi jej do gardła.

– Jak on śmiał? – odzywa się Lavinia. – Jak śmiał, do cholery?

– Chciałam tylko...

Ale ona wysiada już z furgonetki.

– Hej!

Staje naprzeciwko tamtego.

– Hej! Ty!

– Co pani...

– Ty... ty... ty beznadziejny śmieciu!

Louise nie może oddychać.

Siedzi w samochodzie, przypięta pasami do fotela. Wie, że powinna wysiąść, coś zrobić, coś powiedzieć, przerwać to, ale nie może się na to zdobyć, serce zbyt szybko bije jej w piersi – a Lavinia wygląda śmiesznie, w tych swoich kremowych powiewnych spodniach, które już są szare (na miłość boską, jest dopiero kwiecień), i z zawiązanym na głowie szalem, krzycząca na faceta z podbitym okiem i rozciętą wargą.

A najzabawniejsze ze wszystkiego, że on wydaje się zmieszany.

Louise niemal go żal.

– Proszę pani, nie wiem, o co pani...

– Powinieneś zostać... rozciągnięty na kole i poćwiartowany. Powinieneś skończyć na szubienicy!

On patrzy na nią osłupiały.

Oczywiście Lavinia nie mówi poważnie. Nie żyje w realnym świecie, w którym kiedy biała kobieta wygarnia czarnemu mężczyźnie, że powinien zawisnąć, to nie ma na myśli tego, co znaczyłoby to w świecie Lavinii, gdzie panowie wciąż pojedynkują się na szpady czy muszkiety, a następnego ranka wymieniają ukłony – Louise zdaje sobie z tego sprawę. Lavinia nie jest nawet świadoma, co robi – nawet teraz, kiedy on patrzy na nią, jakby go uderzyła – i Louise myśli jedynie: „Cholera, cholera!”, po czym wyskakuje z furgonetki, tak mocno chwyta Lavinie za ramię, że ta wrzeszczy i piszczy: „Puść mnie!”, niemal zaciąga ją na miejsce dla pasażera; wyszarpuje kluczyki i wciska pedał, bo Bóg wie, że Lavinia nie umie prowadzić tego rzęcha. Z piskiem opon, zanim

ktokolwiek zdąży coś powiedzieć, są już na Park Slope.

– Co to miało być? – Lavinia rozciera ramię w miejscu, gdzie chwyciła ją Louise.

– Nie powinnaś była tego robić. – Nie odrywa wzroku od drogi.

– Czego? Bronić cię?

– Mówić tego, co powiedziałaś.

– Czyli czego? On... cię znieważył!

– Nie możesz tak po prostu... – Serce Louise dopiero teraz wraca do normalnego rytmu. – Nie możesz... cholera jasna... wygadywać takich rzeczy bez zastanowienia.

Nie ma pojęcia, dlaczego go chroni. Nic zrobił nic złego poza tym, że latami łąził za nią, gdy wracała do domu. Poza tym, że ją wyzywał, mówił, że ją zerżnie, albo wręcz przeciwnie, nie zerżnie, choćby miało go to kosztować życie.

„A jeśli zwyczajnie próbował być miły?” (jak może po tym wszystkim tak myśleć?).

„A jeśli powinnam była go zapytać, jak ma na imię?”

Louise jest zła na siebie i na Lavinie, że były takie głupie, zła, że Lavinia miała dobre intencje i teraz nie wie, o co chodzi, i nic nie mówi.

Jadą w milczeniu przez całą drogę, aż na Upper East Side.

– Wiesz – zaczyna Lavinia, kiedy Louise zatrzymuje furgonetkę.

– Myślałam, że będziesz mi wdzięczna.

Łóżko jest miękkie. Narzuta zakardowa, obszyta futrem. Ściany mają ozdobne gzymsy. U sufitu wisi modernistyczny żyrandol z połowy dwudziestego wieku. Są perskie dywany i szafa w stylu

art nouveau, kupiona przez Lavinie na pchlim targu obok Flatironu, stare pocztówki ze wszystkich tych miejsc, w których były z Cordelią w dzieciństwie. Na szafce nocnej stoi w ramce zdjęcie obu sióstr.

W szafie nie zmieszczą się już ubrania Louise. Lavinia powiesiła w niej swoje sukienki – balowe, vintage, z tafty i jedwabiu, z cekinami i piórami, a także aksamitne spodnie, które nosi w te wieczory, kiedy chce wyglądać jak Marlena Dietrich.

– Przepraszam – mówi teraz. Jest w swoim jasnoniebieskim poplamionym szlafroku. Włosy ma rozpuszczone. – Nie pomyślałam o tym. Ale w końcu... nie masz za dużo ciuchów. Jeśli chcesz, możesz chodzić w moich! – mówi lekkim tonem. – Jak to dobrze, że nosimy ten sam rozmiar, co? – Przynosi Louise kieliszek szampana. Jest dziesiąta przed południem. – A przy okazji... –

Siada na łóżku, na sportowych bluzach Louise. – Tak się zastanawiałam... Powinnaś zapisać się do ClassPass. Ja mam taki zamiar. Dzięki temu mogłybyśmy ćwiczyć razem, przedpołudniami. Boże, wiem, wiem... ale wstępuję na drogę cnoty. Będę wstawała wcześniej... tak jak ty. Najwyraźniej po dwudziestce zwalnia tempo przemiany materii... muszę się bardziej pilnować.

Do Louise dopiero po chwili dociera, że Lavinia nie zdaje sobie sprawy z jej wieku.

– Daj mi swój telefon. Zapiszę cię. – Lavinia bierze jej torebkę. – Masz tu kartę kredytową?

– Ile to kosztuje?

– Niewiele. Ze... dwieście dolarów? Sto dziewięćdziesiąt? Coś takiego.

Lavinia wyjmuje kartę.

– To trochę drogo – oponuje Louise.

– Och, nie przejmuj się! – Lavinia się rozpromienia. – Ale nie ma żadnych ograniczeń. Możesz zapisać się na wszystkie zajęcia, na jakie chcesz... Co ty na to, żebyśmy chodziły nawet dwa razy dziennie?

– Nie sądzę, żeby...

– Byłoby tak zabawnie! Wiesz, jaka jestem, Louise... do wszystkiego trzeba mnie zmuszać. Inaczej nic bym nie zrobiła. Nie byłabym w stanie pisać... i ten cały urlop dziekański poszedłby na marne, no nie? Gdyby nie ty, przez cały dzień leżałabym w domu i piła... widzisz, masz wobec mnie moralny obowiązek. Moje życie spoczywa w twoich rękach! – Kładzie się z powrotem na poduszki.

– Poza tym czy nie oszczędzisz mnóstwa forsy, nie wynajmując mieszkania?

– Trochę.

Lavinia siada wyprostowana.

– Ile za nie płaciłaś? No wiesz, tam...

Louise się waha.

– Osiemset.

– I to wszystko?

– To było mieszkanie o stałym czynszu. – W niektórych miesiącach nawet te osiemset dolarów wydawało się niebotyczną sumą.

– No to idealnie. Oszczędzasz osiemset, wydajesz dwieście... i jeszcze zostaje ci sześćset miesięcznie, zgadza się? – Podrzuca kartę. – A obie schudniemy... o mój Boże! Będziemy wyglądały

jak... sylfidy.

Unosi głowę i patrzy na Louise jak pies.

– Ojej... proszę, powiedz „tak”.

Louise jest bardzo, bardzo wdzięczna.

Prawda?

Bierze swoją kartę. I telefon.

– Zrób to od razu... no już.

I Louise robi. Dwieście dolarów miesięcznie.

– Dziękuję ci! Dziękuję! Dziękuję! – Lavinia całuje ją w czoło.

A potem rzuca:

– Chodź!

Wyciąga swoją komórkę.

– Zdjęcie – mówi. – Czeka... nie. – Pociąga usta szminką.

Wyjmuje inną sukienkę. – Włóż to.

Cykają sobie selfie na karabaskim dywanie w salonie.

Lavinia je podpisuje: *En famille*. A wszyscy lajkują.

Nawet Mimi Kaye.

– W co się ubierzesz na wieczór?

Louise jest wykończona. Ma jeszcze lekcję z Paulem, potem z Milesem i z dziewczyną o imieniu Flora, aż w Park Slope. Musi popracować jeszcze ze trzy godziny dla GlaZam. A nazajutrz czeka ją poranna zmiana w barze.

– A co jest dziś wieczorem?

– Jak to co? – Lavinia się śmieje. – Boże... co się dzisiaj z tobą dzieje?

– Ja nie...

– Premiera. *Romea i Julii*.

– A niech to. Opera. – Louise zupełnie zapomniała.– Jezu... Lavinio, padam z nóg!

– Ale nie widzisz... świetnie się ułożyło! Teraz nie musisz się martwić powrotem do domu. Później możemy po prostu wziąć taksówkę. Ja płacę. – Mówi to wszystko tak niewinnie, jakby Louise dopiero co nie musiała wydać dwustu dolarów na siłownię, żeby sprawić jej przyjemność. – Ojej... powinniśmy to uczcić! Jesteśmy teraz współlokatorkami... czy nie po to była ta cała przeprowadzka?

Uśmiech zastyga jej na twarzy.

– Oczywiście – uspokaja ją Louise. – Wrócę po swojej zmianie.

– Dobrze – odpowiada Lavinia. – Jest tylko jedna drobna sprawa. Zarząd tutejszej spółdzielni mieszkaniowej... no wiesz. Mają surowe zasady co do kluczy.

– Jakich kluczy?

– Dlatego Cordy ma jeden komplet, ja drugi i na tym koniec. Nawet sprzątaczką nie ma swojego. Więc... będziesz musiała dzwonić przez domofon, żeby cię wpuściła. To chyba nie problem, prawda?

– Jasne, że nie – odpowiada Louise.

Odbywa lekcję z Paulem. Odbywa lekcję z Milesem. Jedzie do Park Slope, żeby odbyć lekcję z Florą, a potem wraca całą tę drogę.

Dzwoni przez domofon.

– Co ci zajęło tyle czasu? – Lavinia ma na sobie długą czerwoną suknię z jedwabiu, która szeleści przy każdym kroku. Włosy

zakręciła w loczki, usztywniła żelem i upięła.

Pewnie przygotowywała się na wieczór, odkąd Louise wyszła.

– Jazda metrem.

– Dobra, to teraz się pospiesz...

Jest dopiero czwarta. Louise chciałaby popracować jeszcze ze dwie godziny dla GlaZam.

– Muszę coś dokończyć.

– To nie może poczekać do jutra?

Nazajutrz też będzie miała co robić.

– Dziś wieczorem jest gala – przekonuje Lavinia. – Posłuchaj... posłuchaj tylko, mam dla ciebie idealną suknię. Chciałabym ubrać cię na biało, dobra? Mam taką kieckę od tego sprzedawcy z Paryża, na Etsy. Została uszyta w latach pięćdziesiątych... dałam za nią fortunę, ale jest taka piękna. Miałam ją na sobie już tyle razy... że więcej jej nie włożę. Wyjęłam ją z szafy z myślą o tobie.

Sukienka jest z tafty i jedwabiu, prezentuje się niezwykle efektownie. Louise nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby włożyć na siebie coś takiego.

– Jesteś pewna?

– Będziesz wspaniale w niej wyglądać! I ułożę ci włosy... to zajmie chwilę, przedtem trzeba by je trochę zakręcić. Dodać im nieco życia! Boże, taka jestem podekscytowana! I przyjdzie Rose... będzie robić zdjęcia do „Last Night at the Met”.

Każe Louise się rozebrać. Potem zapina na niej suknię, która leży idealnie.

– Już nigdy więcej jej nie włożę – mówi.

– Dlaczego?

– Tragiczne wspomnienia. – Louise widzi w lustrze, że Lavinia się uśmiecha. – W tej sukni straciłam dziewictwo.

– O matko!

– Potem oddałam ją do pralni. A w ogóle wcześniej zdjęłam. Oczywiście.

Lavinia sadza Louise przed toaletką. Podłącza do prądu lokówkę.

– Siedź spokojnie.

Ciągnie jej głowę w lewą stronę. Louise zwraca ku niej wzrok.

– A ty jak straciłaś dziewictwo? – Lavinia ujmuje pasmo delikatnych, starannie ufarbowanych włosów i owija je wokół lokówki. Przy okazji parzy jej ucho.

– Normalnie... a jak?

– Było przyjemnie?

– W porządku.

Nie było w porządku. Musiała o to bardzo zabiegać.

Ale wtedy, oczywiście, nie była jeszcze atrakcyjna.

– Czy to stało się z... jak on miał na imię? Victor?

– Virgil.

Louise jest naprawdę wyczerpana. I nie chce o tym rozmawiać. Ale Lavinia jest dla niej taka dobra. Z roztargnieniem głaska ją po włosach.

– Co za kretyn – mówi. – To znaczy... tak przypuszczam. Nie doceniał cię. Ale nie wyobrażam sobie, żeby był na świecie facet, który by na ciebie zasługiwał... popatrz tylko na siebie. – Unosi brodę Louise. – Jesteś piękna.

Louise wciąż jeszcze się na to uśmiecha.

– Powinien był zabrać cię... w najromantyczniejsze miejsce w New Hampshire. Na łono... przyrody! Do chaty, powiedzmy, z wielkim kominkiem, na którym płonie ogień, i ze skórami zwierząt na podłodze.

Tak się składa, że Louise straciła cnotę na łonie przyrody. W lesie za kortami tenisowymi Devonshire Academy.

– A ja straciłam dziewictwo po przedstawieniu operowym – wyznaje Lavinia. Mówi o tym tak obojętnie. – Miałam siedemnaście lat. – Patrzy w zamyśleniu do lustra, w którym widzi ją Louise. – Mówiłam ci już o tym?

– Nie.

– Chodziliśmy ze sobą od roku... to długo, jeśli się teraz nad tym zastanowić. Ale oboje byliśmy, no wiesz... tacy niewinni. On odgrywał dżentelmena... opowiadałam ci. Był taki staroświecki. Zdobyliśmy wejściówki do Met. Nigdy wcześniej nie byłam w operze. Przez cały czas trzymaliśmy się za ręce... Żałosne: oboje bez żadnego doświadczenia, jedno i drugie przestraszone, dziewczica i prawiczek, ale... grali *Carmen*, ja miałam siedemnaście lat i był ten fragment, pod koniec, kiedy on ją zabija... jest korrida, po jednej stronie sceny leży wielki martwy byk, a po drugiej bohater chwyta Carmen za gardło... Boże, mieliśmy takie spocone dłonie. Było idealnie. I pamiętam, co sobie wtedy myślałam... pamiętam dokładnie. „Chcę, żeby mnie zapamiętał”. Gdyby tylko sam nie był prawiczkiem... to znaczy, wtedy jeszcze podchodziłam do tego pruderyjnie. Nie chciałam być jedną z wielu.

Powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Oczywiście nie mogliśmy pójść ani do mnie, ani do niego, ze

względu na rodziców... moi rodzice mieszkali wtedy tutaj, to było, zanim jeszcze kupili to mieszkanie i się wynieśli... Nikt nie wynająłby nam pokoju hotelowego, bo oboje byliśmy nieletni. Zachodziliśmy do Carlyle, do Algonquin i wszędzie indziej, przysięgaliśmy, że mamy pieniądze, ale nam nie wierzyli. Przeszliśmy całą drogę do... Boże, to było okropne... do tego straszego miejsca w pobliżu Flatironu, które znalazłam, z kuloodporną szybą w recepcji. Oboje byliśmy zażenowani. Ale zaciągnęliśmy zasłony, wyłączyliśmy światło, zapaliliśmy świecę i nastawiliśmy *Marzenie miłosne numer 3* Liszta. I... cóż, to była najpiękniejsza noc w moim życiu... Wiesz, że nigdy nie kochałam się z innym mężczyzną? To głupie... zdaję sobie sprawę. Tylko że... jeśli coś nie może być idealne, rozumiesz, to tego nie pragnę. Nie chcę zwyczajnego życia. I... o cholera!

Błyska alarm przeciwpożarowy.

Palą się włosy Louise.

Nie ma co: Louise też nic nie zauważyła.

Wyobrażała sobie, jak to musiało być: pójść do Carlyle albo do Algonquin. Ale nie miałyby znaczenia, gdyby to był hotel na godziny, z kuloodporną szybą w recepcji. Nie jeśli ktoś byłby w tobie tak bardzo zakochany.

Utykają spalone pasmo włosów pod spodem.

– Wyglądasz pięknie, niezależnie od tego, jaką masz fryzurę – zapewnia Lavinia. – Ale właśnie dlatego tak cię potrzebuję. Bez ciebie, opowiadając historie, spaliłabym dom... Potrzebuję cię – powtarza, ściska ją za rękę i wszystko wydaje się takie idealne.

Tyle że gdy Lavinia kończy się malować, do Louise przychodzi esemes od Mimi.

„O mój Boże, czyżbyś wprowadziła się do Lavinii?” (plus zszokowana świnka ze szminką na ustach).

„Tak – odpisuje Louise. – Dzisiaj”.

„Rany, to fantastyczna chata! Cudownie mi się tam mieszkało (piernikowy ludzik w piernikowym domku, który się wali). Co, laski, robicie dziś wieczorem?”

– Lavinio?

Są w taksówce.

– Tak?

– Czy Mimi mieszkała kiedyś u ciebie?

– Jasne, że nie. A dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Właśnie przysłała mi dziwnego esemesa...

– Pozwoliłam jej nocować przez parę tygodni, między jednym lokum a drugim. – Lavinia poprawia szminkę na ustach, patrząc do lusterka w telefonie. – I to wszystko.

Wysiada z taksówki.

Louise musi zapłacić.

Tej nocy jest pełnia; księżyc uśmiecha się nad Lincoln Center.

Robią mnóstwo zdjęć.

Lavinia fotografuje Louise wykonującą piruety na brzegu fontanny. Louise fotografuje Lavinie pod łukami.

Lavinia wstawia wszystkie fotki do internetu z podpisem: *Ah, je veux vivre!*

Przed przedstawieniem wciągają kreskę w toalecie.

Lavinia zostawia dwadzieścia dolarów napiwku w słoiku babci klozetowej.

Kupują po jednym kieliszku szampana, potem po drugim i trzecim, po piętnaście dolarów każdy, i przeważnie płaci Lavinia, ale Louise też czasami, a ponieważ jest pijana, nie liczy, ile wydaje, wie jednak, że ma miesięcznie sześćset dolarów więcej niż poprzednio, a szampan jest taki dobry i tego wieczoru obie wyglądają tak pięknie.

Naprawdę pięknie.

Nawet nieznajomi im to mówią. Starsze panie i turyści zatrzymują je, żeby to powiedzieć, a wtedy Lavinia uśmiecha się wspaniałomyślnie i rzuca:

– Dziękujemy, dziękujemy.

Na schodach Louise dostrzega Athenę Maidenhead. Ma porządnie spięte włosy. Na szyi perły. I jest w długiej różowej sukni. Idzie pod rękę z łysym facetem.

Jest tam też Anna Wintour.

Lavinia prowadzi Louise do sali dla dziennikarzy, na wpół ukrytej za łazienką i znanej tylko przedstawicielom prasy (no i Lavinii, która nie należy do prasy, ale wie co i jak).

Jest tam już Beowulf Marmont. Usilnie stara się włączyć do rozmowy między dwoma starszymi mężczyznami, wygłaszając staccato napuszone uwagi, jakie to znaczące, że Wagner nazywał swoje opery dramatami.

– Taki sam problem mamy z Gounodem – peroruje. – Ich

uczuciowość jest strasznie prosta... wszystko staje się przewidywalne, nie sądzą panowie? Emocjonalność, ale na pograniczu zbytnej złożoności.

Gavin Mullaney klepie Louise w ramię.

– Muszę powiedzieć, że zrobiłaś na mnie wrażenie – mówi. – A rzadko komu się to zdarza. Możesz więc być dumna. – Zwraca się do Beowulfa: – Oczywiście, znasz Louise Wilson. Pisze teraz dla nas.

Beowulf wygląda na urażonego.

– Oczywiście – odpowiada. – Jak mi miło.

Naturalnie wciąż patrzy nad jej ramieniem (tamci dwaj panowie, żonaci, piszą jeden do „New Yorkera”, a drugi do „New York Timesa”), tym razem jednak się nie wymądrza.

– Proszęproszękogotuwidzimy!

Ktoś wpycha się między nich.

– Ty jesteś Beowulf Marmont.

Mimi wyciąga do niego rękę.

Ma na sobie cekinową suknię z dekoltem sięgającym do pępka i z rozcięciem, które sięga do tyłka.

– Tak – odpowiada Beowulf, który nie ma pojęcia, kim ona jest.

– Przyjaciel Lavinii.

– Zgadza się.

– Pisziesz do „Fiddlera”, do „The Egret” i robisz dyplom na Columbii.

– Rzeczywiście.

–

CzytałamconapisałaśJoanDidiondlaTheEgretiuważamżemaszcałkow

Wtedy i dopiero wtedy Beowulf się uśmiecha.

Kładzie jej dłoń na plecach.

– Postawię ci drinka – proponuje.

– Chodźmy – mówi Lavinia, biorąc Louise za rękę. Nawet nie patrzy na Mimi.

– O co jej chodzi? – Louise próbuje jeszcze raz, gdy idą po schodach na swoje miejsca w łóży.

Lavinia nie odpowiada. Opiera się o posąg na szczycie schodów i lustruje tłum.

– Kogo szukasz?

– Nikogo – odpowiada. – Jediną osobą, która coś dla mnie znaczy na tym świecie, jesteś ty, a mam cię obok.

Niemniej wciąż obserwuje schody.

– Zróbmy sobie selfie – rzuca.

I sobie robią.

– Boże, uwielbiam operę – ciągnie po zrzuceniu futra, kiedy zajmują miejsca. Nadal uważnie się rozgląda. – Jak przyjemnie na trzy godziny zamknąć oczy i dać się ponieść uczuciom.

– A... popatrz!

Wyjmuje piersiówkę, mimo że są już pijane.

– Masz. Łyknij sobie.

Przytyka piersiówkę do ust Louise, która krztusi się alkoholem.

Lavinia się śmieje.

– Nie martw się – mówi nagle.

– Z jakiego powodu?

– Mimi mogłaby ci buty czyścić.

Louise czuje się uszczęśliwiona i brzydzi się sobą z tego powodu.

– Jesteś błyskotliwa. Silna. I niezdesperowana. Podobna do mnie.

Robisz, co masz zrobić.

Ściska ją za rękę.

– Przepraszam, że zmusiłam cię do przyścia tutaj... nie powinnam była... wiem, jaka jesteś zmęczona.

– Nie przejmuj się – odpowiada Louise.

– Ale jesteś zadowolona, że przyszłaś, prawda?

– O tak – potwierdza Louise.

– I nie gniewasz się na mnie?

– Nie.

– Tak się cieszę, że u mnie zamieszkałaś – ciągnie Lavinia. – Nie znoszę samotności! – Znowu podnosi piersiówkę do ust. – Będziemy razem... ty i ja. *Contra mundum!*

Znowu ujmuje dłoń Louise. Powoli podnosi ją do ust. Całuje knykcie. Potem pociąga rękę. Całuje wyżej, w miejscu, gdzie widnieje tatuaż „Więcej poezji!!!”.

– To będzie cudowny wieczór! – szepcze, gdy podnosi się kurtyna.

Muzyka jest dramatyczna, urzekająca, soprany są piękne, a Vittorio Grigolo taki przystojny i namiętny, że wierzysz w miłość Romea do Julii. A Julia śpiewa: *Ah, je veux vivre*, od walca kręci się w głowie i serce przyspiesza. Louise myśli: „Tak, tak, ja też chcę żyć!”; co z tego, że wydała tego dnia dwieście dolarów (albo i trzysta, jeśli liczyć szampana, taksówkę), poza tym czasami przecież można spóźnić się z pracą, czasami (jeśli idzie się z Lavinia na operę) nie

warto tak się zamartwiać z powodu faceta, który lezie za tobą do domu w Sunset Park, i chyba nieważne, że nie dostało się własnego klucza od mieszkania; to nic, że zdarza jej się nie spać, bo wciąż od nowa czyta powieść Lavinii, albo że nie ma w domu miejsca na swoje rzeczy; to wszystko bez znaczenia, kiedy Lavinia jest obok.

Szczególnie gdy ta tak mocno trzyma ją za rękę.

Szczególnie gdy obie łyknęły sobie whiskey i szampana, wciągnęły kilka kresek w łazience i Louise czuje zapach perfum Lavinii, z nutą figi, gruszki i lawendy, o wiele ładniejszy niż jej własnych.

Szczególnie gdy muzyka tak się nasila.

I Lavinia całuje ją w szyję.

Louise sztywnieje.

To tylko czułość Lavinii – myśli – jak całowanie jej ręki, knykci, tatuażu, zasypianie na ramieniu, przytulanie się do niej w tym samym łóżku. Lavinia jest żywiołowa i zbyt śmiało okazuje uczucia. Nie kochała się z nikim oprócz Rexa (to znaczy z żadnym mężczyzną; czy to chciała zasugerować?). W taki sposób okazuje ci, że jesteś dla niej ważna.

To tylko pocałunek w szyję. Z języczkiem.

Ugryzienie, delikatne.

Położenie ręki na kolanie.

Louise zerka na Lavinie, ale ona uśmiecha się jak gdyby nigdy nic, jakby nic dziwnego, nietypowego, niezwykłego się nie stało, jakby nie było w tym nic lesbijskiego, jakby nie przesunęła dłoni po jej udzie, nie uściśnęła go, nie pochyliła się, znowu, i nie pocałowała

jej w ucho.

Więc Louise jest zdezorientowana, bo do tej pory zawsze, kiedy przebywały razem, spoglądały nawzajem na swoje piersi i porównywały rozmiary miseczek, przebierały się w tym samym pomieszczeniu czy sikały w tej samej kabinie, Lavinia szybko przestawała na nią patrzeć (ona sama przestawała patrzeć na Lavinie, bo myślała: „Jest tak idealnie piękna” i „Jest taka szczupła”, więc nie wydaje jej się, żeby było w tym coś seksualnego, choć nie jest do końca pewna), jednak teraz całuje ją tak subtelnie i tak wprawnie, jakby dobrze wiedziała, co robi.

Problem w tym, że Louise nie wie, czy tego chce.

Wiedziała, że chce, gdy błagała Virgila Bryce'a, aby pozbawił ją dziewictwa, bo chociaż była wtedy gruba i nieładna, chodził z nią, a to oznaczało, że na jakimś poziomie ma na nią ochotę. Mimo że nie zasługiwała na czyjeś uczucie (z powodu milkliwości, brzydoty, lęku, nieustającego pożądania), tak często zapewniał ją o swojej miłości, że aż stała się jej godna. Ale nawet wówczas, myśli, nie miała pewności, czy pragnie z nim uprawiać seks, czy chce tylko, żeby ją rozdziewiczył.

Ale to już należy do przeszłości.

Nie ma takiej chwili, w której Louise zamiast: „Czy ona jest...?”, myśli już: „Ona jest”. Zresztą może zawsze myślała: „Ona jest”. Czuje dłoń Lavinii na kolanie. A potem coraz wyżej na udzie. Palce Lavinii wsuwające się pod jej bieliznę. Wchodzące w nią.

Przyjemnie. To inna sprawa. Istnieje coś takiego jak orientacja seksualna, ale jest także fizjologia i kiedy ktoś lekko gryzie cię w szyję, a potem pieści pod tą białą suknią z tafty z tyłoma halkami

(dzięki Bogu, dzięki Bogu, że włożyła tę śmieszna kieckę na halkach; czy dlatego Lavinia tak nalegała, żeby w niej przysła?), to sprawia przyjemność, niezależnie od tego, kto ci to robi, dopóki oboje zdajecie sobie z tego sprawę, choć to trochę dziwne (i trochę zimne?).

Więc Louise myśli: „Jak ona może tego chcieć?”.

I jeszcze: „Nie mogę się nie zgodzić”.

Właśnie wydała połowę pieniędzy zaoszczędzonych na kosztach wynajmu mieszkania; może mieszkać za darmo przy Osiedzi Siódmej Wschodniej; Lavinia zapłaciła za taksówkę; Lavinia zapłaciła za bilety; Lavinia w większości zapłaciła za szampana (i co z tego? co z tego? czy to ma znaczenie? no ma), Louise zastanawia się więc, czy właśnie tego nie chciała zrobić Mimi, tyle że nie wyobraża sobie, aby Mimi nie pozwoliła Lavinii na takie zabawy (może sobie natomiast wyobrazić, że Mimi prosi Lavinie o takie zabawy).

To jednak znaczy, że Lavinia uznała ją, Louise, za wystarczająco atrakcyjną, aby uprawiać z nią seks.

Choć oczywiście nie uprawiają seksu, mimo że Louise nie ma pewności, co się liczy jako seks z dziewczyną. Może Lavinia po prostu się upiła albo od początku jest w niej zakochana („kocham cię”, „jesteś piękna”, „potrzebuję cię” – ile razy mówiła takie rzeczy? Czyżby Louise była taka głupia?). Nie może powiedzieć „nie” i to także ją gniewa, ale tak naprawdę, tak naprawdę wcale tego nie chce.

I ta muzyka, muzyka, muzyka. Aksamit. Światła. I szampan.

Lavinia się odsuwa. Oczy jej błyszczą.

– Mówiłam ci – szepcze. – Mówiłam... że to będzie epicka noc.

Ale nie zabiera palców i całuje Louise w same usta, z językiem, co ze wszystkich tych nierealnych wydarzeń jako jedyne, jedno jedyne sprawia, że Louise myśli: „O Boże, o Boże”, i pewnie to właśnie takie uczucie, kiedy ktoś cię pożąda albo nawet kocha.

Więc Louise się zastanawia: „Może to nie takie ważne, że nie można odmówić”.

– Kocham cię. – Lavinia wciąż tchnie jej w usta. – Kocham cię, kocham cię, kocham cię tak cholernie mocno.

A najgłupsze ze wszystkiego, że Louise w to wierzy.

Przez całą długą chwilę (całą arię; Merkurio sądzi, że królowa Mab spała z kim popadło; może i tak) Louise myśli, że wszystko do tego wiodło (ten wieczór, ale także cały rok; ten rok, ale także całe jej życie); że każda głupota, jaką kiedykolwiek popełniła albo powiedziała, każda rzecz, jaką kiedykolwiek schrzaniła, miała doprowadzić właśnie do tego, do tej miłości.

Dopóki nie zauważy Rexa.

Siedzi w łożu naprzeciwko.

Jest z Halem.

I patrzy na nie.

Louise odsuwa się tak szybko, że niemal spada z fotela.

– Muszę do toalety.

I ucieka.

Możesz schudnąć. Możesz zafarbować włosy. Możesz nauczyć się

mówić z uroczym środkowoatlantyckim akcentem. Możesz siedzieć długo w noc, do czwartej nad ranem, i zawalać terminy tylko po to, aby przeczytać czyjąś książkę i powiedzieć, że jest świetna.

Ale to wszystko, cokolwiek zrobisz, nie wystarczy.

Nawet jeśli ktoś cię kocha (albo tak mu się wydaje, albo tak mówi), to jedynie dlatego, że mu kogoś przypominasz, że przy tobie tak nie cierpi z powodu utraty tej osoby lub po prostu chce wywołać zazdrość u kogoś, kto patrzy, z drugiej strony widowni, z łoży naprzeciwko, a ty jesteś tylko narzędziem, aby to osiągnąć.

„Dobiegam już trzydziestki – myśli Louise. – Jak to się stało, że dopiero teraz odkrywam takie rzeczy?”

Wybiega na balkon. Zrobiło się zimno – cała drży, mimo że już kwiecień – jednak woli być tutaj i drzeć, patrząc na Lincoln Center, na fontannę z odbijającym się księżycem i pusty geometryczny plac, niż być przez następną sekundę w miejscu, gdzie jeszcze unosi się w powietrzu woń perfum Lavinii.

Nie może nawet przytknąć papierosa do zapalniczki.

– Pomóc ci?

Odwraca się i oto on.

– Pozwól – mówi Rex.

Louise jednak wciąż nie może wydobyć z siebie głosu.

Wreszcie udaje jej się pozbierać i częstuje go papierosem.

– Służyłbym ci chusteczką – mówi Rex – gdyby nie to, że ostatnim razem mi ją ukradłaś.

– Ojej – odpowiada. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – uspokaja ją Rex. – Zatrzymaj ją sobie.

– Została spalona... przez Lavinie. – Zaciąga się dymem. Nie patrzy na niego.

– Och. – On też się zaciąga. – Naprawdę?

– Uhm.

– Trudno. – Oddycha głęboko. – Pewnie sobie na to zasłużyłem – komentuje. I dodaje: – Przepraszam.

– Za co? Nic złego nie zrobiłeś.

– Nie wiedziałem. Wtedy w księgarni... kiedy się poznaliśmy. Nie miałem pojęcia, że wy dwie jesteście...

– Nie jesteśmy. – Kolejna chmura wydmuchiwanego z gniewem dymu. – Ona jest hetero.

– Och.

I znowu:

– Naprawdę?

Louise wzrusza ramionami.

– Obie jesteśmy hetero. – Już się tym nie przejmuje. – Ale, no wiesz... Podobno mężczyznom się podoba, kiedy dwie dziewczyny hetero mają ze sobą romans.

– Podobno. – Rex przełyka ślinę. – Co u ciebie, Louise?

Jest dla niego taka niemiła. A on okazuje jej tyle życzliwości.

Louise nie może jednak nad sobą zapanować.

– Świetnie się bawimy. – Strzepuje popiół na barierkę. – Te wszystkie imprezy... nie widziałeś zdjęć?

– Trudno ich było nie zobaczyć.

– Jasne. I o to chodziło.

– Co takiego?

– Nic. Wybacz mi.

Wreszcie, wreszcie Louise oddycha.

– Nie gniewaj się. Nie jestem... nie jestem w nastroju.

– Co się stało?

Odwraca się do niego.

– Dlaczego ona cię tak nienawidzi?

Rex opiera się o barierkę. Wzdycha.

– Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji – mówi w końcu. –
Posłuchaj... Lavinia zasługuje na szczęście. Bóg wie, że... nie
chcę, aby cierpiała.

– Zdradziłeś ją czy co?

– Nie... nie!

– Skrzywdziłeś?

– Nie... to nie było tak.

– A jak?

– Nie ode mnie powinnaś się dowiedzieć.

– Więc od niej, to masz na myśli?

– Czy nie zawsze tak jest? – Rex uśmiecha się lekko.

– Nie dowie się, że mi powiedziałaś – obiecuje. – Jeśli o to się
martwisz. Nie muszę robić wszystkiego, co mi każe.

– To głupie – rzuca wreszcie Rex. – Nawet teraz. Czuję się za nią
odpowiedzialny.

– Niepotrzebnie. To już nie twój problem. Tylko mój. I chcę
wiedzieć.

– Posłuchaj – odzywa się w końcu Rex. – Kochałem ją...
naprawdę kochałem. Przez długi czas. I wciąż mi na niej zależy...
bardzo. – Wzdycha. – Ona sama jest... bardzo...

„Intensywna” – myśli Louise.

– Wtedy, no wiesz... w okresie dorastania istnieliśmy tylko my dwoje, rozumiesz? To znaczy był Hal, od czasu do czasu, ale wyjeżdżał do szkoły, i sam nie wiem... odnaleźliśmy siebie nawzajem. A kiedy jest się z nią... Boże! To jakby się było pod wpływem narkotyku... znasz to.

– O tak – odpowiada Louise. – Znam.

– Włamujecie się gdzieś, pisujecie do siebie sekretne liściki i... mówię poważnie... to najcudowniejsza rzecz na świecie, ale byliśmy w college'u i chciałem robić... no wiesz, normalne rzeczy, jak inni studenci.

– Grać w beerponga?

– Na przykład.

– Udzielać się w bractwie!

– W Yale bractwa prawie nie działają, ale...

– Kopać piłkę?

Rex parska śmiechem.

– Tak. Właśnie.

Wieje coraz chłodniejszy wiatr.

– Nie powinniśmy byli pójść na tę samą uczelnię. Mówiłem jej, że to zły pomysł... a może, już nie pamiętam, w końcu mnie przekonała, no wiesz. I na pierwszym roku, nawet jeszcze na drugim, było, jak chciała. A potem... to nic złego, że człowiek chce dorosnąć.

– Uważaj – ostrzegła go Louise. – Możesz tego żałować.

– Odczekałem aż do przerwy bożonarodzeniowej. I wyłożyłem karty. Wydawało się, że... dobrze to przyjęła. Nie histeryzowała ani nic takiego. Była spokojna. A dwa dni później dzwoni do mnie

o drugiej w nocy i mówi, że jest w Central Parku, że wzięła garść pigulek, ukradła łódź wiosłową i mam ją odszukać.

– Łódź? Naprawdę?

– Powtarzam, co powiedziała. Posłuchaj... teraz to może brzmi śmiesznie, ale wtedy tak nie było. Naćpała się, wzięła garść xanaxu, który zażywała jej matka, wypła butelkę ginu i powtarzała, że ja też tak powinienem.

– Mówiła serio?

Rex się waha.

– Tak – odpowiada wreszcie. – Mówiła serio. Powiedziała, że obiecałem kochać ją do śmierci i że nie chce żyć w świecie, w którym ludzie nie dotrzymują słowa. Ja też nie powinienem chcieć. W świecie... Boże, sam nie wiem.

– Piłki nożnej.

– Chociażby – przytakuje i oboje się uśmiechają, bo nie ma w tym nic złego. – W każdym razie wtedy właśnie wzięła zwolnienie lekarskie. Wciąż na nim jest i będzie. Dopóki rodzice nie przestaną płacić chesnego. Albo dopóki nie wróci do siebie. Jej „urlop naukowy”. I od tamtej pory, jak widzisz, wszędzie na nią wpadam. – Znowu wzdycha. – Sam sobie jestem winien. Powinienem był wiedzieć, że będzie tu dziś wieczorem. Nie zamierzałem przyjść... ale Hal się uparł. Darmowe bilety, nie można ich zmarnować.

– Broń Boże.

Przy fontannie stoi uliczny muzyk. Louise go zna. Gra co wieczór, po przedstawieniu operowym; za każdym razem jest to coś z opery, co ludzie rozpoznają; dzięki temu dostaje napiwki. Teraz

ćwiczy: *Ah, je veux vivre dans ce rêve.*

– Wiesz, co jest najzabawniejsze? – pyta Rex.

– Co takiego?

– Czasami myślę, że ona ma rację. – Śmieje się. – Chociaż nie żałuję, że postąpiłem, jak postąpiłem. Jeszcze nie zwariowałem.

– Jasne.

– Lubię swoje życie. Tylko że... – Bierze głęboki oddech. – Co mam powiedzieć? Pokusa była wielka.

– Bo ona sama jest wielce kusząca.

Rex parska śmiechem.

– Rzeczywiście, ludzie powinni dotrzymywać obietnic. W idealnym świecie... wszyscy byśmy ich dotrzymywali.

– Ale to nie jest idealny świat – zauważa Louise.

– Jej jest – sprzeciwia się Rex. – W tym cały problem.

– Wcale nie – odpowiada Louise tak cicho, że on jej nie słyszy. –

Wierz mi.

Rex stoi oparty o barierkę.

– Dobrze porozmawiać z kimś, kto to rozumie. Może postąpiłem egoistycznie.

– Nie jesteś egoistą – zapewnia go Louise.

Rex wzrusza ramionami.

– Powinnaś jej powiedzieć.

– Co?

– Że dowiedziałaś się ode mnie. Nie chcę, żebyście z mojego powodu miały przed sobą jakieś tajemnice. – Po raz ostatni wzdycha głęboko, przeciągle. – Już wyrzuciłem jej dostateczną krzywdę. Nie chciałbym, żebyś się do niej zraziła.

„Nie rozumiesz – myśli Louise. – Już za późno”.

– Uwaga, spoiler! – Za nimi staje Hal. – Oboje tracą życie.

– Jezu... Hal!

– Jak długo tu tkwicie? Straciliście całą drugą połowę!

Rex się nie odzywa.

– Filistyni. Uciekłaś ode mnie, mała Louise. Nie zdążyłem dać ci książki!

– Przepraszam – mówi ona. – Wyszłam w pośpiechu.

– Kobiety! – Hal przewraca oczami. – Pracuj nad sobą.

Widzowie wysypują się na plac przed Lincoln Center: w smokingach, jedwabnych sukniach, aksamitnych spodniach, na szpilkach.

Mimi się potyka.

Zataczając się, całuje Beowulfa Marmonta.

On zatrzymuje taksówkę. Wciąga Mimi na tylne siedzenie.

– Ktoś tej nocy zostanie ofiarą gwałtu – komentuje Hal.

– Rany, Hal!

– Ojej, Rex, to przecież śmieszne.

Obejmuje ich oboje.

– Traktuję gwałt bardzo poważnie – zapewnia. – Jestem zdeklarowanym feministą.

Żadne z nich dwojga nie odpowiada.

– Gdybym powiedział, że on zabiera ją do domu, żeby kochać się z nią czule, z zabezpieczeniem i za jej zgodą – podejmuje Hal – to dopiero byłby kiepski żart.

Louise i Rex wymieniają spojrzenia.

– Poza tym wszyscy faceci to gwałciciele. Właśnie czytałem

„Rolling Stone’a”. – Hal obciąga smoking. – Biedna Michelle. Ale to kretynka.

– Michelle?

Louise jakoś nigdy nie przyszło do głowy, że Mimi ma prawdziwe imię.

– Była zabawna – ciągnie Hal. – Brakuje mi jej występów na imprezach. Pamiętasz Nowy Rok dwa tysiące czternastego, Rex? Było świetnie, co? Nakryliśmy je z Lavinia, jak całowały się w wannie w MacIntyre, nie?

– Przestań, Hal!

– Jaki był temat przewodni tamtego przyjęcia, Rex? Przypominasz sobie? „Wielki Gatsby”? Zawsze musi być ten cholerny *Wielki Gatsby*. Ale impreza była niezła... nie jak tego roku, nie sądzisz, Rex... z roku na rok są coraz gorsze.

A Louise myśli: „W tym roku też mieli zabawę, o tak”.

– Muszę już iść. – Rex przepycha się między nimi.

– Uważaj – mówi Hal. Spogląda na zegarek. – A przy okazji, mała Louise – rzuca. – Lavinia cię szuka. I nie jest zadowolona.

– A niech to.

– Powiedziałem jej, że urwałaś się z Rexem.

– Niech to szlag!

Na placu panuje tłok. Przedstawienie się skończyło. Muzyk gra głośno *Ah, je veux vivre*.

Tyle kobiet ma na sobie suknie z cekinami, lecz żadna z nich nie jest Lavinia.

– Biegnij, Kopciuszku! – woła Hal.

I Louise biegnie.

Zamroczonej szampanem, whiskey i koką Louise przychodzą do głowy te same myśli co zawsze, tyle że tym razem są bardziej natarcywe, sugestywne i realne.

No i w końcu schrzaniła sprawę; Lavinia ją teraz znienawidzi... Lavinia będzie wściekła... a ona nie ma forsy na wynajęcie mieszkania, nie ma kluczy, a jej podnajemca już się wprowadził, bo lokum o stałym czynszu nie stoi wolne w tym mieście dłużej niż pięć minut. Więc myśli: „O Boże, o Boże” i „Niech tylko nie wpadnie w szal”, i jeszcze „Dam jej się przelecieć, tylko proszę, Boże, niech nie wpadnie w szal”.

Ale nie ma nawet tych przeklętych kluczy.

Lavinii nigdzie nie widać. Ani na podeście schodów, ani na Grand Tier; ani na balkonie, ani w łoży, ani na parterze. Louise dzwoni do niej cztery czy pięć razy, ale wyłączyła telefon. Jednak Louise dzwoni i dzwoni, choć stale jest przełączana na pocztę głosową, bo jeśli szaleństwo na czymś polega, to na robieniu stale tego samego z nadzieją, że osiągnie się inny efekt.

I Louise bardzo stara się nie wpaść w panikę, nie płakać ani nie krzyczeć, usiłuje się skupić na następnych krokach: mogłaby na przykład pojechać do mieszkania i czekać przy domofonie. (A jeżeli Lavinia nie wróci? A jeżeli jest już w środku i jej nie wpuści? Jeżeli sąsiedzi wyjdą na dwór, zobaczą ją, pomyślą, że czai się jak przestępca, i zadzwonią na policję?)

Ewentualnie zadzwonić do przyjaciółki (której nie ma). Wejść na Tindera i dać się komuś poderwać, ale potem musiałaby się tłumaczyć przed kierownikiem zmiany w barze (o Boże, jej

zmiana), dlaczego przychodzi obsługiwać brunch w taftowej sukni, w której wygląda jak Shirley Temple, bo wszystkie jej rzeczy (ubrania, czysta bielizna, laptop niezbędny do pracy dla GlaZam; cholera, jasna cholera, praca dla GlaZam) są u wściekłej na nią Lavinii.

I wtedy ją zauważa.

Lavinia właśnie zemdląła przy fontannie.

– O rany, Lavinio... – Biegnie tak szybko, że gubi pantofel i potem niesie go, utykając, przez cały plac. – Rany boskie!

Lavinia ma otwarte oczy.

Louise wyciąga rękę, żeby pomóc jej wstać.

Ale ta chwyta ją tak mocno, że Louise traci równowagę i upada.

– Gdzie byłaś?

To warkot.

– Przepraszam cię.

– Gdzie. Do cholery. Byłaś?

– Przepraszam... musiałam się wysikać.

– Zostawiłaś mnie samą.

– Wiem. Bardzo mi przykro.

– Potrzebowałam cię.

– Wybacz mi.

– Robię dla ciebie wszystko... wszystko, do cholery. A ty zostawiasz mnie samą!

Tak szlocha, że aż się dławi.

– Byłaś z nim?

– Nie! To znaczy... miałam papierosy... poczęstowałam go...

i...

– Pieprzyłaś się z nim?

– Nie! Jasne, że nie.

– Pieprzyłaś się! Pieprzyłaś się i śmialiście się z tego, we dwoje, szydziliście ze mnie za moimi plecami!

– Nigdy bym tego nie zrobiła!

I chociaż zaprzecza, myśli: „Niemal, niemal”. Chociaż się wypiera, myśli: „Może”.

– Straszna z ciebie niewdzięcznica! – Lavinia siada. – Czego jeszcze ode mnie chcesz po tym wszystkim?

– Jesteś zmęczona. – Louise zachowuje spokój. – I pijana. Ale przede wszystkim zmęczona. I tyle. Zabiorę cię do domu.

– Wzięłam cię do siebie.

– Proszę!

– Dałam ci... dałam ci tę wspaniałą suknię, stawiałam drinki, udostępniłam pokój, i to za darmo, a ty nawet nie możesz wysiedzieć ze mną do końca przeklętej opery?

– To nie tak.

Nie wie, czy Lavinia nie pamięta, że się do niej dobierała, czy tylko nie chce pamiętać, woli udawać, że nic takiego się nie zdarzyło.

– Czego jeszcze ode mnie chcesz?

– Lavinio, ja...

– No, czego... czego chcesz, pieniędzy?

Lavinia rzuca swoją torebkę, która trafia Louise w pierś.

Tej nawet nie przychodzi do głowy, żeby ją złapać.

Torebka upada z hałasem na ziemię.

Louise bez słowa klęka i ją podnosi.

Lavinia szlocha; siada na piętach i gryzie dłoń, żeby powstrzymać się od krzyku.

Louise tylko jej się przygląda.

Nie może stracić panowania nad sobą. Nie może wpaść w złość.

Nie ma kluczy.

– Wszystko w porządku – mówi. – Nic ci nie jest. Nic ci nie jest. Jestem tutaj. Wszystko w porządku.

Tyle że kłamie.

Nikt by się nie domyślił. Louise jest taka troskliwa, narzuca Lavinii płaszcz na ramiona, wyjmuje jej loki zza kołnierza, szepcze do ucha. Wykazuje się zręcznością, odgarnia jej włosy, kiedy ta wymiotuje, kiedy wyciera usta w piękną, nieskazitelną taftę. Jakby Lavinia nie zrobiła jej palcówki w loży operowej, żeby wzbudzić zazdrość Rexa. Jakby nie nazwała jej dziwką.

Uliczny muzyk zaczyna grać na skrzypcach *New York, New York*.

Lavinia podśpiewuje, ale jest zbyt pijana i fałszuje, jedyne, co wychodzi z jej ust, to: „Chcę być jego częścią”.

„Chcę być jego częścią”.

– Powinnyśmy dać mu napiwek – mamrocze. Opada plecami na ziemię. – Masz drobne?

– Nie – odpowiada Louise. Nadal kłamie.

– Powinnyśmy dać mu pieniądze! Jest świetny!

– Powinnyśmy zabrać cię do domu.

– Nie! – Znowu upuszcza torebkę. Wyjmuje kartę kredytową,

która też wypada jej z dłoni.

– Nie dasz rady ustać na nogach.

– Proszę, Lou... proszę. Wypłać trochę gotówki, dobra? – Uśmiecha się bezradnie. – Mój PIN to: jeden, sześć, jeden, dziewięć. Daj mu... stówę, dobra?

Louise powtarza: „Musimy zawieźć cię do domu”, ale Lavinia zaczyna krzyczeć i Louise uświadamia sobie, że nie ma wyboru.

Rzuca więc muzykowi spojrzenie, znaczące, błagalne, pełne upokorzenia spojrzenie, które, ma nadzieję, mówi: „Idę po te twoje sto dolców. Więc dopóki nie wrócę, masz pilnować, żeby nie zadławiła się własnymi rzygami”, a potem rusza do drogerii po drugiej stronie ulicy.

Nie zamierza wciskać guzika z napisem „saldo”. Ale cze-mu nie?

Lavinia ma na koncie sto trzy tysiące czterysta sześćdziesiąt dwa dolary i czterdzieści sześć centów.

Lavinia mieszka w apartamencie, który należy do jej rodziców, i ma sto trzy tysiące czterysta sześćdziesiąt dwa dolary i czterdzieści sześć centów.

Lavinia mieszka w apartamencie, który należy do jej rodziców, ma sto trzy tysiące czterysta sześćdziesiąt dwa dolary i czterdzieści sześć centów i zrobiła Louise palcówkę w łożu operowej, ponieważ było ją na to stać.

I pozwoliła, żeby Louise zapłaciła za taksówkę.

Louise wypłaca z jej konta dwieście dolarów.

Lavinia tymczasem wskoczyła do fontanny. Stoi, wyciągając ręce, z włosami ociekającymi wodą, podczas gdy skrzypek patrzy na nią

i gra w kółko *New York, New York*. Louise wrzuca mu do futerału sześć dwadzieścia.

Te dwadzieścia centów to od niej.

– Spójrz na mnie! – woła Lavinia. – Jestem Anitą Ekberg!

– Bez dwóch zdań – potwierdza Louise.

– Nakręć mnie. – Lavinia miota się z pluskiem. – Ale z czarno-białym filtrem.

I Louise kręci.

– Jestem okropna – mamrocze Lavinia, kiedy wreszcie Louise kładzie ją do łóżka. Przez ostatnie dwie, trzy godziny, gdy wypacała zażytą kokę, Louise przytrzymywała jej włosy i przepraszała, nie po raz pierwszy ani ostatni, panią Winters, sąsiadkę z tego samego piętra, która przyjaźni się z rodzicami Lavinii i ma już dość tej głośnej muzyki, hałasów po nocy i zamierza napisać do Williamsów, żeby wrócili do domu i zrobili tu porządek. – Jestem okropna, jestem okropna, przepraszam.

– Wcale nie.

– Nie powinnam była... wiem, naprawdę wiem, że ci na mnie zależy.

– To dobrze – kwituje Louise.

– I przepraszam, że cię... no wiesz.

– Nie ma sprawy. Takie rzeczy się zdarzają.

– To nic nie znaczyło. Wszystko... rozumiesz, przez tę muzykę.

– Jasne.

– Bo ja... jestem hetero.

– Wiem.

– Tak mi przykro. Tak mi przykro. Jestem nieznośna, taka

intensywna. Wiem, że jestem zbyt intensywna.

– Nie.

– Tak.

– Wcale nie.

– Nie zostawiaj mnie, Lulu – błaga Lavinia. – Proszę... proszę.

– Nie zostawię cię.

– Kocham cię, Lulu.

– Ja ciebie też, Lavinio.

I co najbardziej bolesne: naprawdę wciąż ją kocha.

Louise czeka, aż Lavinia zaśnie. Potem ostrożnie, żeby jej nie obudzić, wyplątuje się z objęć i idzie do drugiego pokoju, tego, który podobno należy do niej, z szafą pękającą od sukienek Lavinii i z toaletką zawaloną jej kosmetykami i biżuterią, w mieszkaniu, którego nie wynajmuje i do którego nawet nie ma kluczy.

Podchodzi do stołu w jadalni.

Otwiera swoją torebkę.

Przelicza je: cztery nowiutkie dwudziestodolarowe banknoty. Nawet nie połowa opłaty za członkostwo w ClassPass.

Podnosi klapę laptopa. Światło jest takie jasne, że aż boleśnie razi, więc Louise musi zamknąć oczy, tylko na moment, i wtedy uświadamia sobie, jaka jest zmęczona.

Powinna jeszcze przepracować ze dwie godziny dla GlaZam. W południe ma zmianę w barze. A później lekcję z Paulem.

Idzie do barku, pełnego dobrych alkoholi. Nigdy wcześniej nie zwracała uwagi jak dobrych, ale teraz to widzi: talisker, laphroaig, hendrick's i rémy martin; przesuwa palcami po tych wszystkich

etykietach i myśli: „Oto, gdzie teraz mieszkasz”.

Nalewa sobie szklanę whiskey.

I zabiera się do roboty.

– Była ze mną królowa Mab.

Nic więcej Lavinia nie mówi o minionej nocy.

Rzuca to tylko raz, rankiem, klikając w fotki, które cyknęła jej Louise. Zmienia swoje zdjęcie profilowe i podpisuje: „Zeszłego wieczoru w Met”. Siedzi przy stole w jadalni, z nogami po obu stronach nieświeżego croissanta, którego fotografuje na turkusowej porcelanie przywiezionej aż z Uzbekistanu.

– Wiesz, co, Lulu?

Louise sprząta ze stołu. Nalewa herbaty. Przynosi jajecznicę, którą usmażyła.

– Tak, Lavinio?

– Zeszłej nocy chyba widziałam duszki.

I na tym kończy.

Więc Louise też nie drąży tematu.

– Całkiem niezły film – komentuje Lavinia wideo z nią samą w fontannie. – Wyślę go Cordy... żeby pograć jej na nerwach. Zawsze mi mówi, że stale gdzieś bywam.

Louise ubiera się w milczeniu.

– A niech to, dokąd znowu idziesz?

– Do pracy.

– Do pracy? – Lavinia parska śmiechem. – Boże, jak udało ci się

wstać?

– Już jedenasta.

– No właśnie! Zadzwoń i powiedz, że jesteś chora.

– Nie mogę.

– Lepiej nigdzie nie idź. Okropnie wyglądasz. – Przeciąga się. – Ojej... zrób sobie wagary. Będzie świetnie... obejrzymy wszystkie odcinki *Powrotu do Brideshead*... zaparzemy sobie herbaty i zjemy bułeczki, i... chyba mam jeszcze gdzieś misia, którego możemy ponosić.

– Przepraszam, ale nie.

– Nie chcę robić tego wszystkiego sama.

– Przykro mi – powtarza Louise. – Praca to praca. Nie mogę jej olać.

– Oczywiście – mówi Lavinia. – Oczywiście... masz rację. Jestem egoistką. Straszna egoistką. Nie słuchaj mnie.

Louise zapina ostatni guzik. Czesze włosy.

– Hej, Lulu?

– Tak?

– Mogłabyś w drodze powrotnej kupić żarcie na wynos? Nie chce mi się gotować. Cokolwiek, co tam mają u Agaty. Wszystko jedno... może piezzonego kurczaka? I jeszcze... cholera, prześlę ci listę. I oddam pieniądze.

Zakupy w Agata & Valentina dochodzą do sumy sześćdziesięciu jeden dolarów i osiemdziesięciu centów.

Louise płaci za nie pieniędzmi pobranymi z rachunku Lavinii. Lavinia ich nie oddaje.

Louise dobrze się spisuje jako najlepsza przyjaciółka Lavinii.

Dbą o jej sukienki. Zszywa rąbki, bo Lavinia stale je rozdziera. Chodzi po zakupy. Robi pranie. Prasuje. Zmiata okruchy z kufra.

Przeprasza panią Winters – kolejny raz – kiedy natyka się na nią w korytarzu.

Stara się zawsze zaznaczać, że oczywiście tu nie mieszka – Lavinia postawiła sprawę jasno (zarząd spółdzielni ma bardzo surowe zasady, powtarza). Jest tylko w odwiedzinach.

Czyta w kółko powieść Lavinii (wciąż tę samą, liczącą zaledwie dwadzieścia tysięcy słów; Lavinia nic więcej nie pisze) i za każdym razem utwierdza ją w przekonaniu, jakie to wybitne dzieło, a kiedy Lavinia zaczyna płakać i mówić, że jest zbyt intensywna, a jej książka banalna, że nikomu nie spodoba się coś tak banalnego, napisanego przez równie straszną osobę, Louise powtarza: nie, wcale nie, jesteś cudowna, i bierze ją za rękę.

Już nie urządzają sobie sesji pisarskich. Lavinia przestała się o nie upominać.

No i dobrze. Louise nie ma czasu na takie rzeczy.

Jako najlepsza przyjaciółka Lavinii Louise oszczędza trzy tysiące dolarów miesięcznie.

Oblicza to któregoś razu, na serwetce.

Lavinia stawia jej co wieczór przynajmniej dwa drinki (po dwadzieścia dolców, z podatkiem i napiwkiem włącznie) ($40 \$ \times 30 = 1200 \$$: rozrywka).

Louise oszczędza osiemset dolarów miesięcznie na kosztach wynajmu mieszkania (z usługami komunalnymi dziewięćset) (a nawet więcej, jeśli wziąć pod uwagę lokalizację, lokalizację,

lokalizację, a pod tym względem jest tradycyjna) (900 \$: czynsz).

Lavinia płaci także za ubery, gdy z nich korzystają (900 \$: komunikacja).

A do tego dochodzą ubrania, wprawdzie z drugiej ręki, więc nie takie drogie, ale bardziej efektowne niż wszystkie te, które Louise nosiła do tej pory, nawet jeśli Lavinia przytrzaśnie rąbek drzwiami samochodu, czymś zaplami, uprze się, żeby wejść do Central Parku po imprezie wymagającej strojów wieczorowych i suknia pobrudzi się od trawy, tak że nie będzie można jej więcej włożyć. Do tego posiłki z Seamless (Lavinia prawie nie gotuje, więc większość tego, co każe Louise kupować, trzeba potem wyrzucać). Do tego wielki portret olejny nagiej kurtyzany, który Lavinia kupuje pewnego dnia na pchlim targu przy Flatironie i wiesza nad łóżkiem Louise, nie pytając jej o zgodę.

Do tego adderall.

Oczywiście pozostaje jeszcze kwestia wydatków.

ClassPass. Louise jest przeważnie zbyt zmęczona, żeby chodzić na siłownię, a Lavinia zwykle ma na to za dużego kaca, ale nalega, żeby zapłaciły za następny miesiąc; dodaje, że tym razem Louise ma ją zmobilizować do ćwiczeń.

Tamte grzybki, po które Lavinia wysyła ją w środku ulewnej nocy na szemrany róg we wschodnim Harlemie; w każdym razie nie są halucynogenne. Napiwki dla babć klozetowych w Met, Trattoria dell'Arte, Shun Lee i wszystkich innych miejscach, w których obie z Lavinią albo ukradkiem zażywają kokę, albo rzygają.

Opuszczone zmiany w pracy – bo czasami nawet adderall nie pomaga – kiedy Lavinia w ostatniej chwili zdobywa bilety na pokazy akrobatyczne z udziałem znajomych Atheny Maidenhead w wielofunkcyjnej lustrzanej przestrzeni o nazwie House of Yes. Robota dla GlaZam, bo łatwo powiedzieć: „Później to zrobię”, te godziny, które traci, ponieważ choruje, a nawet lekcje z Paulem, mimo że mieszka on zaledwie parę przecznic dalej.

Drugi raz wypłaca pieniądze z konta bankowego Lavinii, gdy ta leży pijana w sztok na kanapie (bo znowu rozkleiła się na widok Rexa i Hala podczas Wiosennej Gali Morgana w Morgan Library; żaden z nich na nią nie spojrział, Rex jednak, patrząc na Louise, z uśmiechem wznosił kieliszek, więc jest jednocześnie wściekła i zadowolona). Louise już nawet nie myśli, że kradnie. Po prostu robi obrachunek dochodów i wydatków. Tu setka, tam setka. Potem jeszcze pięćdziesiątka. I kolejna setka.

Mimo to wciąż nie ma forsy.

Jedna śmieszna i przerażająca rzecz: Louise nigdy nie wyglądała lepiej. Zrzuca trzy kilogramy. Głównie przez adderall i kokę, chociaż dwa razy idą na siłownię; potem Lavinia traci zainteresowanie dla ćwiczeń i oświadcza, że to kalwińskie obrzydlistwo. Robi Louise makijaż. I wysyła ją do fryzjerów. A w tym wszystkim jest nieustępliwa.

Któregoś wieczoru puka do drzwi jej pokoju. Louise początkowo nie odpowiada, bo przekonała się już, że jedynym sposobem na uniknięcie kontaktu z Lavinią jest udawać, że się śpi, ale ona nie daje za wygraną i puka ponowie.

– Zafarbowałaś wannę i fugi w łazience – mówi.

Louise siada na łóżku.

– Co takiego zrobiłam?

– Wanna. Jest żółta.

A tak uważała. Godzinami szorowała wannę i kafelki.

– Przepraszam – odpowiada. Odwraca się, jakby znowu zasypiała.

– I śmierdzi środkiem wybielającym.

– Przepraszam – powtarza.

– Posłuchaj... mnie to nie przeszkadza – ciągnie Lavinia. – Jeśli o mnie chodzi, mogłabyś zafarbować cały dom na rudo. Ale moi rodzice... rozumiesz... Nie powinnam tu nikogo gościć. Bardzo dbają o to mieszkanie. W razie gdyby postanowili wrócić i osiąść w nim na emeryturze. Albo je sprzedać. A wiesz, że to nie jest zwykła fuga. – Obciąga na ramionach swój poplamiony szlafrok. –

Tylko włoska czy coś takiego. Nie mam pojęcia. Nawet nie powinno się jej zalewać wodą.

Kładzie się na łóżku obok Louise.

– Wiesz co? Chyba powinnaś pójść do Licari. Ja tam chodzę.

Louise potrafi się zorientować, jaki kto ma naturalny kolor włosów; jest w tym dobra. To jedno z ćwiczeń, które kiedyś wykonywała w pociągu. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że włosy Lavinii nie są całkowicie naturalne.

– Już umówiłam nas obie – dodaje Lavinia. – Poza tym dostanę upust za sprowadzenie nowej klientki.

Zwija się w kłębek przy boku Louise.

– Chciałabym mieć proste włosy, jak ty – mówi. – Są takie

błyszczące. Boże, nienawidzę cię.

Zasypia obok niej na łóżku, z ręką przerzuconą przez jej pierś.

Koloryzacja w salonie fryzjerskim kosztuje czterysta dolarów.

Następnego dnia wypłaca połowę tej sumy z bankomatu.

Inni też zauważają, jak świetnie Louise wygląda. Oczywiście matka, która po raz pierwszy od pięciu lat nie wspomina o Virgilu Brysie, natomiast rzuca domyślnie, że pewnie ci wszyscy przystojni trzydziestoletni kawalerzy z Nowego Jorku muszą ustawiać się do niej w kolejce. Paul wpatruje się w nią podczas korepetycji, co by ją peszyło, gdyby jednocześnie się nie jąkał, nie czerwienił i nie wpadał z tego powodu w zmieszanie, tak że Louise niemal jest go żal. Beowulf Marmont o trzeciej w nocy wysyła do niej wiadomość na Facebooku, że bardzo mu się podobało jej opowiadanie dla „Fiddlera”, więc chyba powinni kiedyś umówić się na kawę, żeby o tym pogadać.

No i ten facet, który się ulotnił.

W maju zaczepia ją na Facebooku.

„Wygląda na to, że dobrze się bawisz”.

Buźka puszczająca oko.

„Może powinniśmy któregoś razu wybrać się znowu na spacer po Prospect Parku. Mam wyrzuty sumienia, że tego nie powtórzyliśmy”.

Nawet nie przeprasza. Nie musi.

„Czemu nie?” – odpowiada Louise.

I do tego buźka oblewająca się rumieńcem.

Przez cały dzień ma dobry humor. Szoruje blaty u Lavinii,

trzepie dywan, przyszywa futrzany kołnierz do jej operowej peleryny w stylu vintage i chodzi uśmiechnięta od rana do wieczora.

Nic Lavinii nie mówi.

Dopóki pewnego ranka Lavinia nie nalega, żeby wybrały się do King Cole Bar w St. Regis, chyba najdroższego baru w Nowym Jorku. Słynącego jednak ze swoich murali, a poza tym to podobno tam wymyślono bloody mary – dlatego kosztuje aż dwadzieścia pięć dolarów (bez podatku i napiwków). Louise nie lubi tego koktajlu, ale Lavinia go uwielbia, więc idą tam i zasiadają przy jednym ze stolików.

– Wiesz, co, Lulu? – zagaduje Lavinia. – Właśnie wpadłam na niesamowity pomysł. – Wypiły już dwie kolejki. Louise zbiera się na mdłości.

– Jaki?

– Jutro wybierzemy się na *pèlerinage*.

– Co takiego?

– Na pielgrzymkę. To po francusku.

– Tak, wiem... – Louise nie spała od trzech dni. – Ale...

– Nad ocean, ty głuptasie! Wstaniemy wcześniej rano, obejrzymy w Cloisters wschód słońca, a potem pójdziemy pieszo na Coney Island.

– Po co?

– Aby wykazać się charakterem. Dowieść, że możemy! No wiesz, jak... jak średniowieczni pielgrzymi... Słuchałaś kiedyś *Années de pèlerinage* Liszta? Będziemy znowu recytować *Ulisses*, co ty na to?! – Wskazuje swój tatuaż. – „Więcej poezji!!!” – Mówi

to wszystko jak gdyby nigdy nic.

Następnego dnia Louise i facet, który się ulotnił, mają pójść na spacer do Prospect Parku. Chciała umówić się z nim później, na niedzielne popołudnie, bo wie, że w niedzielne popołudnia Lavinia nie wstaje z łóżka przed zmrokiem.

– Przepraszam – mówi więc. – Mam pracę.

– Jaką pracę?

– Na zmianie.

– To może przyjdę do ciebie? Wejdę za bar... usiądę i będę siedziała cicho jak myszka, a kiedy skończysz...

– Nie – odpowiada szybko Louise, za szybko. – Nie na zmianie. Mam lekcję. Z... Florą w Park Slope.

– Myślałam, że z Florą spotykasz się we wtorki i w czwartki.

– Odrabiamy lekcję, która się nie odbędzie. Flora... w przyszłym tygodniu wyjeżdża.

– Dokąd?

Lavinia przywołuje barmana. Nie pytając Louise, zamawia butelkę chablis.

– Nie wiem... a dlaczego pytasz?

– Nie powiedziała? Bo... – Lavinia się śmieje. – To przecież sam środek roku szkolnego. Cordy o niczym innym nie mówi, tylko o egzaminach semestralnych... stale nadaje mi o nich przez telefon... kto pozwala dziecku wyjeżdżać o takiej porze? – Wzrusza ramionami. – W porządku. Mogę spotkać się z tobą w Park Slope.

– Właściwie... – Louise próbuje jeszcze raz, wręcz wychodzi ze skóry. – Mam już plany...

– To nie będzie długi spacer, ale z Park Slope tak czy siak jest do

morza kilka kilometrów. Możemy pójść przez Midwood... popatrzeć na chasydów z tymi ich... no wiesz... tymi z włosów.

– Mam już plany – powtarza Louise.

– Umówiłaś się z kimś?

– Idę na randkę.

– Na randkę! – Lavinia śmieje się ostro. – Kto to taki?

– Facet... z którym się kiedyś spotkałam. Nikt ważny.

– Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

– Masz rację – uprzedza zarzut Louise. – Wybacz mi. Powinnam była ci powiedzieć. Ale się wstydziałam.

– Dlaczego? Przecież to wspaniale. – Lavinia nalewa sobie wina do kieliszka.

– Wiem, że powinnam była to z tobą uzgodnić, przepraszam.

– Uzgodnić ze mną? Nie bądź śmieszna, Lulu... nie jesteś moją zakładniczką! Możesz chodzić, gdzie chcesz! – Odstawia kieliszek.

– Nawet dobrze nam robi, jeśli rozstaniemy się na jakiś czas. Wiem, że czasami jestem zbyt intensywna.

– Nie o to chodzi! – zaczyna Louise, a potem milknie i próbuje jeszcze raz. – To tylko randka. I nic więcej.

– Poczekaj. – Lavinia unosi głowę. Oczy jej błyszczą. – To ten, który się ulotnił, prawda?

– Nie – zaprzecza odruchowo Louise, po czym potwierdza: – Tak.

– Czego on od ciebie chce?

– Niczego... po prostu zaczęliśmy ze sobą korespondować.

– Wyjaśnił, dlaczego wtedy zniknął?

– Na pewno to zrobi – broni się Louise. – Kiedy się spotkamy.

Porozmawiam z nim o tym jutro.

– Jesteś bardzo wyrozumiała, Louise – zauważa Lavinia. – Gdyby wobec mnie ktoś się tak zachował... nigdy już bym się do niego nie odezwała. – Nalewa wina Louise. – Nie powinnaś pozwalać się tak traktować. – Uśmiecha się smutno, ze współczuciem. – Pewnie chodzi mu o seks.

– Idziemy do parku!

– Gdzie?

– Na Brooklynie.

– I jeszcze jedziesz do niego? Taki kawał drogi?

– Chcieliśmy... chcieliśmy po prostu pójść do Prospect Parku, i tyle.

– Mówię tylko, żebyś uważała na siebie. Tacy mężczyźni... no wiesz. Lubią sprawdzać, jak daleko mogą się posunąć. Nie bądź zaskoczona, jeśli będzie chciał się z tobą przespać. Ale...

– Co?

– Pewnie tobie też o to chodzi.

– Słucham?

– To może nie wracaj na noc. Chciałabym wcześniej położyć się spać. Wolałabym, żebyś mnie nie obudziła, kiedy będziesz dzwonić domofonem. Więc jeśli miałybyś jechać całą tę drogę z Brooklynu, to lepiej zostań u tego faceta. – Lavinia edytuje zdjęcie w telefonie.

Nie podnosi wzroku, kiedy barman przynosi rachunek.

Dwieście dwadzieścia dwa dolary. Za butelkę wina, którego Louise prawie nie skosztowała.

Lavinia wciąż bawi się telefonem.

A Louise myśli: „Powiedz coś, powiedz coś, powiedz coś”.

Jednak Lavinia się nie odzywa. Kładzie na stole swoją kartę kredytową. I podpisuje się na wydruku.

– Myślę, że powinnaś pójść z nim do łóżka – podsumowuje. Wciąż spogląda na wyświetlacz swojej komórki. – Potrzeba ci seksu.

Louise go nie potrzebuje, może się bez niego obejść.

Kiedyś potrzebowała (nieustannie, ale to było kiedyś). Najpierw sypiała z Virgilem (jeśli akurat miał ochotę), a później, gdy wreszcie – wreszcie – zmieniła numer telefonu, miała wiele jednorazowych przygód i pieprzyła się z tamtym feministą już pierwszego wieczoru, kiedy się poznali, w barowej toalecie w Crown Heights. Pragnęła tego (dotyku, głównie dotyku, ale także śmiechu, ugryzień i tych wszystkich „Boże, jaka jesteś piękna!”).

Nie uprawiała seksu od czterech lat.

Jeśli nie liczyć tego, co zaszło w operze, ale trudno zdefiniować coś, co dzieje się między dwiema heteroseksualnymi dziewczynami, kiedy są pijane i żadna z nich nie dochodzi.

„Seks – myśli Louise – to chyba w ogóle strata czasu”.

Louise informuje Lavinie, że jej randka została odwołana.

Ta wzrusza ramionami.

– Mężczyźni! Mówiłam ci. Do diabła z nimi wszystkimi.

Louise znowu zawala robotę dla GlaZam. „Trochę się martwię, że nie traktuje Pani naszego zlecenia poważnie – pisze kobieta z Wisconsin, która prowadzi ten interes. – Trzeba zwiększyć wysiłki, rozumiemy się?”

– Jesteś dla wszystkich za dobra – komentuje Lavinia. – Nikt na

świecie na ciebie nie zasługuje.

Tamtego wieczoru w sklepiku na rogu Siedemdziesiątej Szóstej i Lex Louise wypłaca z rachunku bankowego Lavinii trzysta dolarów; zamiast tam powinna robić zakupy w Agata & Valentina na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Pierwszej Alei i kupować drogi ser, którego Lavinia nawet nie tknie.

Idzie na spacer.

Jest już późno, zdaje sobie z tego sprawę, i powinna pójść spać (jest taka niewyspana, poza tym ma jeszcze tyle do zrobienia), ale boi się, że jeśli wróci do domu, obudzi Lavinie. A Lavinia, obudzona, będzie chciała z nią porozmawiać, ułożyć jej włosy albo porobić zdjęcia, a ona nie ma na to ochoty, nie teraz.

Rusza więc do parku (wszystko kwitnie na różowo), ale nie Prospect, tylko Carl Schurz Parku, tego pasa zieleni przy Gracie Mansion, skąd widać East River; jest tam też pomnik Piotrusia Pana. Ponieważ wszystko kwitnie na różowo, każdy, kto może, o zachodzie słońca wychodzi z domu. Zakochani trzymają się za ręce i pochylają ku sobie. Wszyscy w Nowym Jorku się całują – oprócz niej. A Lavinia śpi albo po raz nie wiadomo który ogląda w łóżku *Koleje wojny*. Nagle Louise czuje się taka samotna, taka cholernie samotna, mimo że nie powinna, to z jej strony czarna niewdzięczność, bo przecież tyle od Lavinii dostaje (dach nad głową, alkohol, prochy, no i te imprezy, o Boże, te imprezy). I to, że podkrada pieniądze, to też z jej strony czarna niewdzięczność. Może właśnie kimś takim jest, najbardziej niewdzięczną osobą na świecie, ponieważ mając to wszystko, wciąż pragnie znaleźć się

w Prospect Parku i trzymać się za ręce z jakimś facetem, który nawet nie raczył zerwać z nią za pośrednictwem esemesa.

Louise się nie złości. Nie potrafi.

Wysłała na Facebooku wiadomość do Rexa:

„Miło było Cię zobaczyć podczas Gali Morgana”.

To nic takiego. Nic niebezpiecznego. Tylko uprzejmości.

„Hej, Ciebie też. Mam nadzieję, że nie miałaś przeze mnie kłopotów”.

Więc Louise odpowiada: „Nie większe niż zwykle”.

„To dobrze. Co u Ciebie? Trzymasz się?”

Na co ona: „Jak zwykle”.

„To znaczy «tak» czy «nie»?”

„Sama nie wiem – odpisuje. – Miałam ciężki dzień”.

„Widziałem”.

Oczywiście, że widział. Te wszystkie zdjęcia, które ze względu na niego wstawia do internetu.

„Wyglądałyście, jakbyście dobrze się bawiły. Obie takie sztywne”.

Wystąpiły w kostiumach kąpielowych retro. I były umalowane w stylu lat dwudziestych.

„To zasługa makijażu” – wyjaśnia Louise.

„Nie wierzę”.

„Przysięgam”.

„Udowodnij” – domaga się Rex.

„Jak mam to zrobić?”

„Zrób sobie najbrzydsze zdjęcie, jakie tylko zdołasz”.

Więc robi.

Trochę się obawia, ale wykrzywia twarz, wystawia język, wytrzeszcza oczy – i cyka selfie.

„Hm” – Rex na to.

W małym polu, które pokazuje, czy ktoś pisze, przez chwilę nic się nie zmienia.

„Makijaż nie ma z tym nic wspólnego” – orzeka w końcu Rex.

I dodaje:

„Przykro mi. Jeśli mogę tak powiedzieć”.

„Możesz wszystko – odpisuje Louise. – Rób, co chcesz. Tak jak my”.

I śmiejąca się buźka.

Kiedy Louise wraca do domu, jest już ciemno.

Stawia zakupy na stole.

– Gdzie byłaś tak długo? – Lavinia siedzi w mroku, zapatrzona w przestrzeń.

– Nigdzie – odpowiada Louise.

I dodaje:

– Zebrałam dla ciebie kwiaty.

Lavinia wydaje się uszczęśliwiona.

– Poszłam aż do Jerome... pomyślałam, że ci się spodobają.

– Są piękne – mówi Lavinia. I ją obejmuje.

Louise nabrała w tym dużej wprawy.

Nic trudnego, dopóki Louise traktuje to jak grę.

Co parę dni wypłaca po kilkaset dolarów.

Zażywa dziennie dziesięć miligramów adderallu.

Bez przerwy cyka zdjęcia.

Śpi w łóżku Lavinii.

Nie wysypia się.

Ciągnie to jakoś.

W czerwcu zostaje zwolniona.

Nie z GlaZam, chociaż jej praca pozostawia wiele do życzenia.

Nie z baru, chociaż wciąż się spóźnia albo urywa.

Traci Paula.

Przyjeżdża na lekcję, jedną z trzech w tygodniu. Trzygodzinne, po osiemdziesiąt dolarów za godzinę (Paul chce zdawać do Dartmouth), stanowią jak dotąd jej najlepiej płatną robotę. Spóźnia się, ale nie tak bardzo. Omawiają z Paulem różnice między „asekuracją” a „asertywnością”.

Wtedy Paul unosi głowę.

– Więc... – zaczyna. – Wygląda na to, że już nie jesteś mi potrzebna.

Dowiedział się po cichu od kogoś z Dartmouth, że dostanie się tam jako zawodnik drużyny squasha.

– I tak więcej te lekcje by mi nie dały.

Płaci jej pięćdziesiąt dolarów ekstra.

I zagląda do telefonu, zanim Louise zdąży wyjść z pokoju.

Louise nic nie jest. Jakoś się pozbiera.

Musi tylko pobrać nieco więcej pieniędzy z konta Lavinii (która nie odczuje ich braku). I postarać się nie stracić pozostałych posad.

Będzie codziennie wychodzić z domu o tej samej porze co dotychczas, aby Lavinia się nie zorientowała (ma dziewięć godzin tygodniowo, zaledwie dziewięć godzin wolności tygodniowo, kiedy

jest poza jej zasięgiem).

Może chodzić na spacer.

Pracować dla GlaZam w kawiarniach.

Spotykać się z Rexem.

Nie to, żeby regularnie spotykała się z Rexem czy coś takiego.

Ale odbyli jedną rozmowę esemesową, potem drugą, a później Rex zapytał o pisane przez nią opowiadania i powiedział jej, że to o uciekinierach z Devonshire Academy było naprawdę poruszające, wtedy ona zapytała go, jak idzie mu na studiach doktoranckich, a on wyjaśnił, że ma dużo pracy, zwłaszcza jeśli chodzi o łacinę i grekę, ale to takie satysfakcjonujące robić coś, co się naprawdę lubi. Louise odparła, że pewnie, i wspomniała, że chce pójść do Met obejrzeć greckie i rzymskie rzeźby, a Rex odpowiedział, że chętnie poszedłby z nią, nie był tam od wieków, na co ona, że cha, cha, to wywołałoby trzecią wojnę światową, wtedy on cha, cha, a ona, że wybiera się w środę, powiedzmy koło czwartej, i byłoby zabawnie, gdyby na siebie wpadli, cha, cha, i wreszcie on, że to byłby czysty przypadek. I stało się.

– Przyjemnie – mówi Rex, gdy przechodzą z sali do sali, od posągu do posągu. – W muzeach zawsze ogarnia mnie spokój.

Louise ma całe trzy godziny, żeby się tym spokojem nacieszyć.

– Przychodziłem tu stale jako dziecko. – Collegiate znajduje się tuż za parkiem. – Za każdym razem, kiedy chciałem uciec.

– To nie przypomina galerii handlowej w Devonshire – zauważa ona.

– Było dziwnie? – pyta Rex.

– Nie rozumiem.

– Dorastać w miasteczku z kampusem.

Louise nagle sobie uświadamia, że Lavinia nigdy nie zadaje jej takich pytań.

Wzrusza ramionami.

– Trochę tak, jak dorastać w sąsiedztwie muzeum – odpowiada. – Miło mieć je niedaleko... ale jest w tym coś nierzeczywistego.

Opowiada mu, jak w wieku szesnastu lat cały tydzień przesiedziała w jadalni Devonshire Academy, i kiedy Rex przyjmuje to milczeniem, ogarnia ją lęk, że wyszła na wariatkę, on jednak zaraz potem parska śmiechem.

– Chodziłaś na jakieś lekcje?

– Nie!

– Dlaczego nie? Trzeba było!

– Ktoś by zauważył.

Rex wzrusza ramionami.

– Czy ja wiem? – odpowiada. – Ludzie są mało spostrzegawczy.

Przez chwilę patrzą na pozbawioną ramion Afrodytę.

– Mimo wszystko to ciekawa historia – stwierdza Rex.

– Wcale nie – zaprzecza Louise. – To byłaby ciekawa historia, gdybym chodziła tam przez rok.

Rex wzdycha.

– Ciekawe historie są przereklamowane – mówi.

Oboje starają się skupić na Afrodycie.

– Pragnę tylko spokojnego życia – dodaje.

Żegnają się na rogu Osiemdziesiątej Szóstej i Lex, bo Rex wraca metrem do East Village, i trochę zbyt długo stoją przy schodach

prowadzących na stację.

– Fajnie było – mówi Rex i Louise potwierdza, tak, było fajnie.

– Mam nadzieję... no wiesz – podejmuje, biorąc głęboki oddech.

– Czy u niej wszystko dobrze?

Louise nie wie, dlaczego to takie przykre, że wciąż mu zależy.

– Tak, świetnie – odpowiada.

– Nie pozwól mi...

– Oczywiście, że nie.

Ze skrępowaniem ściskają sobie dłonie, a potem on znika pod ziemią.

– Lulu!

Louise gwałtownie obraca głowę.

– Lulu!

Po drugiej stronie przejścia przez ulicę stoi Lavinia.

Louise pierwszy raz widzi ją samą poza domem.

Przez sekundę myśli: „Wszystko widziała”; żołądek podchodzi jej do gardła. Nie sądziła, że można się tak bać. Serce wali jej w piersi.

– Sądziłam, że masz korepetycje! – Lavinia trzyma w ramionach torby z zakupami.

„Uśmiecha się – myśli Louise. – Dzięki Bogu, dzięki Bogu, że się uśmiecha. Nic nie wie”.

– Dlaczego nie jesteś na lekcji?

– Skończyła się wcześniej.

Jednocześnie przychodzi jej do głowy: „Jak bardzo zbliżysz się do schrzanienia tego?”.

– Mam dla ciebie prezent. – Lavinia zmienia temat. – Tak się nudziłam, że poszłam do Michael’s... Będzie ci w tym świetnie.

Wręcza jej torbę na środku ulicy.

To najpiękniejsza sukienka, jaką Louise kiedykolwiek widziała.

Jest ze skosu. Na fiszbinach. Z cekinami do samego dołu.

– Powiedziałam Mimi: „Lulu będzie doskonale w tej sukience”.

Musiałam ci ją kupić! Podoba ci się?

– Poszłaś z Mimi?

Lavinia wzrusza ramionami.

– Nie było cię! A ona miała czas. Przestań, Lulu, nie złość się.

– Myślałam, że jej nie znosisz.

– Nieważne... chodźmy do domu i przebierzmy się. Chcę, żebyś włożyła ją dziś wieczorem.

– Dziś wieczorem?

– Jest wiosenna impreza „Fiddlera”... nie mówiłam ci?

Lavinia ją wyprzedza.

– Lepiej weź adderall! – woła. – Zapowiada się długa noc. Okropieństwo... Beowulf Marmont ma zamieścić w następnym wydaniu wywiad z Henrym Upchurchem i mówi każdemu, kto tylko chce słuchać, że wejdzie w tym roku do ich sławnej Piątki przed Trzydziestką. Boże, jak ja nienawidzę tych ludzi!

Więc idą na przyjęcie.

Wciągają kreski z dziewczyną Gavina Mullaneya, niby feministką. Wypijają kolejkę z Gavinem, który mówi Louise, że powinna im przysłać swoje następne opowiadanie, może tym razem pójdzie do druku, a Louise odpowiada, że tak, oczywiście, gdy

tylko znajdzie czas.

Mimo że Louise jest w niebotycznych szpilkach, tańczą aż po świt, bo przecież to Lavinia ma klucze od mieszkania.

Następnego rana Louise przesypia swoją zmianę w barze i stamtąd też zostaje wywalona.

– No i dobrze, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – komentuje Lavinia, kiedy Louise ją o tym informuje. – To nie była praca dla ciebie. Masz zostać Wielką Pisarką. O czynsz nie musisz się martwić.

Louise przestaje wtedy esemesować z Rexem.

Dochodzi do wniosku, że tak będzie lepiej.

Zresztą i tak zależało mu tylko na informacjach o Lavinii.

Louise ma się dobrze. Nadal ma się dobrze. Wszystko jest w całkowitym porządku.

Świetnie to wszystko ogarnia.

Nawet bez dochodu z korepetycji. Bez pensji z baru. Nawet bez Rexa.

Musi tylko wybierać trochę więcej pieniędzy, nic poza tym, i trochę częściej.

Ale przecież nie płaci czynszu.

I nie będzie potrzebowała zadatku na nowe mieszkanie.

„Dam radę – mówi sobie. – Dam radę”.

Do czasu, aż którego wieczoru wraca z lekcji u Flory w Park Slope i nie zostaje wpuszczona do mieszkania.

Przez chwilę stoi przed drzwiami – głupio, bezradnie – licząc, że

Lavinia po prostu jest pod prysznicem.

Telefon Lavinii milczy.

Mimo że pada deszcz, Louise tkwi tam prawie godzinę, bo torbę ma ciężką od podręczników, laptopa i ładowarki i nie wie, co zrobić; odchodzi dopiero wtedy, gdy przez szklane drzwi zauważa panią Winters schodzącą na dół – ponieważ przecież tu nie mieszka.

„Dam radę” – powtarza sobie.

Więc rusza do Carlyle.

Idzie powoli. Z podniesioną wysoko głową. Wchodzi do środka, jakby była u siebie; może jest.

Ma piękną sukienkę – zresztą Lavinii. Nieskazitelną fryzurę. A w portfelu gotówkę – też Lavinii.

Siada w barze. Dłonie składa na kolanach.

Zamawia drinka – tak jak zrobiłaby to Lavinia – nie dając po sobie poznać, że jej świat wali się w gruzy.

Niespiesznie, bardzo niespiesznie sączy szampana.

– Ciężki Bogu, najdroższa.

To Athena Maidenhead.

Louise pierwszy raz widzi ją tu samą.

– Wystawił mnie... możesz w to uwieszyć?

Zawsze mówi z przesadnym nowojorskim akcentem, jakby żuła gumę.

– Ostatni raz umówiłam się na randkę przez OKStupid... bo tak to się nazywa, no nie? Okaystupid. Rozumiesz? – Śmieje się po męsku, chrapliwie, i klepie Louise po ramieniu.

Louise się uśmiecha, jakby nie brakowało jej Lavinii, jakby jej

świat nie miał się skończyć.

– Od tej pory będę się trzymała WhatsYourPrice – ciągnie Athena.

Zamawia sobie kieliszek szampana.

– Świetnie wyglądałaś wtedy, w operze. Co to było?

– *Romeo i Julia*.

– Co za przedstawienie! Bosze, można umrzeć!

Nachyla się blisko, bardzo blisko.

– Poszłabym do opery. Namów kiedyś Lavinie, żeby kupiła mi bilet.

Śmieje się, jakby to był dobry dowcip.

– Nie miałybyście czasami ochoty na trójkącik? – Ma na zębach ślad szminki.

– Może – odpowiada Louise.

– Bystra dziewczyna – komentuje Athena. – Trzymaj karty przy orderach. – Znowu żartobliwie ją szturcha. – Takie babki jak my powinny się wspierać. Człowiek orze, jak może. No wiesz, trzeba mieć oczy i uszy otwarte.

– Co masz na myśli?

– Jak długo ją znasz?

– Sześć miesięcy. Mniej więcej.

– Uhm. – Athena stuka się w nadgarstek. – Tak myślałam.

W samą porę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na razie nie ma powodu do paniki. Zostało ci jeszcze parę miesięcy. – Unosi podkreśloną brew. – Ale ja na twoim miejscu... opracowałabym plan awaryjny. – Gestem zamawia jeszcze po

szampanie, mimo że Louise nie wypła poprzedniego. – Mimi, kiedy została przez nią wykopana, musiała wrócić do domu na... całe dwa miesiące, zanim uzbierała na zaliczkę... to było przykre. A tamta poprzednia... Lisabetta, Boże, ta chyba się po prostu spakowała i odeszła...

– Przed Mimi?

Athena wzrusza ramionami.

– Tylko mówię. Opchnij, co się da. – Znosi się ryczącym śmiechem. – Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. – Odstawia kieliszek. – Załatw mi kiedyś bilet na operę.

I zostawia Louise z rachunkiem do zapłacenia.

Jest już północ, kiedy Louise wraca pod dom. Wciąż pada deszcz. A Lavinii wciąż nie ma. I nie odbiera telefonu.

Louise czeka po drugiej stronie ulicy, na podeście kamienicy z piaskowca, mimo że nie ma tam daszka. Boi się, że pani Winters mogłaby wyjść i ją zauważyć.

Żeby zachować spokój, liczy w głowie:

Czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc: tysiąc sześćset dolarów – nie, błąd, nie znajdzie kawalerki za osiemset – tamta była ze stałym czynszem – będzie musiała poszukać współlokatorki – o Boże, z drugim kompletem kluczy – i rozejrzeć się za mieszkaniem gdzieś znacznie dalej; o Boże, i dojazdy.

Na koncie bankowym ma sześćdziesiąt cztery dolary.

W poszewce na poduszkę – trzysta dolarów, z konta Lavinii.

Została jej jedna praca.

„Dam radę – myśli, zmusza się do myślenia. – Dam radę”.

Tyle że nie da.

Lavinia wraca o drugiej w nocy.

Wytacza się z taksówki.

Upada przed budynkiem.

Ma porwane pończochy. I sukienkę na lewą stronę. Z wargi cieknie jej krew.

– Boże!

Louise jest na miejscu, biegnie szybko, żeby pomóc jej wstać.

– A ty skąd się tu wzięłaś, do diabła? – Lavinia nawet nie może skupić wzroku.

– Czekałam na ciebie. – „Tylko nie okazuj złości; niech cię nie poniesie”. – Nie mam kluczy.

– Och. – Lavinia rzuca je na chodnik. Louise podnosi. – Proszę.

– Gdzie byłaś?

– Nie twoja sprawa. W mieście.

Wchodzą do budynku. Idą po schodach.

– Sukienkę masz włożoną na lewą stronę.

Lavinia nie odpowiada. Wdrapuje się na czworakach.

– Martwiłam się o ciebie.

– Nie wierzę! – Podciągając się na barierce, Lavinia próbuje wstać, ale znowu się przewraca. – Byłaś zadowolona... nieprawda? Byłaś zadowolona... miałaś całą noc dla siebie, no nie?

W oczach ma łzy. Które spływają jej po twarzy.

– Nie mogłam się dostać do swojego domu, stałam pod drzwiami i...

– Wal się! – wrzeszczy Lavinia. – Wal się... to mój dom! Mój

i Cordy!

Po drugiej stronie korytarza otwierają się drzwi.

– No naprawdę. – W progu staje pani Winters.

Louise kolejny raz przeprasza ją bezgłośnie.

A Lavinia tylko wybucha śmiechem.

– Może pani w to uwierzyć? – mówi prosto w twarz sąsiadki. – Ta suka uważa, że to także jej dom.

– Ja tylko położę ją do łóżka – tłumaczy Louise. – Odprowadzę do mieszkania... i już. Potem sobie pójdę.

– Mam taką nadzieję – kwituje pani Winters.

Unosi brew. I zamyka drzwi.

Lavinia wciąż się śmieje, kiedy Louise pcha drzwi i wciąga ją do przedpokoju.

– Boże... nie dotykaj mnie! Co z tobą?

– Wejdz – mówi Louise. Jest skonana. – Proszę.

– Nie waż się mnie dotykać!

– Powiedz mi tylko, co się stało.

Sadza Lavinie na kanapie. Idzie po lód, a potem go przykłada do jej rozciętej wargi.

– Czy... ktoś zrobił ci coś złego?

– A co, jesteś zazdrosna? – Lavinia odrzuca te swoje długie farbowane włosy. – A może... znowu chcesz się do mnie dobrać?

– Idę spać.

– Świetnie! Idź spać! Nic mnie to nie obchodzi... nie obchodzi mnie, co robisz, do cholery.

Louise nie może zasnąć.

Przez jakiś czas wpatruje się w sufit; w żyrandol Lavinii, w jej złocone gzymsy, w jej akt paryskiej kurtyzany, prawdopodobnie i tak falsyfikat.

Wstaje. Idzie do salonu.

Otwiera drzwi pokoju Lavinii.

Lavinia leży na łóżku, w blasku księżyca padającym na nią ukośnym snopem. Jej włosy są w nim złote, puszyste, otaczają głowę niczym aureola, więc wygląda jak anioł Rossettiego, jak utopiona Ofelia. Ma na sobie koszulę nocną.

Wciąż sypia z pluszowym misiem.

A Louise myśl: „O Boże, żeby tylko to nie była prawda”.

Podchodzi do łóżka. Siada na krawędzi. Porusza się ostrożnie. Lavinia mocno przyciska do siebie zabawkę.

Może była tu przede mną jakaś Lisabetta, myśli, może była jakaś Mimi.

Zrobi wszystko, co tylko będzie trzeba. Będzie kłamać na temat powieści. Będzie chodzić późno spać, choćby miała opuścić nie wiadomo ile zmian. Przestanie wypłacać nienależące do niej pieniądze. Już nigdy nie odezwie się do Rexa. Będzie cykać Lavinii tyle zdjęć, ile ta zechce, pięknej olśniewającej Lavinii, Lavinii jako menady, Lavinii podbijającej świat. Żeby tylko nie spotkał jej taki los jak tamte. Nie będzie nawet prosić o miłość; przecież nie wie, czy Lavinia w ogóle potrafi kochać. Żeby tylko Lavinia jej potrzebowała.

Louise kładzie się do łóżka i przytula do nieruchomych pleców Lavinii.

Ostrożnie kładzie dłoń na jej barku. I ostrożnie przesuwa po ramieniu.

Lavinia ani drgnie.

Louise leży przy niej bez ruchu, sztywno.

– Kocham cię – szepcze. – Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Lavinia nie odpowiada.

Leżą tak przez jakiś czas, w ciszy, potem Louise wstaje i wraca do drugiego pokoju, a następnego dnia zdarza jej się coś, co do tej pory nigdy się nie zdarzyło: śpi tak długo, że zawala ostatni termin swojego zlecenia dla GlaZam i stamtąd też zostaje wyrzucona.

Rankiem Lavinia posyła ją do Agaty po croissanty i zachowuje się tak, jakby nic się nie stało.

Ostatnia impreza, na jaką idzie Lavinia, odbywa się w seksklubie, który nie jest seksklubem.

Nazywa się P.M., co ma być skrótem od *petit mort*; alkohol sprzedają tam tylko na butelki. Mieści się w dawnym teatrze przypominającym burdel, a żeby tam wejść, trzeba być przez kogoś poleconym (mimo że prosecco kosztuje sześćset dolarów, a za szampana trzeba zapłacić osiemset). Na jednej z bocznych scen jakaś drobna istota wkłada sobie dildo do tyłka, na innej kobieta tarza się w kale, a na jeszcze innej gwizdże cipą melodie musicalowe.

Lavinia nie powinna bywać w takich miejscach.

Ale jest, a stało się to tak.

Tej nocy odbywa się tu specjalne przyjęcie. Athena Maidenhead oprócz tańca z biczem prezentuje taniec z wachlarzem, ale w klubie

brakuje dziewczyn, więc daje Louise cynk i załatwia jej robotę.

– Fantastycznie! – mówi Lavinia, kiedy się o tym dowiaduje. – Zawsze chciałam tam pójść. Słyszałam, że urządzają na scenie orgie... naprawdę je urządzają?

– Ja będę tam pracować!

– Ale tylko jako hostessa! Będziesz musiała jedynie chodzić z tacą i ładnie wyglądać, no nie?

– To jednak praca – Louise próbuje jeszcze raz.

– Rozumiem. – Uśmiech na twarzy Lavinii tężeje.

– Nie chciałabym tylko, żebyś czuła się niezręcznie – rzuca Louise. Jest taka ostrożna. – Gdy ja będę nalewała szampana jakiemuś nadzianemu facetowi, tobie może być przykro... bo nie będziemy mogły dobrze się razem bawić.

– Nie bądź głupia, Lulu – odpowiada Lavinia. – Już sama twoja obecność sprawia, że się dobrze bawię.

– Wcześniej możemy zrobić coś innego. – Louise uśmiecha się szerzej. – Co powiesz na targ staroci w Chelsea? Albo jazzowy brunch w hotelu Chantelle... uwielbiasz jazzowe brunchy.

Lavinia nie odpowiada.

Wstaje, podchodzi do stołu w jadalni.

– Ej, Lulu?

– Uhm?

– Zostawiłam tu pieniądze. Niedużo... w sumie kilkaset dolarów czy coś koło tego. Przysięgłabym, że banknotów było pięć, ale... – Patrzy na Louise spokojnie. – Nie widziałaś tego jednego, co?

Serce Louise bije szybko.

– Nie, jasne, że nie.

– Tak myślałam. – Lavinia bierze pozostałe banknoty. –
Chciałam się jedynie upewnić.

– Będę się rozglądać.

– A może były tylko cztery – dodaje Lavinia. – Bóg wie, że
zupełnie nie mam pamięci do takich rzeczy.

Więc Louise rozpaczliwie chwytą się tego jednego jedyne-
go sposobu – do którego zawsze może się uciec – żeby sprawić Lavinii
przyjemność.

– Wiesz co, w tej chwili jest bardzo dobre światło.

– Tak?

– Cyknę ci zdjęcie. Samej... jak leżysz na kanapie, w tym
szlafroku, z rozświetlonymi włosami.

– Nie, dzięki – odpowiada Lavinia.

A teraz ta część, na którą czekacie.

I wy, i ja wiecie, co się stanie: Lavinia nie wyjdzie z tego cało.

Jednak musicie się jeszcze dowiedzieć, jak do tego dojdzie.

Byliśmy już na przyjęciach. I to kilka razy.

Ale na takiej imprezie nie byliśmy.

W tym cała rzecz.

Skoro zatrudniają połykaczki ognia, karlicę, która wkłada sobie
dildo w odbyty, faceta, który tarza się w kremie, zrosnięte ze sobą
bliźnięta, kobietę wydającą dźwięki za pomocą pochwy, to dlatego,
że taka impreza powinna różnić się od wszystkich innych, na jakich
dotychczas byliście, i jeżeli się zdarzy, że zwymiotujecie albo
uciekniecie z krzykiem, to tym lepiej, bo będzie znaczyło, że coś
poczuliście.

Bramkarz jest niski, drinki są rozwodnione, ci, co za nie płacą, to frajerzy, a jednak w niektóre wieczory kolejka przed wejściem sięga aż do końca Chrystie Street, mimo że większość stojących w niej ludzi nie dostanie się do środka (oprócz Lavinii, która zawsze, zawsze stanowi wyjątek). Bo też jest to miejsce, które wreszcie, wreszcie cię zaskoczy.

Jest tam dziewczyna, która kiedyś występowała w *Rzykantach* jako ta zła.

Są nadziani faceci, którzy piją schłodzone rosé.

Jest gość, który wymyślił aplikację podobną do ubera, tyle że z helikopterami; można się nimi dostać do Hamptons, a lot kosztuje pięćset dolarów od osoby.

Jest dawna gwiazda dziecięca, która teraz występuje jako komik z jednoosobowymi numerami (to dowcip).

Jest mężczyzna, który nazajutrz się żeni, a nie chce.

Jest i Louise w minispódniczce, podająca krewetki.

Gorąco. Leje się pot. Wszystko klei się do wszystkiego. Dwaj faceci już zdążyli obmacać Louise po tyłku (nie wolno jej się sprzeciwiać). Inny wsadził jej rękę prosto między nogi. Athena Maidenhead, kompletnie naga, mająca na sobie tylko te paszteciki w kształcie greckich kolumn, zatacza frędzlami idealne ósemki. Karlica występuje w pełnym makijażu.

– Uwaga: spoiler. – To Hal, w smokingu. – Połykaczki ognia się pieprzą.

Louise przywołuje na twarz swój najbardziej przymilny, pochlebny uśmiech.

– Może krewetkę, Hal?

– W takich miejscach jak to takim dziewczynom jak ty zdarzają się straszne rzeczy.

– Jakoś nie zauważyłam.

– Nie ma w tym nic złego. Idź w to. Jest tu kilku wielkich ludzi.

– Zastanawia się przez chwilę. – Wiesz, któregoś dnia mogłabyś być całkiem dobrą żoną. Wyglądasz na miłą dziewczynę.

– Jeszcze krewetkę?

– Czujesz się tu skępowana? Niepotrzebnie. Nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Jesteś powietrzem.

Louise nadal się uśmiecha.

– Nie mam na myśli nic złego. To komplement.

– Mów dalej. – Zgrzyta zębami tak mocno, że zaraz się połamią.

– To wyzwalające. Nikt niczego od ciebie nie oczekuje. – Język mu się płacze, jak zwykle. Kiwa głową, nawet gdy już kończy mówić. – Założę się, że nikogo nie obchodzi, czy jesteś w New Hampshire Wielkim Człowiekiem, czy nie.

Louise zaczyna robić słodkie oczy do nieznajomych, licząc, że któryś ją przywoła.

– A ty uważasz się za Wielkiego Człowieka, Hal?

– O Boże, nie. Jestem tylko skromnym agentem ubezpieczeniowym na kierowniczym stanowisku. Wystarczy mi nieduże mieszkanie w kamienicy, Filipinka, która będzie prasować moje koszule, Wagner płynący z wieży i chętnie stanę pod ścianą, kiedy przyjdzie rewolucja. *Me ne frego*.

– To świetnie. – Wykręca szyję, patrząc z desperacją na faceta, który pięć minut wcześniej złapał ją za tyłek i pytał, czy ma

w pośladkach implanty.

– Wiesz, że Rex za tobą szaleje?

– Słucham?

– To naprawdę żalosne. Tak mu powiedziałem. Mięczak z niego.

– Jestem najlepszą przyjaciółką Lavinii.

– Jasne – odpowiada Hal. Ma żółte zęby, które jednak błyszczą w światłach stroboskopowych. – Porządna z ciebie dziewczyna.

– Czy... on tu jest?

– Myślisz, że Rex oglądałby, jak jakaś laska pieprzy się z robotem? – Prycha. – Prawdopodobnie wskoczyłby na scenę, żeby stanąć w jej obronie. – Bierze ostatnią krewetkę z jej tacy. – Jeśli to poprawi ci samopoczucie, ma z tego powodu okropne poczucie winy.

– Nie poprawia.

– Pod tym swoim tweedem nosi włosiennicę.

– Co ty powiesz? – kwituje Louise. – W ogóle mnie to nie interesuje.

– Wszelka własność to złodziejstwo.

Daje pięćdziesiąt dolarów napiwku i klepie ją po tyłku.

Louise wciąż uśmiecha się do nieznanomych. Robi, co może, żeby nie dopuścić wilków pod drzwi.

Wyczuwa Lavinie, zanim ją dostrzeże. To te same dobrze znane perfumy, które czuć nawet tutaj, gdzie unosi się woń ciał i choroby. Ten przesłodzony, uderzający do głowy zapach lawendy i figi jakoś się przez to przebija. A potem widzi jej włosy.

Tego wieczoru Lavinia je rozpuściła. Ma na sobie ciemną

aksamitną suknię, siedzi na obitej pluszem długiej kanapie, śmieje się i błyska zębami.

Jest z Mimi.

– Lavinio?

Ta leniwie odwraca głowę.

– O, cześć, Lulu. – Opada na oparcie kanapy. – Krewetki ci się skończyły.

Mimi uśmiecha się swoim poddańczym uśmiechem.

– Czy to miejsce nie jest niesamowite? Jeśli ten numer z dildo to jakaś sztuczka, to... przysięgam na Boga...

– Mimi, kochanie?

– Uhm?

– Możesz przynieść mi jeszcze kieliszek prosecco?

Mimi oddala się ochoczo.

– Boże, co za miejsce! – Lavinia trzyma w palcach wykałaczkę, jakby to był papieros. – Wszystko tu jest takie brudne, Louise. Co za ohyda! Ale czy nie jest przez to cudownie? – Śmieje się. – Tak musiało być na placu Pigalle w okresie, powiedzmy, fin de siècle'u. Czy w Moulin Rouge... gorsząco, nie sądzisz? Chodź, usiądź.

– Jestem w pracy – odpowiada Louise.

Lavinia wzrusza ramionami. Dopija resztki processo.

– Więc... – rzuca Louise. – Przyszłaś z Mimi.

Lavinia uśmiecha się jak gdyby nigdy nic.

– Och, wiem, że za nią nie przepadasz – mówi. – Ale w małych dawkach jest do zniesienia.

– Nigdy nie mówiłam, że...

– Bywa dość męcząca i to wszystko. Ale ja podobnie... nie

uważasz?

Louise milczy.

– Nie uważasz, Lulu?

– To znaczy... – Louise trochę się gubi. – No, może, trochę...

– Boże, musisz być taka znudzona...

Kobieta tarzająca się we własnych odchodach właśnie tarza się w nich na scenie.

– Biedna Lulu. Pewnie trudno ci ze mną wytrzymać.

– Nie bądź głupia – odpowiada Louise. – Świetnie się bawię.

– A... jak Hal?

Louise tężeje.

– Nie rozumiem?

– Widziałam was... jak gawędziliście.

– Chciał poczęstować się krewetką.

– Lubisz go, co?

– Rany... Hala?! – Chyba nawet Rex go nie lubi. – Ależ skąd!

– Nie byłoby w tym nic złego. Powinnaś się z nim przespać. To idiota. Ale bogaty idiota. I do tego całkiem zabawny.

– Nie chcę się z nim przespać, Lavinio.

– Z kimś powinnaś, Lulu. Dobrze by ci to zrobiło! Potrzebujesz faceta. Nam też to nie służy, no wiesz... to ciągle przebywanie razem.

Louise kątem oka widzi, że Mimi entuzjastycznie oklaskuje kobietę tarzającą się w odchodach.

– Chcę przebywać z tobą przez cały czas, Lavinio – mówi. Nie podnosi wzroku. Dobrze opanowała tę rolę. – Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. – Naprawdę dobrze ją opanowała. – Tak miło

z twojej strony, że przyszedł tu dziś wieczorem, Lavinio. Wiedziałaś... wiedziałaś, że w głębi duszy mi na tym zależało.

– Uhm.

– Chciałabym obejrzeć te występy z tobą.

– Uhm.

– Wiem... to było głupie... niepotrzebnie przyjechałam tę fuchę.

Lavinia patrzy w swój telefon.

– Tak – odpowiada. – Rzeczywiście niepotrzebnie to zrobiłaś.

O wpół do jedenastej Mimi zasypia na kanapie. Pochrapuje.

Lavinia tańczy sama, w neonowych światłach, które zalewają ją czerwienią, błękitem, zielenią.

– Lulu – mruczy. Dwaj kolejni faceci obmacają Louise po tyłku i od stania na wysokich obcasach straszliwie bolą ją stopy. – Moja Lulu.

Louise nienawidzi siebie za ulgę, jaką przynoszą jej te słowa.

Lavinia rusza do baru.

– Jesteś moją ulubienicą, Lulu. Wiesz o tym.

– Tak, wiem.

– Zróbmy sobie zdjęcie. Tylko we dwie.

Wysoko nad nimi unoszą się akrobatki.

– Zrobimy sobie zdjęcie, kiedy skończę swoją zmianę – odpowiada Louise. – Wychodzę po czwartej.

– Może włamiemy się do tego zielonego pokoju! Sprawdźmy, czy numer z dildo jest autentyczny!

– Kiedy skończę zmianę – powtarza Louise takim samym tonem, jakby to coś mogło zmienić.

– Włammy się tam i cyknijmy sobie fotkę z robotem!

– Proszę – szepcze Louise – proszę, Lavinio, nie...

Ale Lavinia nie daje się zniechęcić.

– Mimi się zgodziła. Ale ona... no wiesz, znasz Mimi... ma za słabą głowę, nie tak jak ty, Lulu. Ona jest inna niż my.

– Nie chcę stracić tej roboty – przekonuje Louise. – Proszę.

– Boże, Lulu. – Lavinia przewraca oczami. – Kiedyś byłaś zabawniejsza!

Wstaje.

– Jestem zabawna!

Lavinia unosi rękę i wskazuje na nią.

– „Więcej poezji”, pamiętasz? Więcej przeklętej poezji... po co, do diabła, robiłam sobie ten tatuaż?

Louise nie może tak stać. Nie powinna rozmawiać z klientem (a zwłaszcza z klientką); facet, który klepał ją po tyłku, wygląda już na wkurzonego, a Hal zabawia się w kącie z inną kelnerką; mówili, że jeśli dobrze się spisze, może liczyć na następne fuchy, i choć stale ktoś ją obmacuje, napiwki są świetne, więc nie ma czasu na takie rzeczy – nie ma, do cholery – i gdyby tylko potrafiła to wytłumaczyć...

– Wal się – rzuca Lavinia. – Ja idę. A ty... jak chcesz. Mam to gdzieś. – Wypluwa wykałaczkę. – Na nikogo nie można liczyć.

Odwraca się i odchodzi.

Szczęście też zawsze się odwraca.

Pakujesz się, wyjeżdżasz; wsiadasz do wysłużonego chevy albo furgonetki przewozowej; nieważne. Czytasz poezję nad wodą albo palisz jointa na moście kolejowym; mówisz „Kocham cię” w High

Line albo w środku lasu w Devonshire.

Tak czy owak koniec jest taki sam.

Przychodzi dzień, że bierzesz klucze od kawalerki przy torach w Bushwick i myślisz: „Dziś, dziś wszystko się zmieni”. Sądzisz, że nigdy więcej nie zobaczysz Devonshire, jego centrów handlowych, torów kolejowych i przysadzistych nędznych domków niknących w oddali. Otwierasz szeroko drzwi, rozkładasz ramiona i z krótkimi ciemnymi włosami tańczysz w nowej pustej przestrzeni, zamknąwszy oczy. Uniósłszy powieki, widzisz Virgila Bryce’a; stoi przed tobą na swoich patykowatych nogach, z rękami założonymi na piersi, i mówi ci: „Nie ciesz się za bardzo, najdroższa, nie wiadomo, jak długo tu wytrzymasz”, i chociaż kłóciliście się po drodze, kłóciliście się podczas całej sześciogodzinnej jazdy, myślisz: „Nie, nie, tym razem będzie inaczej, tym razem mi się uda, tym razem wygram”.

Nawet gdy podchodzi do ciebie tak blisko. Wsuwa palce w twoje włosy.

Nawet gdy dodaje: „Po prostu nie chcę, żebyś się rozczarowała, kiedy świat nie dostrzeże tego, co ja widzę”.

Są takie dni, kiedy mu nie wierzysz, tak w głębi duszy. Są takie dni.

– Lavinio!

Louise dogania ją w drodze do zielonego pokoju.

Jest zdyszana. Pokryta potem innych. Drag queen nie zwraca na nie uwagi, przykleja sobie sztuczne rzęsy.

– Lavinio... proszę.

– Wracaj do pracy, Lulu. Nie chcę, żebyś ją straciła.

– To nie tak!

– Wszystko rozumiem. Wiesz co? Naprawdę rozumiem. Jestem uciążliwa. Trudno ze mną wytrzymać... – Przechodzi obok tancerki z kolczykami w sutkach. – Musisz być święta, Louise.

Jest już prawie za kulisami i Louise się obawia, że w końcu ktoś je zauważy albo zatrzyma, ale wszyscy są pijani, wykonawcy patrzą w lustro, a ochroniarze zajmują się awanturującymi.

– Rany boskie, Lulu, nie idź za mną!

Mijają sznurowe barierki, czerwone aksamitne kurtyny, reflektory i worki z piaskiem, wszędzie unosi się zapach szminki aktorskiej i dymu papierosowego.

– Boże... zostaw mnie w spokoju. – Lavinia przeciska się przez ciemnoczerwone drzwi.

Louise podąża za nią.

– Jezu... chcesz patrzeć, jak sikam?

Są w wyłożonej lustrami toalecie, między sceną a parkietem. Poza nimi nikogo tam nie ma. Pod ścianą stoi czerwony aksamitny szeszlony. Na suficie namalowano nagie damy w stylu art nouveau. Jest i nieodzowny żyrandol. Bez żyrandola ani rusz.

Louise zamyka drzwi na zasuwę.

– Możesz posłuchać mnie przez chwilę?

Z każdego lustra spogląda śmiejąca się Lavinia.

– Mogę – odpowiada. Podciąga spódnice. I sika przy Louise. – Słucham. Jesteś zadowolona? – Wybuchają śmiechem.

– Zadowolona, do cholery?

Podciera się i spuszcza wodę.

– No, mów.

– Proszę. – Louise bardzo się stara. – Możemy po prostu o tym porozmawiać?

– Wracaj do pracy, Lulu. – Lavinia podchodzi do lustra. Pociąga usta szminką. – Bóg wie, że potrzebujesz forsy.

Louise bierze głęboki oddech.

Jest bardzo spokojna.

– Przepraszam – mówi cicho, wyraźnie. – Tęsknię za tobą. Ostatnio jestem trochę dziwna, wiem i przepraszam.

– Chcesz podwyżki? – Lavinia obraca się na pięcie, a wraz z nią wszystkie inne Lavinie w lustrach. – Nadgodzin?

Uśmiecha się szeroko. Ma szminkę na zębach.

– Jedna karta ci nie wystarcza? Chcesz jeszcze drugiej? Boże, myślisz, że jestem aż taka głupia?

Louise serce podchodzi do gardła, żołądek się skręca i żaden narząd w jej ciele nie funkcjonuje jak trzeba. W głowie tłucze jej się jedna myśl: „To koniec, już po wszystkim”. Usiłuje się skupić na sprawach praktycznych („miejsce do spania, o Boże, miejsce do spania; tylko nie każ mi wracać do domu, tylko nie to, proszę”).

– Dałabym ci ją – ciągnie Lavinia. – Gdybyś poprosiła.

„Pójdę gdziekolwiek – myśli Louise. – Ale nie wrócę do domu”.

– Naprawdę jestem taka okropna... nawet nie możesz udawać, że mnie lubisz?

– Ależ ja cię lubię.

– Nienawidzisz mnie!

– Kocham cię.

– Tylko mnie nie okłamuj! – Lavinia podnosi głos. – Jakbym nie

wiedziała... jakbym nie była pewna, że budzę w tobie wstręt. Dobrze pamiętam... cholernie dobrze pamiętam, co było w operze! Boże, nie mogłaś się doczekać, żeby dać nogę... a przecież do niczego między nami nie doszło!

Louise nie może oddychać; myśli gorączkowo: „Załadodź to, zrób coś, powiedz coś, udobruchaj ją, uspokój, napraw wszystko”, i w końcu wypala:

– Zakochałam się w tobie.

Nie miała takiego zamiaru. Nie wie, czy mówi szczerze, czy nie.

Tylko to może sprawić, że Lavinia przestanie na nią krzyczeć.

– Co?

– Ja... wtedy w operze. Ja... bardzo cię lubię, rozumiesz? Spanikowałam, bo bardzo cię lubię. Przepraszam. Przepraszam... wiem, że jesteś hetero... wiem to.

„Boże, posłuchaj samą siebie – myśli Louise. – Nawet Lavinia nie może być taka głupia”.

Ona jednak się uśmiecha.

– Biedna Lulu – szepcze. Przytyka dłoń do jej policzka, tak wielkodusznie. „Boże, jest uszczęśliwiona”. – Biedna Lulu. – „Oczywiście, wszyscy umierają z miłości do Lavinii; jest taka piękna; inaczej być nie może”.

Śmieje się lekko.

– To nie twoja wina – mówi.

Wciąga powietrze.

– Chodź – podejmuje. – Jest tu piękne światło. Zrobimy sobie selfie.

Louise znowu może odetchnąć.

„Warto – myśli. – Na pewno warto”.

Zna tę desperację.

Już błąkała się ulicami Bushwick o trzeciej w nocy, zakrwawiona, ze swetrem, z kartą kredytową, prawem jazdy i powrotnym biletem autobusowym do New Hampshire w telefonie z prawie wyladowaną baterią. Wtedy się z tego wykaraskała.

Idź do całodobowej restauracji. Do klubu nocnego z przygaszonymi światłami. Do obskurnego baru. Przemij twarz w toalecie. Prześpij się z nieznanym facetem, żeby spędzić gdzieś noc, gdziekolwiek, byle nie w nocnym autobusie do New Hampshire.

Nie ma się czym chwalić, ale to działa.

Teraz też zadziała.

Lavinia maluje jej usta szminką. Ściera spod oczu rozmazany tusz do rzęs. Wygładza włosy.

– Daj mi swój telefon – nakazuje.

Przenosi świece z rezerwuaru na umywalkę, żeby światło było lepsze.

Przełącza aparat fotograficzny na selfie.

Wtedy do Louise przychodzi esemes od Rexa.

„Brak mi naszych spotkań w Met. Umówimy się znowu? Czy to dziwne, że za tobą tęsknię?”

Lavinia nawet nie wpada w gniew. To jest najgorsze.

– Wyprowadzasz się ode mnie – oznajmia. Wzrusza ramionami.

– Wyprowadzasz się... i to już.

– Lavinio, daj mi wytłumaczyć...

– Nie chcę tego słuchać. – Lavinia starannie, bardzo starannie chowa szminkę do torebki. – Cokolwiek to jest... nie chcę tego słuchać. Masz... weź klucze. Spakuj manele. Kiedy wrócę do domu, ma cię tam nie być.

– Nie mam dokąd pójść...

– Tyle forsy – komentuje Lavinia – i nie masz na pokój hotelowy? – Znowu wzrusza ramionami. – Zatrzymaj się u Rexa. Mam to gdzieś.

Rzuca klucze na podłogę.

Louise pochyla się, żeby je podnieść.

Lavinia tymczasem wyjmuje swój telefon.

– Co robisz? – Louise nie może już nawet myśleć: „Proszę, proszę”. Robi się bardzo cicho. Wszelki ruch w pomieszczeniu ustaje i jest w tym coś ostatecznego.

– Informuję wszystkich – wyjaśnia Lavinia. Opuszcza klapę sedesową i na niej siada. Pisze oboma palcami. – „Miałam... prze... zabawny... wieczór”. – Unosi głowę. Tylko na sekundę. – Kropka. „Odkryłam, że moja szurnięta współlokatorka podkrada mi pieniądze i pieprzy się z moim eks, a teraz próbuje mnie uwieść w toalecie klubu nocnego”.

– To nie było tak.

Lavinia pisze dalej:

– „Ta szurnięta zboczona współlokatorka podprowadziła mi kupę forsy z konta bankowego, romansując z moim byłym facetem i próbując mi wmówić, że się we mnie zakochała...” Jak się pisze „wyrachowana”... przez „ch” czy samo „h”... no, Louise, przecież jesteś korepetytorką, do cholery, powinnaś to wiedzieć!

– Nie rób tego – mówi Louise. – Proszę... proszę, pójdę sobie, tylko...

– Dobra. Mam autokorektę. „Moja wyrachowana psychiczna zboczona współlokatorka, której tak współczułam, wypłaciła sobie cztery tysiące dolarów z mojego konta bankowego, mieszkając za darmo w pokoju, który jej udostępniłam”. – Podnosi telefon. – No, Louise... uśmiechnij się do zdjęcia!

Louise wyrywa jej komórkę.

– Jezu Chryste, masz jakiś problem?!

Lavinia odzyskuje swój telefon.

Louise jest w stanie myśleć jedynie to: „Żeby tylko się nie dowiedzieli, żeby tylko się nie dowiedzieli”; nie ma pojęcia, kto miałby się nie dowiedzieć, bo przecież nie zależy jej na Beowulfie Marmoncie ani na Gavinie, na ojcu Romylosie ani Athenie, na Mimi ani na Halu, nawet ich nie lubi, ale w tej chwili się nad tym nie zastanawia. Myśli tylko, że nikt nie może się dowiedzieć, co zrobiła, więc szarpie mocniej, o wiele mocniej, niż zamierza, i obie z Lavinia, wyrywając sobie telefon, przewracają się na podłogę, a co najgłupsze, najgłupsze ze wszystkiego, telefon leci pod umywalkę, i kiedy Lavinia drapie Louise po ramionach, a ta ciągnie ją za włosy, przypiera do lustrzanych ścian i uderza jej głową o umywalkę po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci, telefonu tam nie ma.

Oto jak umiera Lavinia.

Podnosi dłoń do czoła. Patrzy na swoje przedramię, na wytatuowane „Więcej poezji!!!” z kropelkami krwi.

Spogląda na Louise.

I upada wraz z pozostałymi Laviniami: osuwa się po lustrze, tuż przy Louise, na podłogę.

I w ten sposób, właśnie w ten sposób Louise wszystko schrzania.

Louise nigdy się nie myli.

Wiedziała od lat, że pewnych ludzi można oszukiwać przez cały czas, wszystkich przez pewien czas, nie da się jednak oszukiwać nikogo w nieskończoność, choćby było się w tym nie wiadomo jak dobrym i jak bardzo by się starało. Jeśli jest się szurniętą psychopatyczną lesbą, która kradnie najlepszej przyjaciółce nie tylko pieniądze, ale jeszcze byłego faceta, to choćby się było nie wiadomo jak szczupłą, atrakcyjną ani jak dobry kawałek napisałoby się dla „Fiddlera”, prawda jest taka, że prędzej czy później dowie się o tym każdy.

Tak czy owak to już koniec.

Lavinia nie żyje.

Dudnią basy. Ludzie wrzaskiem wyrażają aplauz. Ktoś dobija się do drzwi toalety.

Dzwoni telefon Lavinii.

Louise nie wolno krzyczeć, niezależnie od tego, co by się działo.

Zasłania dłonią usta.

W klubie, za tymi drzwiami, jest ze trzysta osób.

Usiłuje oddychać miarowo, spokojnie, tak jak kiedyś to ćwiczyła podczas terapii; to podobno pozwala spojrzeć na sprawy

z odpowiedniej perspektywy.

Nie pomaga.

Telefon Lavinii dzwoni i dzwoni.

Ktoś znowu dobija się do drzwi.

Na telefonie Lavinii widnieje twarz Mimi.

„Oddychaj – nakazuje sobie Louise. – Po prostu oddychaj”.

Połączenie zostaje przekierowane na pocztę głosową.

Mimi śle kolejne esemesy.

„Gdzie jesteś???”

„Obudziłam się, a ciebie nie ma”. Emotikon przedstawiający smutnego kociaka. Płaczącego liska. Pochlipującego jelonka.

„Jesteś tu jeszcze?”

Louise oddycha.

Zmywa krew z płytek podłogowych. Wyciera ją z czoła Lavinii. Robi to papierowym ręcznikiem i bardzo drogim mydłem w płynie, o zapachu bazylii. Ukrywa ręcznik na dnie kubła na śmieci.

Rozpuszczone długie włosy przerzuca Lavinii na ramiona, tak by przesłaniały twarz. Zdejmuje jej zakrwawiony naszyjnik, wielki i błyszczący, a następnie upina go na włosach: medalion jak korona spoczywa na czole Lavinii i nie widać krwi.

Walenie do drzwi staje się coraz bardziej natarczywe.

– Ty cipo! – woła ktoś. – Ty pieprzona cipo!

Louise nie może zrobić nic więcej.

Otwiera drzwi.

W kolejce do toalety stoi ze dwadzieścia osób.

„To musi się kiedyś skończyć” – myśli.

Lavinia stoi oparta o Louise.

Nieżywa, z otwartym oczami, tkwi w jej ramionach – spogląda na nie obie chuda dziewczyna o zniszczonych jasnych włosach, w sukience z lat osiemdziesiątych.

Ogarnia je wzrokiem.

Pada na podłogę.

I wymiotuje do muszli klozetowej.

Wokół niej tłoczą się ludzie – jeszcze chudsza przyjaciółka, która odgarnia jej włosy, jakiś facet, wrzeszczący: „Chryste Panie, muszę się odlać!”; potem dziewczyna, która odgarnia włosy tamtej, pijana, zaczyna szarpać się z facetem, także pijanym, który musi się odlać, ten w pewnym momencie rozpina rozporek, wyciąga fiuta i zaczyna sikać na ścianę, a ponieważ wszyscy na niego patrzą, nikt nie zauważa, że Louise ciągnie Lavinie, jakby ta nie mogła ustać na nogach, jakby tylko trzeba było przytrzymać jej włosy, z powrotem ku wilgotnym wąskim korytarzom prowadzącym na scenę.

I wciąż jest to tylko kwestia czasu, może, może Lavinia żyje, tylko jest nieprzytomna (Louise wprawdzie naoglądała się *Prawa i porządku*, ale nie bardzo wie, ile wysiłku wymaga zabicie kogoś, bo morderstwo nie wydaje się czymś realnym, co zdarza się w prawdziwym świecie), a że jest głośno, tłoczno i ciemno, po prostu wlecze Lavinie pod ścianami (lepkimi i powodującymi tarcie), zasłania ją sobą, podtrzymuje, jakby były parą, jakby szły

gdzieś w ustronne miejsce, w jakiś kąt, żeby się poobściskować, żeby Lavinia znowu mogła zrobić jej palcówkę, a ona sama całować ją po szyi.

– Z drogi! – woła ktoś.

Louise nawet nie wie, czy to ma być do niej, bo kątem oka widzi faceta, któremu inny robi laskę.

W kącie korytarza spoczywa kula akrobatki. Używały jej także połykaczki ognia i wciąż zalatuje benzyną. Louise kładzie tam Lavinie, pod szkieletem tej kuli symbolizującej glob, pod reflektorami, pod sztucznymi klejnotami ozdobnego żyrandola, które migocą za każdym razem, kiedy wewnątrz rozjaśnia się stroboskopowym światłem.

Dotyka jej twarzy. Całuje ją. Obmacuje gardło, szyję i pierś, nie wyczuwa pulsu ani bicia serca, ale to wciąż wydaje się jej nierzeczywiste, bo przecież ludzie tak po prostu nie umierają, bo nie jest morderczynią ani nikim złym, a zabicie kogoś to przecież najgorsze, co można zrobić, poza tym jest jakiś Bóg, który gdy dzieje się coś takiego, miota błyskawice, więc gdyby Lavinia straciła życie, dokonałby się jakiś sąd i Louise zamieniłaby się w popiół.

Tymczasem facet tarzający się w kremie przygotowuje się do występu na bis.

Tym razem robi balonowe zwierzątka, tyle że nie z balonów.

Lavinia pod tą kulą jest taka piękna.

Louise pochyla się nad nią. Próbuje ułożyć jej włosy, znowu,

żeby nie było widać krwi, i myśli, że Lavinia byłaby zachwycona, bo wygląda teraz jak Ofelia, zupełnie jak ona, a wtedy zbiera jej się na mdłości, bo jaki psychol usprawiedliwia zabicie kogoś tym, że ten zawsze chciał być Ofelią, chociaż trochę, a przynajmniej panią z Shalott.

Potem podnosi się ogólny wrzask, rozbłyskują światła i jakiś facet, którego nigdy wcześniej nie widziała, woła jej prosto w twarz: „Fala!”, chuda dziewczyna (jedna z nich) zaczyna krzyczeć, jakby pierwszy raz w życiu słyszała o surfowaniu w tłumie, i wszyscy spoglądają na nie, prosto na nie, na dwie atrakcyjne blondynki, jedną martwą i drugą żywą, już nie tak piękną, która wciąż oddycha, a pozostali ryczą, ryczą, jakby byli bogami, i zaczynają toczyć kulę z nimi dwiema w środku. Świat się kręci i Louise ma wrażenie, że zaraz się pochoruje – już jest chora, i myśli: „Zaraz, zaraz się zorientują”, ale nie, nikt niczego nie zauważa, bo pulsują światła i grzmi muzyka. Tłum przenosi je w kuli nad fosą orkiestrową, przecina z nimi główny hol, a wtedy z sufitu sypie się brokatowe konfetti, wybucha jak w grande finale i opada gęstszą warstwą niż płatki śniegu podczas jakiegokolwiek śnieżycy, której Louise była świadkiem, i oblepia i ją, i Lavinie; przykleja się do spoconego ciała i tego czegoś, co sprawia, że po śmierci stajesz się trochę wilgotny, więc obie są tak pokryte srebrem, że nie widać żadnej krwi, nie widać (jak to możliwe, że nikt niczego nie dostrzega?), że jedna z dziewczyn nie żyje, ma otwarte, pocięte przez konfetti oczy.

Louise rzyga.

Na ten widok wszyscy wiwatują.

Kiedy kula jest toczona za kulisy, Louise zauważa Hala. Siedzi w towarzystwie tancerki o przekłutych sutkach.

Patrząc na nie, wznosi kieliszek.

Są już w cieniu.

Louise rozpaczliwie odpycha się od ściany.

I znajduje wyjście dla personelu.

Wlecze Lavinie korytarzem, również dla personelu. Cuchnie tam zepsutą rybą, słodkim winem i tłuszczem do smażenia.

Lavinia nie jest tu jedyną bezwładną dziewczyną.

Louise wciąga ją na zdezelowany drewniany wózek. Spycha z drogi skrzynki. Stara się omijać szczury.

Kaleczy się o jedną ze śrub, na których trzymają się koła. Spogląda w dół, żeby zobaczyć, czy krwawi, ale łydki ma pobrudzone krwią Lavinii, więc nie może się zorientować.

Mimi zawzięcie śle esemesy.

„Gdzie się podziewasz? Ja jestem na górze. A Ty?”

Louise myśli: „Stałam się kimś innym”.

„To nie dzieje się naprawdę” – myśli.

Wyją syreny, ale wozy policyjne jadą nie po nią.

Podjmuje decyzję.

Bierze telefon Lavinii. Dzwoni po ubera.

Zarzuca sobie na szyję jej rękę.

– Chodź! – mówi głośno, żeby słyszeli wszyscy na ulicy. – No

chodź, kotku! Musimy odstawić cię do domu.

Wręcz szczebiocze.

Ot, kolejna przepracowana kelnerka, która odprowadza do taksówki pijaną koleżankę.

Obie są obsypane konfetti. I zarzygane.

To jeden z tych wieczorów w mieście.

Piątkowa noc, wszyscy się drą i jakkolwiek jest późno, wydaje się, że świt nie nadejdzie; i choć to dziwne, przynosi ulgę, bo oznacza, że nie jest się samym.

Możesz przejść obok kolejnych klubów nocnych z zakrwawioną twarzą i nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

Możesz przejść ulicami miasta, przez Lower East Side, przez Bushwick, z zakrwawioną twarzą, mając przy sobie tylko prawo jazdy, kartę kredytową i telefon z prawie wyczerpaną baterią, z palcami obtłuczonymi po tym, jak walnął faceta (a nie jesteś typem dziewczyny, która by straciła panowanie nad sobą i kogoś uderzyła), i nikt nie zwróci na ciebie uwagi ani się tobą nie zainteresuje.

Już kiedyś to zrobiła. Wtedy też wydawało jej się to nierzeczywiste.

Czeka na ubera w uliczce przed klubem.

Wokół jest mnóstwo ludzi.

Mnóstwo ludzi, którzy upili się na smutno, więc Louise osuwa się na kolana i przyciska Lavinię do siebie, przyciska mocno, i mamrocze w jej sztywniejącą szyję: „Wiem, kochanie, wiem, przykro mi, przykro mi, Kocham cię”, i nie wie nawet, czy nie mówi

szczerze.

Kolejny esemes od Mimi.

Z emotikonem przedstawiającym węszącego liska.

„Jestem sama samiutka.

Wyszłaś z Louise?

Wszystko w porządku???!!!”

Louise nie chciała skrzywdzić Lavinii, gdy ją krzywdziła. (Chciała).

Nie chciała skrzywdzić Virgila Bryce’a. (Nie jest z tych dziewczyn).

Tylko że gdy przez rok w malutkim mieszkaniu przy torach kolejowych w Bushwick wciąż odbywasz taką samą rozmowę i mężczyzna, którego kochasz, mówi kolejny raz: „Kocham cię”, ale też: „To dla ciebie błogosławieństwo i łaska boska, bo znam cię lepiej niż ty sama siebie, a mimo to chcę być z tobą”, i całując cię, dodaje, że byłabyś bardziej pociągająca, gdybyś trochę schudła, a pieprząc się z tobą, stwierdza, że byłoby lepiej, gdybyście oboje przenieśli się gdzieś w spokojniejsze, cichsze miejsce, gdzie mogłoby ci się „udać”, w każdym razie miałybyś większe szanse, ponieważ inaczej będziesz rozczarowana – to zamiast kiwać głową, wzdychać, mówić: „Masz rację, masz rację”, walisz go tak mocno, że leci do tyłu – tak jak na filmach mężczyźni uderzają kobiety, tak jak nie powinni uderzać kobiet w życiu.

(Robiąc to wtedy, wiesz, że nie mylił się co do ciebie).

I dostrzegasz to, co on widział od początku: że jesteś stukniętą suką, i zdajesz sobie sprawę, że to jedyny sposób, w jaki możesz odejść.

Jesteś stukniętą suką. Zawsze byłaś.

– Miałem rację co do ciebie – mówi on z fałszywą skromnością, wręcz jakby był zadowolony, że może tak powiedzieć, i ociera krew z policzka. – Jesteś psychiczna, Louise.

Potem chwyta ją za kark, jak psa, i wyrzuca za drzwi. Ma rację i to jest ostatnia rzecz, jaką jej mówi.

Wcale nie tak trudno wciągnąć Lavinie do ubera. (Dzięki Bogu, Bogu dzięki, że jest taka szczupła). Jedyne raz Louise nie ma jej za złe tej szczupłości.

– Czy z pani przyjaciółką wszystko dobrze?

– Widzi dobre duszki – wyjaśnia Louise. Przyciąga do siebie Lavinie, która wciąż patrzy w przestrzeń otwartymi oczami. Louise ma krew na spódnicy, ma ją także na nogach (dzięki Bogu, Bogu dzięki, że jest ubrana na czarno).

– Co?

– Nic, nic.

– Ona strasznie śmierdzi.

– Wiem.

– To będzie kosztowało sto dolarów, jeśli znowu się porzyga.

– Bez obaw.

W miejscu, gdzie Lavinii zsunęła się sukienka, widać sutek. Kierowca gapi się na niego w lustrze.

A niech się gapi.

Jest taki dowcip, który Louise zawsze się podobał, o dwóch mężczyznach, którzy napotykają w lesie niedźwiedzia. Nie musisz być szybszy od miśka. Wystarczy, że będziesz szybszy od tego

drugiego gościa.

Teraz jej się to przypomina.

Następną część też już robiła.

Wyciąga Lavinie z ubera. Wlecze ją po schodach. Wsadza do wanny. Odkręca wodę.

Myje te jej długie, potargane wspaniałe złote włosy.

Zmywa z nich krew.

„Mam jechać do domu?”

Dwudziesty esemes od Mimi.

„Rany, jestem tak zalana, że prawie nie widzę na oczy”.

A Louise myśli: „To nie może się dziać naprawdę”.

Nic nie jest rzeczywiste.

Lavinia wciąż ma otwarte oczy.

To nie może, nie może dziać się naprawdę.

Telefon Lavinii nie przestaje dzwonić.

Z tym też Louise się upora.

„Potrzebuję tylko czasu – myśli. – Potrzebuję jeszcze tylko trochę czasu”.

– Kochanie! – Kiedy chce, świetnie potrafi naśladować Lavinie. Dobrze zna jej głos. – Kochanie... Mimi... tak cię przepraszam!

– Gdzie się podziewasz?

– Jesteś nadal w klubie?

– Hal mówił, że wyszłaś. Powiedziała, że się pochorowałaś.

– Troszkę, kochanie. Potrzebowałam chwili wytchnienia, to wszystko.

– Gdzie mogę cię znaleźć?

Louise myśli; „Szlag, szlag, szlag”.

I jeszcze: „Niech świat się zatrzyma, na jedną chwilę, żebym zdążyła wymyślić coś sensownego”.

– Jestem zalana w trupa! – jęczy Mimi. – Wzrok mi się mąci. Chodź, zabawmy się jeszcze!

Louise ciągnie nieprzytomną Lavinę przez parkiet.

To nie może być ostatnia rzecz, jaką widzi Hal. To nie może być ostatnia rzecz, jaką widzi ktokolwiek.

Musi utrzymać Lavinę przy życiu jeszcze parę godzin.

– Spotkajmy się w Bulgarian Bar – proponuje Lavinia, która zawsze, zawsze jest gotowa do kolejnej eskapady. – Jestem w uberze. Już tam jadę, przysięgam, już jadę.

– Będiesz na miejscu?

– Tak, oczywiście, że będę.

– A Louise też przyjedzie?

Żałosne, niechętne prychnięcie.

– O Boże, tylko nie to – odpowiada Lavinia. – Prawdę mówiąc, mam jej już trochę dosyć.

Rozebrać Lavinę nie jest wcale tak trudno, jak myślicie. Nie tak trudno przeprać jej sukienkę, włożyć ją na siebie, zasłaniając plecy etolą z lisa. Lavinia jest sztywna, ale stawia niewielki opór.

Z włosami idzie trudniej – można je tylko zaczesać do tyłu, a potem unieść, jakby Lavinia próbowała je upiąć, ale jej się nie udało (nigdy starannie nie upina włosów).

Potem jeszcze tylko pomalować usta szminką Lavinii.

Spryskać się jej perfumami.

Louise zaciąga zasłonkę od prysznicza.

W taksówce Lavinia wstawia do internetu ich wspólne zdjęcie. „Najlepsze przyjaciółki” – głosi podpis.

W ciągu czterech minut fotka dostaje piętnaście lajków.

Lavinia podaje kierowcy ubera swoje imię. Swobodnie gawędzi z nim o sztuce i życiu, o tym, że jeśli się bardzo chce, można stać się dziełem sztuki. Wykreować samego siebie.

– Moim zdaniem ludzie nie zdają sobie sprawy, jakie mają możliwości – mówi, gdy zajeżdżają na róg Rivington i Essex. Mimo że normalnie nie robi się tego w uberze, daje napiwek w gotówce, żeby facet ją zapamiętał, i to dobrze.

Lavinia umieszcza na Facebooku kolejne zdjęcie: Rivington Street nocą, rozgwieżdżone niebo, światła. „Zapomnij o tym, Jake” – podpisuje; to z *Chinatown*. Tak naprawdę Rivington Street jest w Lower East Side, ale Lavinii by to nie powstrzymało, bo uważa, że sztuka jest czymś szlachetniejszym i ważniejszym od prawdy. Melduje się w Bulgarian Bar.

Mimi wysyła jej mnóstwo emotikonów: z liskami. Tygryskami. Niedźwiadkami.

„Czekam na ciebie – odpisuje Lavinia. – Musisz wejść do klatki

z lodem”.

W Bulgarian Bar zasady są takie:

Jeśli się rozbierzesz, dostajesz darmowego drinka. Jeśli odwalisz numerek na barze, dostajesz darmową butelkę. Za trzydzieści dolców możesz wejść do radzieckiej klatki z lodem, włożyć autentyczny mundur wojskowy ZSRR i futrzaną czapkę uszatkę, które ci dadzą; potem barman bierze od ciebie telefon i robi ci zdjęcia przez szkło, gdy pijesz tyle wódki, ile zdążysz, zanim stopi się lodowy kieliszek.

Mimi jest już w klatce z lodem. Rozebrała się do majtek i ma na sobie kurtkę od radzieckiego munduru. I czapkę uszatkę.

Stoi oparta o szybę, a jakiś mężczyzna, którego Louise nigdy wcześniej nie widziała i nigdy później nie zobaczy, całuje ją po karku, wsuwając palce pod jej trójkątne figi.

Lavinia kładzie swoją kartę kredytową na barze.

Zamawia wszystkie drinki, jakie piją zalane dziewczyny.

Cyka zdjęcie Mimi. Wstawia je do internetu. I taguje. Beowulf lajkuje fotkę.

Lavinia chwytą wytaczającą się z klatki Mimi.

– Kochanie!

– Lavinia?

Stojąc z tyłu, szepcze dziewczynie do ucha, omiata włosami jej ramię, spowija ją zapachem swoich perfum.

– Przepraszam, że kazałam ci czekać.

– Gdziebyłaśbardzomiciębrakowało. – Mimi nie może nawet

ustać na nogach.

– Stawiam ci drinka. – Wciska jej w ręce szklanę. – Do dna!

Mimi przytyka dłoń do ust, jakby zaraz miała z wymiotować.

– Taksiebałam Lavinio.

Wokół jest tylu ludzi. Panuje mrok. Wszyscy tańczą.

– Bałam się że się nam niewściekłaś.

– Jak mogłabym się na ciebie wściec – odpowiada Lavinia. –
Przecież cię kocham!

– Stęskniłam się za tobą – mamrocze Mimi. Ma rozbiegany wzrok. Lavinia jakoś umyka jej z pola widzenia. – Nie masz pojęcia jak bardzo.

– Selfie! – rzuca Lavinia.

Więc robią sobie zdjęcie.

Lavinia się pochyla, cmoka Mimi w policzek, twarz zasłaniają jej uszy futrzanej czapki.

Tę fotkę Lavinia też wstawia do sieci.

– Zabawimy się tej nocy, co?

– Jak nigdy – kwituje Lavinia.

Prowadzi Mimi w tłum.

Zostawia ją w ramionach faceta, który wcześniej wsadzał jej rękę w majtki.

Czwarta nad ranem. Lavinia jeszcze żyje.

Co do rana jej się przydarzy, to już nie problem Louise.

Dopóki sama będzie miała alibi.

Gdy się kogoś zabije – myśli – to logiczny następny krok. Tak przynajmniej jej się wydaje.

Wysłała Mimi esemesa ze swojego telefonu:

„Gdzie mogę Cię znaleźć? Czy jest z Tobą Lavinia? Potrzebuję kluczy od mieszkania”.

Mimi nie odpisuje. Pewnie jest już w łóżku z tamtym nieznanym. A rano, kiedy się obudzi, za nic nie przyzna – nawet sama przed sobą – że noc, którą spędziła z Lavinia Williams, nie była wcale jedną z tych fantastycznych, epickich, niezapomnianych nocy i że nie bawiły się razem aż do świtu.

O czwartej nad ranem Louise dzwoni do Rexa.

– Przepraszam – mówi. – Bardzo cię przepraszam. Ale nie wiedziałam, do kogo innego mogłabym zadzwonić.

– Wszystko w porządku?

Sprawia wrażenie całkiem przytomnego, mimo że jest czwarta nad ranem.

– Po prostu... nie mam kluczy od mieszkania.

– Jak to?

– Lavinia... wyszła z Mimi po tej burleskowej scenie, którą... nieważne.

– Wzięła twoje klucze?

– Jest tylko jeden komplet – wyjaśnia Louise. – I ona go ma. Ale nie odbiera telefonu.

– Nie poszłaś z nią?

– Nie zaproponowała mi.

Słyszy, że Rex po drugiej stronie wciąga powietrze.

– Pójdźmy na kawę – proponuje.

Lavinia wchodzi do łazienki w całonocnej restauracji. Wychodzi

stamtąd Louise.

Związuje włosy w kucyk. Jest w minispódniczce, bardzo podobnej do tej beznadziejnej, którą kazali jej włożyć w klubie (nie ma sensu myśleć teraz o tej pracy, ją też straciła); na top, tandetny, z cekinami, w którym czuje się jak Athena Maidenhead, narzuciła sweter, bo musi udawać, że w międzyczasie nie była w domu.

Sukienkę Lavinii starannie pakuje do plastikowej torby, na wypadek gdyby jeszcze jej potrzebowała.

Louise czasami zaskakuje nawet samą siebie.

Spotyka się z Rexem niedaleko jego mieszkania, w East Village. Idą do knajpki, która przez okrągły tydzień całodobowo serwuje pierogi; nazywa się Veselka i jest ozdobiona muralami przedstawiającym sceny rodzajowe z dawnego Nowego Jorku. Siadają przy oknie, pod halogenowym reflektorem, i patrzą, jak z minuty na minutę ustępuje noc.

Rex ma podkrążone oczy. Jest w marynarce.

– Nie musiałeś się dla mnie stroić – mówi Louise.

Siedzą w milczeniu przez dziesięć minut, jedzą tłuste pierogi, piją gorzką kawę i patrzą na siebie.

– Wcale się nie wystroiłem – odpowiada Rex. – To znaczy... nie miałem takiego zamiaru. – Chodzi mi o to, że... – Pociąga łyk kawy.

Wzdycha. Louise nic nie mówi.

– Posłuchaj – zaczyna Rex. – Ona na pewno niedługo wróci do domu. Czy to zdarzało się już wcześniej?

– Czasami. – Louise unosi głowę i spogląda mu w oczy. – Ale

nigdy nie balowała tak długo. – Przełyka ślinę. Musi być ostrożna.
– Czy... nie sądzisz, że coś jej się stało?

Może Lavinia zostanie napadnięta w ciemnej uliczce. Może, wracając do domu, potknie się w parku i upadnie. Louise w tej chwili nie jest w stanie o tym myśleć.

Skupia się na tym, żeby nie krzyczeć.

– Czy Mimi się odezwała?

Louise wzrusza ramionami.

– Jeszcze nie.

– Nie masz kluczy – mówi Rex. Brzmi to tak, jakby bardzo jej współczuł.

– Chodzi o jakieś zasady wprowadzone przez zarząd spółdzielni.

– Jasne – rzuca Rex.

– Przepraszam... tak mi przykro... niepotrzebnie cię obudziłam. To nie twój problem. Tylko... nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.

– Dobrze, że zadzwoniłaś – odpowiada Rex. – Lubię z tobą rozmawiać.

– Jeśli ona się dowie...

– To będziemy martwi – kończy za nią i Louise o mało się nie wzdryga.

Na zewnątrz już świta, różowe światło wypiera cienie z restauracji.

– To przeze mnie masz kłopoty – zauważa Rex.

– Nie – zaprzecza Louise. – Wcale nie... Sama jestem sobie wina. Naprawdę.

– Wiem, że źle postępuję – ciągnie Rex. – Jestem tego świadom.

– Wzdycha. – Ona jest taka dobra... w głębi duszy. Prawda?

Louise nie ma pewności, już nie.

– Pewnie tak.

– Tylko jest... taka...

– Intensywna?

– Właśnie – zgadza się Rex. – Trochę... intensywna. – Znowu wzdycha. – To nie w porządku z jej strony... że tyle od ciebie oczekuje.

– Uhm.

„Jeszcze tylko parę godzin. Do rana. Dasz radę”.

Do rana znajdzie sposób, żeby uśmiercić Lavinie.

– Jesteś inteligentna, dowcipna i taka miła – ciągnie Rex.

– Przestań – mówi cicho Louise.

– Dobra z ciebie przyjaciółka... naprawdę... więc... przykro mi, ale nie powinnaś siedzieć tu o piątej nad ranem... naprawdę mi przykro.

– Przestań – powtarza – proszę, przestań.

Ale on jej nie słucha.

– Zaslugujesz na coś lepszego. – Bierze ją za rękę.

Tyle że Louise wcale nie zasługuje.

Obiecała sobie, że nie będzie płakać. Tak jej dobrze szło z tym nieplakaniem. Nie płakała, kiedy podnosiła ciało Lavinii z posadzki, wywlekała je z klubu, wciągała do ubera, a potem do wanny, ani gdy wstawiała zdjęcie ich obu do internetu, więc nie wie, dlaczego płacze teraz, jednak Rex patrzy na nią tak życzliwie, ze zrozumieniem. Ona zaś myśli tylko o tym, że wszystkie najgorsze rzeczy, jakie widzieli w niej inni, są prawdziwe, zawsze

były, i że nie ma takiego świata, w którym nie zrobiłaby czegoś równie podłego.

– Tak mi przykro – powtarza Rex, jakby miał z tym coś wspólnego, i patrzy na nią, jak nikt już nigdy więcej nie powinien na nią patrzeć; jeśli dalej będzie tak patrzył, ona nie wytrzyma i powie mu prawdę. – Boże, tak mi przykro, to przeze mnie...

– Nic takiego się nie stało.

Rzuca na stół dwadzieścia dolarów.

– Muszę już iść.

Ta noc może się skończyć tylko tak: Louise się przyzna.

Rex spogląda na nią – nie mrużąc tych swoich dużych, pełnych wiary oczu – i Louise myśli: „W idealnym świecie ludzie postępowałiby jak należy”, i choć to nie jest idealny świat, uznaje, że powinna coś zrobić, aby taki był, więc postanawia, że pójdzie na policję i wyzna prawdę.

Przez moment, o świecie, jest pewna, że tak się zachowa.

Rex dogania ją na Drugiej Alei.

– Louise, poczekaj!

Jest zdyszany. Zostawił w restauracji marynarke.

Louise zatrzymuje taksówkę – gorączkowo zastanawiając się, dokąd należy pójść, gdy się kogoś zabiło: do jakiejś kwatery głównej policji czy na miejscowy posterunek, który się wygooglowało? A może po prostu trzeba podejść do pierwszego napotkanego policjanta i powiedzieć: „W mojej łazience jest martwa dziewczyna, co mam zrobić?”.

Rex tak szybko przebiega przez chodnik, że omal nie zostaje

potrącony przez rowerzystę.

– Czego ode mnie chcesz? – pyta go Louise, a wtedy on ją całuje.

Rex całuje nie ją.

Całuje dziewczynę o delikatnych jasnych włosach i łagodnych oczach, równie dobrą jak on. Nieśmiałą, bystrą i dowcipną, która strasznie cierpi i chce dobrze. Całuje dziewczynę, która się nie skarży, kiedy przez swoją przyjaciółkę nie może o czwartej nad ranem dostać się do mieszkania, i chodzi do Met, gdy czuje się samotna. Całuje dziewczynę, która nikogo nie zabiła.

A ona tak czy owak odwzajemnia ten pocałunek.

Jadą taksówką do Rexa, choć to nawet nie dziesięć przecznic dalej, ale oboje nie mogą utrzymać rąk przy sobie. Louise wydaje na ten kurs całą gotówkę, jaką ma w portfelu, i zostawia kierowcy śmiesznie duży napiwek, ponieważ to pieniądze Lavinii i teraz czuje do nich wstręt.

Rzucają się na siebie. Jedno pożera drugie. Szalik Rexa zaplątuje się w lepkie, żalodne cekiny na bluzce Louise, która nie zdaje sobie sprawy, że płacze, dopóki po twarzy nie spływają jej łzy. On całuje ją mimo to, szepcząc:

– To nie twoja wina, to nie twoja wina, przepraszam.

Całują się przed jego domem, potem w środku, na korytarzu, na schodach i na każdym podeście, a jest ich sporo, bo to budynek bez windy, Rex zaś mieszka na piątym piętrze, później jeszcze przed drzwiami i choć Louise tej nocy nie piła, czuje się jak pijana. A może pijana jest Lavinia – Lavinia, która wciąż żyje, bawi się z Mimi jak nigdy w życiu, Lavinia, którą Mimi właśnie oznaczyła

w kolejnym niezbornym poście z mnóstwem błędów ortograficznych, bredząc o Baudelairze, winie i cnocie, Lavinia, która przed nadejściem ranka zostanie napadnięta, Lavinia, która umrze – bo może wciąż są ze sobą związane przez tamtą jedną noc nad oceanem i dlatego Louise czuje wszystko, co tamta czuje, i także jest pijana, a może to dlatego, że ktoś jest dla niej dobry, czuły, całuje ją i szepcze jej imię do ucha, jej własne, mówiąc, jaka jest szlachetna.

– To wszystko przeze mnie – powtarza cicho Rex – to wszystko przeze mnie, wiem, przepraszam, proszę, powstrzymaj mnie.

Ale przywierają do siebie jeszcze mocniej, on zdejmuje z niej cekinowy top, tę śmieszłą minispódniczkę, która ledwie zakrywa tyłek, i wreszcie stanik (jeden ze staników Lavinii, jak Louise uświadamia sobie poniewczasie, ale Rex jakby tego nie zauważa). Potem przesuwa dłońmi po jej ciele i patrzy na nią, patrzy naprawdę i mówi:

– Boże, jesteś taka piękna. – Jakby naprawdę tak sądził. – Powiedz mi, żebym przestał – powtarza.

Louise nie słucha. Nawet wtedy, gdy on całuje ją po karku; gdy kładzie się na niej; gdy ją pyta, czy ma prezerwatywę, a ona odpowiada: „Nie przejmuj się”, bo w tej chwili to ryzyko nie ma znaczenia.

Oplata go nogami i ramionami, on jest na niej, wokół niej i w niej samej. Tyle że Louise myśli tylko o jednym: o tamtym dniu w styczniu, kiedy Lavinia zdecydowała, że na razie koniec z tymi nocami poza domem, pozamykała wszystkie drzwi na klucz,

wyłączyła wszystkie światła i zapaliła wszystkie świece, jakie miała. Nastawiła *Marzenie senne* Liszta, którego Louise nigdy wcześniej nie słyszała, i w blasku świec wyjaśniła, że ten utwór opowiada o miłości na śmierć i życie, że *der Stunde kommt, der Stunde kommt*, kiedy się umiera. I choć może Lavinia słucha go tylko z powodu Rexa, Louise myśli: „Tak, ta część to akurat była prawda”, i nie wie teraz, odwzajemniając jego pocałunki, czy cokolwiek będzie jeszcze kiedyś rzeczywiste. Nie wie, czy jest przerażona, przerażająca czy triumfuje, czy kocha, czy tylko chce przeżyć. Wie jedynie, że świat się skończył, ale wciąż się kręci.

W tej jednak chwili musi też wiedzieć, że Rex jest w niej, a ona potrzebuje, żeby został; więc przyciska się do niego mocno, z całej siły, nadal oddychając, bo jeśli go puści, jeśli przestanie się go trzymać choć na jedną sekundę, Lavinia wciągnie ją do morza.

Louise budzi się szczęśliwa.

Jest tym zaskoczona.

Nie pamięta, kiedy ostatni raz tak się obudziła: w czyichś ramionach, z kimś, kto się do niej przytula, gładzi ją po włosach czy muska czubkami palców jej ręce. Nie ma nawet pewności, czy kiedykolwiek coś takiego jej się zdarzyło.

Nie z kimś, kto by całował ją po karku. Kto by przytykał usta do jej ramienia. Nie w takim świetle wpadającym przez okna.

Przenikającym przez okiennice. Rzucającym koronkowy cień na ścianę.

Nie może się temu nadziwić; chociaż widziała w życiu tysiące takich cieni, tylko do tego jednego zbliża dłoń, bo jest jeszcze na tyle zaspana, aby sądzić, że uda jej się go złapać.

– Dzień dobry, piękna – mówi on.

Louise nie może się nadziwić, że spędził z nią noc – całą noc – zupełnie nie podejrzewając, z kim ma do czynienia.

– Zdradzić ci pewien sekret?

Całuje ją teraz po ramionach, szybko, tak że powoduje to łaskotki i Louise mimowolnie chichocze.

– Jaki?

– Nie chce mi się wstać z łóżka. – Rex mruga bez okularów. –

Tylko nie mów nikomu.

– Nie powiem – odpowiada szeptem Louise.

Dzwoni telefon.

Wtedy jej się przypomina.

– Cholera... cholera jasna!

– Co się stało?

Rex odgarnia jej włosy z twarzy. Okazuje tyle czułości.

To komórka Lavinii. W całym mieszkaniu Rexa rozbrzmiewa preludium z *Tristana i Izoldy* Wagnera.

Louise się obawia, że Rex je rozpozna, ale on tylko sięga do jej torebki i wyjmuje dzwoniący telefon.

To znowu Mimi. Siedem nieodebranych połączeń.

Louise przełącza ją na pocztę głosową.

– Coś się stało?

Lavinia dostała pięćdziesiąt sześć powiadomień z Facebooka.

– Nic. – Louise wyłącza komórkę. Właśnie kogoś zabiła. –

W porządku. Wszystko w porządku.

– Czy to była...

– Nie. – Głęboko zaczerpuje powietrza. – To tylko Mimi.

– A ona sama... odzywała się?

– Nie.

Teraz on bierze głęboki oddech.

– Na pewno nic jej się nie stało – mówi. – Prawdopodobnie jest u Mimi. Albo... no wiesz... tańczy na stole. Albo wyjechała do Paryża. Z nią nigdy nie wiadomo.

– Nie wiadomo – potwierdza Louise.

Rex wstaje i podchodzi do okna.

Bez ubrania sprawia wrażenie szczuplejszego. Ma bladą pierś, trochę zapadniętą. Widać mu żebra. Mimo to jej wydaje się przystojny.

– Więc... – podejmuje Rex. Przeciera oczy. – Co zamierzasz zrobić?

– W związku z czym?

– Z Lavinia.

– Jak to?

– Ty z nią porozmawiasz czy ja mam to zrobić?

– O czym?

– O nas.

Może Louise wciąż jeszcze śni.

– Jak to „o nas”?

„Przespaałeś się ze mną – myśli. – Co tu jeszcze jest do powiedzenia?”

Rex siada na brzegu łóżka.

– Jeśli mamy się dalej spotykać... nie możemy trzymać tego w sekrecie.

Louise nie przyszło do głowy, że Rex chciałby zrobić to z nią więcej niż raz.

Ludzie mogą mieć na ciebie ochotę. To naturalne, jeśli jesteś ładna; albo nawet nie ładna, tylko masz blond włosy. Przeważnie jednak zamierzają cię tylko przelecieć, a potem ci mówią, że odezwą się za kilka dni, ale się nie odzywają.

– Chcesz to powtórzyć?

(Może to nie jest istotne, gdy ma się zwłoki w wannie w centrum miasta, ale Louise nie jest w stanie teraz o tym myśleć).

– A ty nie?

– Oczywiście, że tak – potwierdza Louise, zanim zdąży się zastanowić nad odpowiedzią. – Ale... chodzi o to, że... nie powinniśmy.

– Ze względu na Lavinie?

– Tak. Jasne.

Rex wzdycha.

– Może, no wiesz... może nie będzie tak źle. Może, no wiesz, początkowo nie zrozumie, ale potem...

Zdumiewa ją, jaki jest głupi.

– Spaliła twoją chusteczkę.

– Boże! – on na to. Później się śmieje... trochę. – Pewnie, że spaliła.

Mówi z wyraźnym podziwem i Louise nie może znieść, że drażni ją to nawet teraz, teraz.

– Posłuchaj... Louise. – Dawno nikt nie zwracał się do niej jej pełnym imieniem. – Wiem, że to egoizm. – Jest taki spokojny. – Ale bardzo cię lubię.

Louise odruchowo wyciąga rękę. Kładzie mu dłoń na karku.

– Pragnienie szczęścia to nie egoizm – uspokaja go.

To automatyczne, ten jej gest. Głaskanie po ramionach. Masowanie.

– Ja powinienem to zrobić – stwierdza Rex. – Porozmawiać z nią. Biorę to na siebie. Wyjaśnię, że nie chciałaś się zgodzić, ale nie dawałem ci spokoju. To ja będę ten podły. Nie przeszkadza mi to...

– Nie! – Mówi to dość głośno. – Nie, nie... ja z nią porozmawiam. Kiedy wróci do domu.

– Na pewno?
– Tak.
– Mam czekać na zewnątrz?
– Poradzę sobie.
– Posłuchaj... gdybyś chciała zatrzymać się u mnie na parę dni...
– Co takiego?
– No, gdybyś potrzebowała trochę przestrzeni. To wprawdzie kawalerka. Nic wielkiego. Ale przynajmniej mam dwa komplety kluczy. – Całuje jej palce, jakby była mu droga.

Wtedy do niej dociera.

Ten wątek rozwinąłby się tak samo, niezależnie od wszystkiego.

Gdyby zadzwoniła do Rexa z klubu – we łzach, rozhisteryzowana – skończyłoby się identycznie. Pocałowałby ją. Zabrał do siebie. Pozwolił jej zostać.

Lavinia straciła życie zupełnie niepotrzebnie.

– O co chodzi? – pyta Rex.

Louise nie może opanować śmiechu.

Po policzkach ciekną jej łzy, śmieje się i śmieje.

Wraca od Rexa autobusem. Na cekinowy top i spódniczkę włożyła jego bluzę z emblematem Columbii. To długa, powolna trasa wzdłuż Pierwszej Alei, ale Louise to nie przeszkadza. Po powrocie do mieszkania zastanie w wannie trupa i będzie musiała zdecydować o tym, jak Lavinia zginie.

Jest lato. Świeci słońce, niebo ma głęboki, niezrównany odcień błękitu i gdyby nie to ciało w wannie, Louise byłaby niemal szczęśliwa.

To nie może trwać w nieskończoność.

Louise jest tego świadoma.

Będzie musiała znaleźć jakiś sposób, żeby uśmiercić Lavinie. Będzie musiała wyjechać z miasta, zanim dojdą do tego, że żaden bandyta nie może rozbić nikomu głowy umywalką z klubu nocnego przy Chrystie Street; a poza tym została bez forsy – kiedy unieważnią karty Lavinii, wyschnie ostatnie źródło, bo nie ma już ani Paula, ani GlaZam, ani baru i na pewno nie dostanie więcej żadnej fuchy w P.M., a zresztą ile kosztuje bilet na autobus w jedną stronę do Devonshire?

Włącza telefon Lavinii.

Czterdzieści trzy nowe lajki pod jej facebookowym zdjęciem z Mimi.

Dwanaście esemesów od samej Mimi. Wiadomość od Beowulfa Marmonta, który pyta, czy poszłaby z nim na drinka (uderzająco podobna do tych, które wysyłał jej, Louise).

Mail od Cordelii w związku ze zbliżającym się egzaminem z historii w letniej szkole.

Zagląda do swojego telefonu. Nic.

Potem, kiedy autobus mija Siedemdziesiątą Drugą Ulicę, esemes od Rexa:

„Będę myślał o Tobie przez cały dzień. Powodzenia. Cokolwiek się stanie”.

I Louise myśli: „Gdyby tylko, gdyby tylko, gdyby tylko”.

Ale gdzieś w zakamarkach umysłu tłucze się: „A jeśli?”.

Zapach jest gorszy, niż się spodziewała.

Jest pewna, że przed wyjściem zamknęła Lavinii oczy, ale są otwarte, szkliste, i patrzą w górę.

Przysiada na sedesie, spoglądając na zwłoki.

Nigdy wcześniej nie widziała martwego ciała i wyobrażała sobie, że będzie wyglądało na bardziej nieżywe. A to po prostu wygląda jak wzorowany na Lavinii manekin, rekwizyt sceniczny.

Wchodzi do prywatnej wyszukiwarki (oglądała *Prawo i porządek*; wie, że pierwsze, co sprawdzają, to historię wyszukiwań).

Googluje: „Jak pozbyć się zwłok”.

Nie oczekuje, że znajdzie użyteczną odpowiedź, ale przewija wyniki, bo nie może wymyślić, co zrobić z ciałem.

Okazuje się, że na „Urban Foxes” zamieścili listę sposobów, tak dla żartu. I że w Gowanus Canal spoczywa mnóstwo trupów.

To jakoś jej nie zaskakuje, gdy się nad tym zastanawia.

Louise nadal zachowuje spokój, wielki spokój.

Analizuje możliwości.

Ma sześćdziesiąt cztery dolary w gotówce. Komplet kluczy od mieszkania. Prawo jazdy.

Ma kartę bankomatową z PIN-em 1614 i sto tysięcy dolarów na koncie. Ale w tej chwili nie jest w stanie o tym myśleć.

Może nocą, o późnej porze, porzucić ciało Lavinii w parku (nie wróciła do domu; Louise jej szuka, ale bezskutecznie; ktoś znajduje zwłoki w Sheep Meadow; ona wraca do Rexa zaniepokojona, bardzo zaniepokojona). Może upozorować napad. Albo... albo samobójstwo (na przykład Lavinia spoczywa w łodzi na stawie

w Central Parku, jak Ofelia, zawsze tak chciała). Albo też zostawić zwłoki w jakiejś bocznej uliczce.

W telewizji zawsze podają czas zgonu.

Louise nie jest pewna, jak to wygląda w realu. To także próbuje wygooglować. Najwyraźniej jest kilkugodzinny przedział, więc chyba nic jej nie grozi, ale przecież nigdy, nigdy nie jest się bezpiecznym.

Czy nie byłoby lepiej, gdyby nigdy nie odnaleziono ciała?

Kolejny esemes od Mimi:

„W życiu nie bawiłam się lepiej niż z Tobą zeszłej nocy”.

„Musimy to jak najszybciej powtórzyć!”

I dwie kapibary trzymające się za ręce.

Louise myśli: „Nie da się oszukiwać wszystkich w nieskończoność”.

„A jeśli się da?”

To nie musiałyby trwać bardzo długo – myśli. Byle tylko udało jej się wypłacić trochę więcej pieniędzy z rachunku Lavinii. Żeby zdołała wymyślić jakiś plan.

Całkiem prawdopodobna historia; Lavinia ma złamane serce, przez Rexa. Nie chce żyć, wiedząc, że Rex chodzi z inną. Bierze za dużo pigułek. Píše piękny list pożegnalny. Wstawia go do internetu.

Wszyscy boją. Nikt nie jest zdziwiony.

Może – myśli Louise – tak właśnie postąpiłaby Lavinia. Może zawsze miała umrzeć i ona tylko pomogła przeznaczeniu.

„Ja również doskonale się z Tobą bawiłam, kochanie!”

Lavinia pisze długie, wypracowane, literackie zdania. Louise to wie.

„Przepraszam Cię, że pożegnałam się po angielsku. Urzekła mnie muzyka, a potem padłam”.

„Miło spędziłaś resztę nocy?”

Jakie to łatwe.

Louise wkłada ciało Lavinii do kufra z parowca.

To już jest trudniejsze.

Okazuje się, że układając kogoś, nie można sprawić, że stanie się mniejszy. Trzeba połamać mu kości. Należy wziąć młotek albo siekiere, albo – jeśli jest się w takim mieszkaniu jak Lavinii – zabytkowy dziewiętnastowieczny neogotycki podbijak, który leży na gzymsie kominka, i pogruchotać łokcie oraz kolana, aż odpowiednio się zegną. Towarzyszy temu dźwięk przypominający nieco rozbijanie kantalupy. I zapach, jakiego Louise nigdy wcześniej nie czuła.

Ktoś taki, z połamanymi w dwóch, trzech miejscach kośćmi rąk i nóg, jeszcze mniej przypomina samego siebie niż wcześniej.

Louise nigdy nie zapomni odgłosu pękających kości.

Przez następne pół godziny kręci lokówką włosy, kręci i kręci.

Lavinia wypożycza furgonetkę przewozową.

Jest ubrana tak samo jak ostatnim razem, kiedy ją wypożyczała; ma na sobie gorset i szerokie spodnie, szal we włosach i okulary przeciwsłoneczne. Idzie w to samo miejsce. Pokazuje dowód

tożsamości.

Mówi mnóstwo dziwnych rzeczy, o tym, że wybiera się na *pèlerinage*, że to będzie wspaniała przygoda; kobieta za kontuarem przewraca oczami i rzuca kluczyki na blat, żeby tylko klientka wreszcie się zamknęła.

Lavinia wstawia do internetu zdjęcie Pierwszej Alei, letniego nieba, mostu przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Cytuje słowa piosenki Simona i Garfunkela, którą wszyscy sobie przypominają, gdy na niego patrzą. Melduje się w tym miejscu.

Spędza w Nowym Jorku spokojną niedzielę.

„Jakieś nowiny?” – esemesuje Rex.

„Porozmawiamy wieczorem” – odpisuje Louise.

Ciągnie kufer za rączkę. Wywlekając go za drzwi, rysuje piękny parkiet.

Dochodzi północ. Kufer powoduje straszny hałas na podeście w korytarzu. Louise nic nie rozumie. Lavinia jest taka chuda – przecież widziała, zwróciła na to uwagę. Jak ktoś równie chudy może być taki ciężki? Rogi kufra rysują ściany.

Wciągając go do windy, Louise prawie wyrywa sobie rękę ze stawów.

W głębi korytarza otwierają się drzwi jednego z mieszkań.

Pani Winters patrzy, jak drzwi windy się zamykają i Louise z Lavinią zjeżdżają na parter.

Wsadzenie Lavinii na tył furgonetki zajmuje Louise pół godziny.

W tym czasie są takie chwile, kiedy wątpi, czy to jej w ogóle się uda, kiedy dyszy i sapie. Nadweręża mięśnie i ścięgna, naciągając

je aż do bólu, to dla niej za duży ciężar. „Szkoda trudu” – myśli.

„Będę tu tkwić, aż przyjedzie policja.

Kiedy przyjedzie, powiem im, że w kufrze są zwłoki.

Nie uwierzą mi. Więc im pokażę.

Zabiorą mnie ze sobą, a wtedy wreszcie, wreszcie się prześpię.

I co z tego? Najwyżej Lavinia wygra”.

Siedzi tak na kufrze przez trzy, cztery minuty, potem pięć, przyciągając kolana do piersi.

W jej kieszeni wibruje telefon Lavinii. Na rękach ma zapach jej perfum.

Lavinia nie może zatriumfować.

Więc Louise bierze głęboki, bardzo głęboki oddech.

Ćwiczy oddychanie: jeszcze raz.

I dźwiga.

Dźwigając, prawie wychodzi z siebie. Wymiotuje kwasem, który pali jej gardło, język, a nawet usta, ale żołądek wciąż ma zaciśnięty.

Chyba jeszcze nigdy nie czuła takiego bólu.

Wreszcie wsadza ciało na tył furgonetki.

Jedzie FDR Drive, wzdłuż granicy Manhattanu, do miejsca, gdzie East River łączy się z Harlem River. Wszystko to wygooglowała. Nie bardzo wie, co robi, zakłada jednak, że większość ludzi, którzy próbują pozbyć się zwłok, także nie jest tego do końca świadoma.

Dojeżdża do Swindler Cove, za którym na Dwieście Pierwszej Ulicy trwa przebudowa, w cień Con Ed Station.

Nie zapuszczała się tak daleko od centrum, odkąd razem z Lavinią wybrały się do Harlemu, bo ta stwierdziła, że lubi muzykę

gospel. Teraz jednak woli o tym nie myśleć.

Odnowili już większą część parku, ale wiele miejsc pozostało nietkniętych. Na moczarach poniewierają się porzucone deski, puszki po coca-coli, resztki butwiejących pomostów, które jeden po drugim wpadają do rzeki.

Louise czeka w furgonetce do trzeciej. Na wszelki wypadek.

Potem podjeżdża nad wodę, najbliżej jak się da.

Zabawne, że wciąż kręcą się tam jacyś ludzie – faceci palący jointy albo gadający przez telefon. Louise zawsze bała się przebywać sama w nocy z mężczyznami. Teraz jednak nie czuje strachu.

Wciąża bluzę przez głowę. Zapala papierosa. I czeka.

Oni nawet na nią nie patrzą.

Kiedy wreszcie odchodzą, wyciąga kufer z furgonetki. Łatwiej jest go wyjąć, niż było włożyć; tylko ten odgłos, z jakim upada na cement (czy tak właśnie brzmi chrzęst kości? – zastanawia się Louise).

Potem ciągnie go za uchwyt nad wodę. Boli ją całe ciało, ale już zdążyła się do tego przyzwyczaić.

I wtedy robi coś głupiego.

Otwiera kufer.

Lavinia wciąż ma otwarte oczy. Są nadal szkliste. I niebieskie.

Włosy jak węże oplatają twarz, szyję, połamane kończyny. Te włosy, długie, rozpuszczone, prerafaelickie, które za życia Lavinii wyglądały, jakby także żyły, miały własną wolę, rosły niepowstrzymanie i mogły cię udusić, gdybyś podszedł za blisko.

Podobno włosy rosną jeszcze po śmierci człowieka. Kiedyś o tym czytała. Nie ma pojęcia, czy to prawda.

Zatrzaszkuje wieko.

Ostatni raz dźwiga kufer i podnosi na barierkę.

A potem spycha do wody. Która go unosi dalej.

Kiedy wreszcie kufer znika w toni, to jakby nigdy go nie było, jakby nic się nie stało. I może naprawdę się nie stało.

Już świta, kiedy Lavinia robi zdjęcie wschodu słońca nad East River.

Bo jest mą wolą aż na skraj Zachodu,

Aż tam, gdzie gwiazdy się kąpią, żeglować,

Póki nie umrę.

W drodze powrotnej wypłaca czterysta dolarów w sklepiku latynoskim w Inwood.

W Inwood Louise porzuca furgonetkę. Wraca do mieszkania metrem.

Wyrzuca rzeczy z szaf. Ubrania Lavinii. Swoje. Lavinii. Znowu Lavinii. Znowu swoje. Wyjmuje biżuterię. Liczy znajdującą się w domu gotówkę. W dwudziesto- i dziesięciodolarowych banknotach, które poniewierają się wszędzie, i monetach ukrytych w poduszkach na kanapie Lavinia zostawiła czterysta pięćdziesiąt dolarów i czterdzieści dwa centy.

Ładuje telefon Lavinii, która – jak się okazuje – dostała mnóstwo nowych wiadomości. Siada przy jej biurku. Otwiera jej laptopa.

Lavinia jest wszechobecna.

Wchodzi do jej poczty elektronicznej.

Zaproszenie od Lydgate'a na uroczysty lunch z okazji publikacji jego nowego albumu pod tytułem *Zabawki erotyczne: Ilustrowana historia tajemna*. Przesłane przez Gavina linki do plotkarskich artykułów w „Fiddlerze” i prośba o fragment dziennika (piszesz w sposób, który wkurza ludzi, ale to zwiększa liczbę wejść na stronę). Mail od rodziców.

„Kochana Lavinio!

Dowiedzieliśmy się od dziekana Twojego wydziału, że chcesz odłożyć powrót na studia o kolejny semestr. Naszym zdaniem będzie to miało fatalne skutki dla Twojej przyszłości, więc wspólnie zdecydowaliśmy, że pod koniec roku akademickiego (2014/2015) przestaniemy opłacać za Ciebie czesne. Jeśli chcesz uzyskać dyplom, musisz wrócić na uczelnię najpóźniej we wrześniu.

Omówiliśmy to z dziekanem i uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

Twojej siostrze idzie tu bardzo dobrze, podoba jej się w letniej szkole. Na pewno słyszałaś już, że zdobyła maksymalną liczbę punktów na testach egzaminacyjnych – jesteśmy z niej bardzo dumni. To ważne, żebyś stanowiła dla niej przykład, gdy będzie składała podania na studia, bo wciąż ma zamiar zdawać na ekskluzywne uczelnie katolickie...”

Louise zatrząskuje laptopa.

Zastanawia się, dokąd pojedzie, kiedy będzie zmuszona do ucieczki. „Wszędzie, tylko nie do Devonshire” – myśli.

Dzwoni telefon.

To znowu Rex.

– Miło usłyszeć twój głos – mówi.

Louise ściąga z Google Images zdjęcie zachodu słońca nad pięknym jeziorem gdzieś na północy stanu. W takie miejsce pojechałaby kobieta, która by odkryła, że osoba uważana przez nią za najlepszą przyjaciółkę pieprzy się z jej byłym, i miałaby dość pieniędzy, żeby rzucić wszystko i wynieść się z miasta.

Lavinia melduje się w Beacon w stanie Nowy Jork. Wstawia tamto zdjęcie. „Ponowne narodziny” – podpisuje.

Rex umawia się z Louise na popołudniową herbatę w Hungarian Pastry Shop w pobliżu kampusu Columbian. W torbie taszczy różne wydania Loeba. Ma podkrążone oczy.

– Usnąłem dziś na seminarium – mówi. Bierze ją za rękę. – To dopiero coś, no nie?

Louise tylko miesza kawę z bitą śmietaną. Nie pije.

– Jak ci poszło? – pyta wreszcie Rex.

– Znasz Lavinie. – Louise wzrusza ramionami.

– Spaliła coś? – Rex się uśmiecha. Nieznacznie.

– Nie. Była całkiem spokojna.

– Naprawdę? – nie wierzy jej. – Jakoś... sobie tego nie wyobrażam.

– Może... opanowana. Nie tyle spokojna, ile opanowana.

– Myślisz, że nic jej nie jest?

Louise pokazuje klucze od mieszkania.

Jakby Lavinia kiedykolwiek zdobyła się na wspaniałomyślność.

– Powiedziała, że potrzebuje przestrzeni. Wyjechała na tydzień. Na północ stanu.

– A co będzie potem?

– A potem... – Louise stara się o tym nie myśleć. – Potem wróci. Rex wzdycha. Unosi wzrok.

– Louise?

Ona wciąż miesza kawę. Przywołuje swój niespieszny, poczciwy, słodki uśmiech.

– Nie jesteśmy złymi ludźmi, prawda? – pyta on.

Poklepuje go po ręce. Splata palce z jego palcami.

– Oczywiście, że nie – odpowiada.

– Masz rację – podejmuje Rex. – Oczywiście, że tak. Głupiec ze mnie. Rozerwijmy się. Jest taki piękny dzień... nie mam zajęć aż do środy. Chodźmy do jakiegoś muzeum.

– Zawsze możemy pójść do Met. – Louise szuka w głowie miejsc, które spodobałyby się chłopakowi chodzącemu w tweedowych marynarkach. – Albo do Neue Galerie... jest tam wystawa tego całego Ferdinanda Hodlera... – Wstęp kosztuje dwadzieścia dolarów.

Rex nic nie mówi.

– W kafejce podają pyszny tort Sachera. – Nie ma żadnych zwłok w rzece, żadnego kufra na dnie, krwi w odpływie wanny.

– A może...

– Tak?

Ogarnia spojrzeniem jego twarz. Uszy mu poczerwieniały.

– Chodzi... o nią? – pyta.

„Jak to możliwe – myśli – żeby jedna osoba była taka ważna?”

– To głupie – rzuca Rex. – Powinniśmy tam pójść... oczywiście, czemu nie?

– Ale...

Wyrywa mu się westchnienie.

– Już byłem na tej wystawie.

– I co?

– To znaczy... byłem z nią.

– Jak to?

– To była... nasza pierwsza randka.

– Och. Ojej.

– Przepraszam... to dziwaczne... ja jestem dziwaczny.

– Nie, to ja przepraszam. Powinam była...

– Skąd miałaś wiedzieć!

Louise nie może przestać wyobrażać ich sobie razem, Lavinii z długimi zmierzwionymi włosami, radosnym uśmiechem, promiennej przy jego boku, Lavinii w kufrze z parowca, z nogami przy uszach.

– Chodźmy do domu i już – proponuje.

Jadą taksówką do Rexa. On płaci.

Kochają się na łóżku i znowu na kanapie, potem przytuleni do siebie zamawiają tajskie dania i oglądają *Klejnot w koronie* na Netfliksie. Pogoda jest ładna i w Nowym Jorku w taką noc można by robić mnóstwo rzeczy, ale Lavinia już je wszystkie robiła, więc piją piwo z lodówki, bo Louise jest pewna, że przynajmniej w tym nie musi konkurować z jej duchem.

Rex jest taki delikatny, kiedy się z nią kocha. Wtula twarz w jej szyję, szepcze wyznania między jej piersi i pod nie, kładzie głowę

na łuku jej bioder i po wewnętrznej stronie uda.

– Boże – powtarza – jesteś taka piękna.

I Louise wie, że na to nie zasługuje, ale myśli: „Jeszcze tylko jeden taki dzień. Daj mi jeszcze jeden taki dzień”.

– Louise? – Tchnie w jej obojczyk.

– Tak?

– Jak bardzo... w skali, powiedzmy, od jeden do dziesięciu... nie lubisz Hala?

– Osiem. Dlaczego pytasz?

– W sobotę wydaje przyjęcie urodzinowe... to łączona impreza... coś w rodzaju obchodów Czwartego Lipca. Urządza je u ojca. Ma być dużo ludzi. I drinki. Jedzenie. – Wspiera się na łokciu. – Jeśli nie czułabyś się niezręcznie... – Wciąga powietrze. – Powiedziałem mu o tobie. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

– Nie, skąd – odpowiada Louise. – Nie będzie zaskoczony, jeśli przyjdziemy razem. – Opada z powrotem na poduszkę. – Od dawna mnie o to nagabuje.

– Nie ma złych intencji. Naprawdę. Kiedy lepiej go poznasz...

– Przekonam się, że to anioł?

– Wiesz, jak jest – przekonuje Rex. – To mój najlepszy przyjaciel.

– Tak – odpowiada Louise. – Wiem, jak jest.

Louise wraca do mieszkania (dobrze, dziwnie dobrze, odemknąć drzwi, włączyć światło). Chowa rzeczy Lavinii z powrotem do szafy. Kładzie je na półki.

Wkłada jasnoniebieski szlafrok Lavinii.

Jest przesiąknięty jej perfumami.

Patrzy na puste miejsce w salonie, gdzie kiedyś stał kufer z parowca.

Lavinia zamieszcza kolejne zdjęcie z północy stanu.

Wszyscy je lajkują.

Następnie pisze esemesa do Mimi:

„Mam kryzys wiary. Długa historia. Wybrałam się na północ, żeby przewietrzyć głowę. Ale tęsknię za Tobą! Musimy znowu wejść do klatki z lodem, dobrze, dobrze, dobrze?”

Mimi odpowiada emotikonem przedstawiającym pajaka, który usiłuje objąć cię wszystkimi odnóżami.

Rex przysłała Louise zdjęcie widoku z okna swojego mieszkania.

„Już mi Ciebie brak” – pisze.

A Louise myśli: „Brak mu mnie, brak mu mnie”.

Stara się zapomnieć wyraz jego twarzy, kiedy zaproponowała, żeby poszli do Neue Galerie (powinna była wiedzieć – to jedno z tych miejsc, do których Lavinia stale chciała chodzić w swoich operowych pelerynach, futrzanych etolach).

Myśli: „Tyle powinnam była wiedzieć”.

Przeszukuje szuflady Lavinii. Wywala na podłogę wszystkie jej ubrania (bieliznę, pończochy, jedwabne koszulki, chusteczki). Kartkuje książki na półkach. Rzuca na podłogę tom po tomie. Zagląda pod łóżko, pod perski dywan, do małych szkatulek na

bizuterię, do szufladek toaletki.

Wyciąga szuflady biurka. Ciska na kołdrę zszywacze, kleje w sztyfcie, pióra i buteleczki z atramentem.

Wreszcie to znajduje. Poplamione drewniane pudełko w głębi regału.

Koperta.

Plik listów.

Lepiej, abyś o pewnych sprawach nie wiedział. Kiedy ani jak umrzesz. Że prześpisz się z własną matką i zabijesz ojca. Co inni mówią o tobie za twoimi plecami. Jak ktoś, kogo kochasz, nazywa inną osobę. Ludzie mogą funkcjonować na tym świecie jako istoty społeczne między innymi dlatego, że są na tyle inteligentni, aby pewnych pytań nie zadawać.

Rex w ciągu czterech lat napisał do Lavinii dwieście listów.

Większość pochodzi z okresu, kiedy mieli po szesnaście, siedemnaście, osiemnaście lat – zanim wyjechali na uczelnię. Pisał je gęsimi piórami, zielonym atramentem. I pieczętował – na brzegach widać jeszcze wosk. Pełne są cytatów literackich, które Louise już zna, czasami niedokładnych. Nie ma nawet dobrego stylu.

Ale to najpiękniejsze listy, z jakimi kiedykolwiek się zetknęła.

Mówi sobie, że przeczyta tylko jeden: „Moja kochana Lavinio! Co to była za przyjemność obejrzeć z Tobą dziś po południu wystawę Klimta w Neue Galerie” – nie ma pojęcia, dlaczego się nie śmieje, przypomina sobie natomiast spacer z Virgilem Bryce’em po lesie w Devonshire; trzymali się za ręce, palili american spirits,

patrzyli przed siebie, aż w końcu on odwrócił się do niej i powiedział: „No, jeśli tak bardzo tego chcesz...”.

„Nie wiedziałem – pisał Rex do Lavinii nocą, kiedy razem stracili dziewictwo w obskurnym hoteliku w okolicach Flatirona – że można kochać tak mocno”.

„Boję się – wyznawał Lavinii wieczorem przed wyjazdem do college’u – że prawdziwy świat nas zniszczy”.

„Boję się, że potem nic na świecie nie będzie już dla mnie tak ważne jak to”.

Louise czyta te listy do rana.

Pisał, dokąd razem pojedą, dokąd nigdy nie pojedą, i chociaż Louise nie zna odpowiedzi Lavinii, potrafi je sobie wyobrazić – pisane na sercu, w liniach papilarnych dłoni.

„Chcę żyć naprawdę – powtarza Lavinia w każdym liście, którego Louise nie może przeczytać. – Jedyne, czego pragnę, to żyć”.

Zasypia o świcie, na podłodze w mieszkaniu Lavinii, w otoczeniu rozrzuconych listów; tworzą wokół niej jakby mandalę, aureolę.

Lavinia wstawia na Facebooka post mówiący, jak bardzo kocha wieś.

W malowniczym sklepiku w Inwood, niedaleko porzuconej furgonetki, wypłaca z konta bankowego kolejne pięćset dolarów.

Louise udaje się przetrwać tydzień.

Lavinia świetnie się bawi na północy stanu. Uprawia jogę. Odwiedza muzeum sztuki współczesnej w Beacon i zachwyca się

pająkami Louise Bourgeois, pisze, że dzięki nim ujrzała gniew w nowym świetle. Uczy się godzić z tym, na co nie ma wpływu. Odnajduje wewnętrzny spokój.

Louise siedzi w jej mieszkaniu, czyta listy i stara się nie miotać nimi po całym pokoju.

Wieczorem przed przyjęciem u Hala Rex przysłała jej esemesa z informacją, że obowiązują stroje wieczorowe.

„Przepraszam – pisze – Hal zawiadomił dopiero teraz”.

Louise dysponuje tylko strojami Lavinii.

Ta ma mnóstwo sukienek. Louise oczywiście o tym wie, ale do tej pory nie zdawała sobie sprawy, ile ich jest. Nigdy wcześniej nie zaglądała do jej szafy, nie przytykała do policzków jedwabi, adamaszków i aksamitów. Są suknie vintage, wieczorowe i eleganckie tradycyjne koktajlowe. Nigdy nie widziała, żeby Lavinia nosiła te krótkie, obcisłe, takie, do których zakłada się perły.

Louise zanurza się we wszystkie.

Kładzie na łóżku jedną z nich.

Która wciąż pachnie Lavinia.

Zakłada kolczyki Lavinii. Wsuwa stopy w jej szpilki.

Gdy patrzy na siebie w lustrze, ogarnia ją strach, bo wygląda niemal jak ona. Musi dotknąć policzków, aby się upewnić, że nią nie jest.

Rozprowadza na twarzy podkład Lavinii; dziwnie robić to samej, nie czuć jej palców na skórze, trzymanego przez nią puszka z pudrem na policzkach, ustach, brodzie.

Kolejno bierze róż, kredkę do oczu i tusz do rzęs, wszystkie te kosmetyki, których dawno nie używała samodzielnie.

Maluje usta szminką Lavinii w kolorze burgunda. Wydyma wargi. Posyłała całusy w stronę lustra, jakby Lavinia była po jego drugiej stronie, jakby tylko w ten sposób mogła się z nią skomunikować.

Dłonie jej drżą, ale nakłada szminkę perfekcyjnie, nie wychodząc za linię.

Lavinia tymczasem czyta na północy Thoreau.

Cytuje Whitmana.

Siedzi gdzieś tam przy kominku.

Henry Upchurch mieszka w Dakocie. Teraz jest w Amagansett i chociaż Hal ma własne mieszkanie w Tribeca – które dzieli z tym swoim kumplem z Deerfield pracującym u Goldmana – jeśli tylko urządza imprezę, to zawsze u ojca.

Louise nigdy wcześniej nie była w tak pięknym mieszkaniu.

Okna wychodzą prosto na park. Sufity są tak wysokie, że musi wykręcać szyję, aby spojrzeć na żyrandole. Ozdobne gzymsy, parkiety i pokój przeznaczony tylko na książki, no i mnóstwo miejsca – tyle miejsca, że można swobodnie się poruszać. Louise do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jakim luksusem jest przestrzeń.

Hal wszędzie umieścił amerykańskie flagi.

Udrapował je na kanapach. Rozwiesił na ramach obrazów. We framugi drzwi powtykał najtańsze papierowe chorągiewki. Symbole narodowe pokrywają każdą powierzchnię w domu z wyjątkiem

trzech portretów na ścianie kominkowej.

– Jeremiah Upchurch. Henry Upchurch... trzeci, tak się akurat składa. I księżę Hal.

Hal w holu ma na sobie smoking. Jest niemal przystojny.

Hal w salonie występuje w kapeluszu w stylu Wuja Sama, różowej koszuli i jaskrawoniebieskich spodniach. Do tego nosi muszkę w czerwone słoniki, która kłóci się z resztą jego stroju, marynarką o różowych łątach na łokciach. Trzyma niezapalone zimne ognie i czerwono-biało-niebieską piszczałkę.

– No, no. – Lustruje ją od góry do dołu. – Tak ubrana niemal tu pasujesz.

Louise się uśmiecha.

– Więc Rex wreszcie uległ. – Pociąga łyk z jednorazowego papierowego kubka. – No co? To amerykańska tradycja!

Podaje jej jeden z kubków i z kieszeni marynarki wyjmuje piersiówkę.

– Cienkusze znajdziesz na kredensie – wyjaśnia. – Barek Henry’ego Upchurcha jest dostępny dla bardzo ścisłego grona wybranych.

– Czuję się więc wyróżniona. – Wznosi kubek.

– I słusznie – odpowiada Hal. – Słusznie.

– Sto lat, Hal.

Ten uśmiecha się szeroko. Między przednimi zębami ma szparę.

– Ćwierćwiecze – mówi – i nie osiągnąłem zupełnie nic. Zresztą zgodnie z planem boskim. Krew przodków zaczyna się rozrzedzać.

– Patrząc na portrety, wznosi toast. – A przynajmniej tak mówią. Dostrzegasz rodzinne podobieństwo?

– Nie powiedziałabym – kwituje Louise.

Hal krzywi usta. Uśmiecha się. Dolewa jej whiskey.

Z głośników płynie *Dixie*, nastawiona na powtórne odtwarzanie.

– I jak tam? Czeka... zapytajmy twojego chłopaka!

Rex jest w letnim garniturze.

– Mała Louise kwestionuje moje pochodzenie! Co się stało?

Rex patrzy na nią dziwnie i Louise zastanawia się, czy kiedyś nie widział Lavinii w tej sukience.

– Nic – odpowiada Rex. – Po prostu pięknie wyglądasz i tyle.

Bierze ją za rękę. Przy wszystkich całuje ją w czoło, jakby był dumny, że z nią przyszedł, i chciał, aby każdy o tym wiedział.

Jest tam także Beowulf Marmont. I Gavin Mullaney. Jest mnóstwo osób, których Louise nie zna, które jednak widziała jeśli nie w sekretnej księgarni, to w operze, w MacIntyre czy w P.M. albo innych miejscach, w których bywają znajomi Lavinii.

– Miło cię widzieć, Louise, jak zawsze – mówi Beowulf. Cmoka ją w policzek. Na kanapie siedzi dziewczyna o sarnich oczach, dłonie ma złożone na kolanach i patrzy na nich. – Nie wiedziałem, że znasz Hala! – mówi, jakby to przed nim ukrywała.

Louise tylko się uśmiecha.

– Dalej pisujesz do „Fiddlera”? Podobają mi się te opowiadania, które zamieściłaś tego roku w wydaniu internetowym.

– Dziękuję. A mnie podobało się ich pisanie.

– Niezła jesteś. To znaczy... w porównaniu z tym całym badziewiem, które tam zamieszczają.

Gavin też podchodzi, żeby się z nią przywitać.

– Jesteś mi winien kolejkę, sukinsynu – mówi do Beowulfa,

a z nią przybija piątkę.

Wszyscy zachowują się wobec niej tak, jakby była jedną z nich.

Hal pali przy oknie papierosa.

– To uwielbiam w prywatnych przyjęciach – stwierdza. – Nie ma wśród gości nowych twarzy. Henry Upchurch zawsze powtarzał, że poznawanie po dwudziestym piątym roku życia jakiegokolwiek nowej osoby to strata czasu. – Puszczą oko na wypadek, gdyby ktoś sądził, że mówi serio. – Szkoda mi na to czasu. W Nowym Jorku jest zaledwie dziesięciu ciekawych ludzi... i znam was wszystkich. Pozostali to zera.

– Masz już niewiele czasu, żeby wejść do Piątki przed Trzydziestką! – woła Beowulf.

– Proszę cię – odpowiada Hal. – Jestem tylko skromnym agentem ubezpieczeniowym na stanowisku kierowniczym.

Wszyscy się śmieją. (I śmieją. I śmieją).

– Nigdy wcześniej nie byłam w Dakocie – szepcze anorektycznie chuda dziewczyna z mocno podkreślonymi brwiami do tej drugiej o sarnich oczach.

Louise wchodzi w rolę.

Gawędzi z Beowulfem Marmontem o operze, o tych wszystkich przedstawieniach, których z całą pewnością, z całą pewnością nie przespała (i Lavinia w łoży nie robiła jej palcówki); o tym, jak osioł, którego wzięli do *Cyrulika sewilskiego*, o imieniu sir Gabriel, kiedyś zesrał się na scenie i jak Diana Damrau innym razem dostała napadu kaszlu.

Gawędzi z Gavinem Mullaneyem i tą anorektyczną dziewczyną (na imię ma India) o wspólnych znajomych z Collegiate i St. Bernard's, Chapin i Exeter, no i Devonshire, oczywiście Devonshire, które Louise tak dobrze zna (opowiada o dwójce młodocianych uciekinierów, jakby ich także dobrze znała, a Gavin komplementuje poświęcone im opowiadanie, zamieszczone przez nią w „Fiddlerze”), potem przytacza historię, usłyszaną kiedyś od Lavinii, o dziewczynie z Chapin, która masturbowała się raketką do gry w lacrosse, sfilmowała to i wysłała swojemu chłopakowi, ale wideo rozeszło się po sieci i musiała zniknąć. Wszyscy się śmieją, bo nie słyszeli tej anegdoty od lat i cieszą się, że mogli ją sobie przypomnieć.

– Szczęściara z ciebie, no nie? – Hal niskim głosem szepcze jej do ucha. – Mówiłem ci... lepiej być nikim. Mogłabyś przespać się z całą drużyną futbolową z Devonshire i nikt by się o tym nie dowiedział.

– Chciałabym – odpowiada Louise, a reszta się śmieje, chociaż jeśli się nad tym zastanowić, pewnie to prawda.

Dalej Louise opowiada, jak kiedyś cały kampus został zasypany śniegiem, a wtedy ona (z Virgilem Bryce'em, ale to pomija) zdobyła narty biegówki i zarobiła kilkaset dolarów, sprzedając po dormitoriach gorącą kawę (i zioło Virgila, ale o tym także nie wspomina).

Wszyscy się śmieją.

– Jest niesamowita – komentuje Rex. – Kiedyś nawet udawała uczennicę internatu i nikt jej nie przyłapał. Przez cały rok! Potem ktoś wreszcie się zorientował.

Louise odwraca się do niego.

Przez sekundę, jedną przerażającą sekundę, myśli, że Rex się z niej nabija.

On jednak uśmiecha się z wielką czułością i dumą, mimo że ta historia, do której się odwołuje, wyglądała zupełnie inaczej (trwało to zaledwie parę tygodni, przesiadywała tylko w stołówce i osobą, która się zorientowała, była jej matka – bo Louise na wszelki wypadek z nikim nie rozmawiała – i bardzo się potem za nią wstydziła), ale znowu wszyscy się śmieją, jakby to była najzabawniejsza rzecz na świecie, i nawet Hal wyszczerza w uśmiechu szczerbate zęby, więc nie pozostaje jej nic innego, jak tylko kaszlnąć, pokrywając lęk, i opowiedzieć historię, świetną historię, o fantastycznym numerze, który odstawiła, chodząc przez rok na lektorat z greki i nawet składając pracę na zaliczenie; każdy myśli, że to najzabawniejsza rzecz na świecie i że Louise jest bardzo odważna.

Rex otacza ją ramieniem, całuje w policzek i nikt się nie domyśla znaczenia tego gestu: że tak naprawdę wcale nie chodziła na te zajęcia.

Idzie do łazienki.

Poprawia usta szminką. Przypudrowuje twarz.

Zagląda do telefonu Lavinii.

Jedenaście wiadomości na Facebooku. Większość od Mimi. Trzyznaście lajków.

I esemes od Cordelii: „Gdzie jesteś? Przepraszam, kochanie! Miałam kryzys egzystencjalny. Szaleństwo. Wkrótce się odezwę!”.

Lavinia wstawia zdjęcie flagi amerykańskiej, powiewającej na pięknym domu w stylu kolonialnym, który łatwo wziąć za uroczą wiejską gospodę, gdzie mogła się schronić dziewczyna zdradzona przez najlepszą przyjaciółkę i byłego faceta.

Podpisuje je cytatem:

Przeszłość cała za nami zostaje;

W nowszy, lepszy świat wkraczamy, świat bogatszy,

Świeży, silny świat stwarzamy, pracy świat i marszu,

Pionierzy! O pionierzy! ⁶

W ciągu minuty Beowulf lajkuje zdjęcie i post.

Wszyscy w środku upili się już winem z kredensu, wszyscy oprócz Hala, który przez cały wieczór uzupełnia zawartość swojej piersiówki.

– Jezu – zauważa. – Jakie to banalne.

– Co takiego? – India opowiada każdemu, że dla tyłka o wiele lepszy od roweru stacjonarnego jest drążek.

– „W nowszy, lepszy świat wkraczamy, świat bogatszy!” – Hal przewraca oczami. – „Świeży, silny świat stwarzamy, pracy świat i marszu”. O rany. Ależ mi praca! – Prycha. – To spróbuj wydobywać węgiel. – Pokazuje wszystkim, co ma na wyświetlaczu.

– Daj spokój – odzywa się Rex. Mówi to bardzo spokojnie.

– „Pionierzy... o pionierzy”, a ty co, uszedłeś z życiem?

Rex milczy. Blednie. Gryzie dolną wargę.

– Jak ona to przyjęła? – Hal patrzy teraz na Louise. – Kiedy jej powiedziałaś. Rzuciłyście się na siebie? Z pazurami?

– Wyjechała z miasta – odpowiada Louise. – Zrobiła sobie

przerwę.

Hal się śmieje.

– Wygnanie. Jakie to pretensjonalne. Biedactwo. Uważałbym na twoim miejscu, mała Louise... jeszcze wbije ci sztylet w plecy, gdy będziesz spała.

Louise śmieje się, jakby wcale nie była pijana.

– Ale może dopisze ci szczęście. I znowu łyknie garść xanaxu swojej starej! – Dmie w piszczałkę. – Lepiej weź pod klucz wszystkie brzytwy. I niech nie zbliża się do wody.

Louise zbiera się na mdłości, ma wrażenie, że zaraz się pochoruje – i faktycznie się pochoruje; ma wrażenie, że zaraz wpadnie w histerię – i wpadnie, wpadnie – ale to Rex zrywa się na równe nogi.

To Rex wypada z pokoju.

Dzięki temu Louise ma pretekst, żeby wyjść.

Odnajduje go w jednej z sypialni – wielkim pokoju z pojedynczym spartańskim łóżkiem pośrodku, wysłużonym konikiem na biegunach, chorągiewkami szkół z internatem w Devonshire, Andover i Deerfield na korkowej tablicy wiszącej na ścianie.

Pali jointa przy oknie.

– Wiesz... – Patrzy przez okno pustym wzrokiem. – Chyba naprawdę jesteście podli.

– Nie... nie!

– Niepotrzebnie cię pocałowałem. Jestem gorszy... nie powinienem był.

– Nic się nie stało! Wszystko z tobą w porządku!

– Jeśli coś sobie zrobi – ciągnie – jeśli... Boże... jeżeli coś sobie zrobi, to będzie moja wina.

– Wcale nie – próbuje Louise. – Zapewniam cię...

– Nic rozumiesz! – Rex po raz pierwszy podnosi na nią głos. – Nie zdajesz sobie sprawy... jak długo ją znasz, co? Pół roku? – Przeciągle wypuszcza powietrze. – To nie twój problem... tylko mój! Nie możesz tak po prostu zamknąć tamtego rozdziału... tylko dlatego, że chcesz. – Odkłada jointa na biurko Hala. – Przepraszam – mówi – to niesprawiedliwe wobec ciebie. Nie jesteś niczemu winna.

– Nic jej nie będzie! – Louise kładzie mu dłonie na ramionach. Przyciska usta do jego karku. Bierze głęboki oddech. – Zapewniam cię... zapewniam. Nic jej nie będzie. – Zmusza się do uśmiechu. Próbuje też zmusić serce, żeby tak nie biło. – Wszystko się ułoży.

Rex przytula głowę do jej ręki. Przyciska ją do swojego ramienia. Patrzy na Louise z taką wdzięcznością, jakby mówiąc to, mogła sprawić, że tak się stanie.

Wracają do salonu. Uśmiechają się. Wznoszą toast.

Wielkooka dziewczyna Beowulfa Marmonta tłucze kieliszek do szampana i Rex natychmiast mówi: „Zajmę się tym”, podczas gdy Hal stoi w miejscu, a potem rechocze.

– Tak zatytułuj swoją biografię, gdy umrzesz – komentuje. – *Zajmę się tym: Życie Rexa Eliota.*

– Nikt nie napisze mojej biografii – odpowiada Rex, klęcząc na podłodze.

– Pewnie nie – zgadza się Hal. – Tak jak i mojej. A może jednak.

Życie i myśli skromnego agenta ubezpieczeniowego. – Wzrusza ramionami. – No i dobrze. Kiedy nadejdzie rewolucja, nikt i tak nie będzie czytał książek.

Odchrząkuje.

– Spalimy je wszystkie w kominku – ciągnie. – Prawda, mała Louise?

Louise wytrzymuje jego spojrzenie.

– Pewnie, że tak – odpowiada i wznosi kieliszek.

Teraz piją głównie szampana. Podkręcają muzykę. Grają w przypinanie ogona osiołkowi nowym zestawem, w którym osiołek jest demokratą, a szpilki – chorągiewkami. Wciągają kreski ze stolika do kawy i tankują poncz, w którym, jak twierdzi Hal, jest ecstazy, ale Louise nie bardzo w to wierzy.

– Co chcesz na urodziny, Hal? – pyta India.

– Laskę.

Wszyscy śmieją się razem z nim.

– Jesteś odrażający – kwituje India, ale wciąż się uśmiecha.

– Tak się składa – podejmuje Hal – że nie chcę niczego. Prawdziwy mężczyzna walczy ze słabościami.

– Tak mówi Henry Upchurch.

Louise nie chce być okrutna. Ale Halowi drgają usta i dziwnie się krzywi; potem jednak się wyszczerza i śmieje, co wszyscy przyjmują z ulgą i też się śmieją, a on potwierdza:

– Tak właśnie mówi Henry Upchurch.

I dodaje:

– Boże, ale z ciebie suka.

Mówi to jednak z taką czułością, że Gavin Mullaney klepie ją w ramię, a India zdejmuje przed nią wyimaginowany kapelusz i nawet Rex bezradnie wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czy to nie było celne?”. Wszyscy się śmieją, cykają zdjęcia i komplementują Louise jako królową wieczoru, bo w pewnym sensie rzeczywiście nią jest.

Piją jeszcze więcej. Hal proponuje toast zaczynający się od słów: „...i chwalmy sławnych ludzi”. Nastawiają oldskulową muzykę taneczną, bo zdaniem Hala wszyscy powinni posłuchać *Brother, Can You Spare a Dime?* i zastanowić się nad znaczeniem tej piosenki dla amerykańskiej produkcji przemysłowej, a Rex podnosi Louise wysoko, Hal ujmuje jej nogi i wszyscy świetnie się bawią, niosąc ją z salonu przez bibliotekę do kuchni, gdzie wyciąga butelkę schowanej przez Henry’ego Upchurcha dobrej whiskey i wlewa sobie całą do gardła.

Beowulf Marmont wstawia jej zdjęcie na Facebooka.

Przedstawia ono Louise siedzącą z Rexem na kanapie pod portretami trzech Upchurchów. Rex całuje ją w policzek.

Wszyscy je lajkują.

Rex także, chociaż sam jest na zdjęciu, wtedy Louise patrzy na niego, on się uśmiecha, a ona odwzajemnia ten uśmiech.

O świcie wszyscy oprócz Louise zasypiają na kanapach Henry’ego Upchurcha, nawet Hal, który zażył garść swojego modafinilu, żeby nie spać.

Louise przegląda zdjęcia w telefonie.

Nie poznaje siebie z tą szminką, w tej sukience. Szczęśliwej

w ramionach mężczyzny, który jest w niej zakochany. Niesioną w górze, bez Lavinii, która trzymałaby ją za rękę.

Jakby tam przynależała.

„Nie da się ciągnąć tego w nieskończoność” – myśli.

Kiedy jednak Rex zasypia, Hal śpi z przytuloną do niego Indią, Beowulf Marmont chrapie opasany ramieniem sarniookiej dziewczyny, a pozostali leżą na podłodze, Louise wsuwa stopy w szpilki. Schodzi na parter, pozdrawia odźwiernego skinieniem głowy i wychodzi na dwór, gdzie ledwie dnieje.

Dzwoni do Rexa z telefonu Lavinii.

Zgodnie z jej przewidywaniami włącza się poczta głosowa.

– Kochanie – zaczyna Lavinia tym swoim lekko afektowanym tonem. Drży jej głos. – Było... było cudownie, prawda? – Przełyka ślinę. – Pewnie w tej chwili śpisz... i może... może... ona leży obok ciebie. Pewnie tak. I w porządku. To znaczy... – Głębokie, szczere westchnienie. – Chcę, żebyś wiedział. Przeżyję. Lulu mi powiedziała. I... cóż... trochę się złościłam, wszczęłam jeden czy dwa pożary, ale... przemyślałam sprawę. Już mnie to nie obchodzi. Więc... niech tak będzie. Pragnę, żebyś był szczęśliwy. Niech tak będzie. Ty i Lulu... Kocham was... nie myśl, że nie. Kocham was obydwój. I życzę wam jak najlepiej. Tylko... zrozumiesz, prawda? Wolałabym, żebyśmy przez jakiś czas się nie widywali. Tak czy owak... Tak czy owak. Żegnaj. Kocham cię. Żegnaj.

„To najszcześniejsze zakończenie, jakiego mogłaby sobie życzyć” – przekonuje samą siebie Louise.

Lavinia całkowicie zmienia swoje życie.

Wstawia do internetu zdjęcia wschodów słońca nad East River, nieba o świcie, ptaków w Central Parku. Codziennie korzysta z ClassPass (wiadomo, bo kiedy tam idzie, aplikacja informuje o tym na Facebooku), przeważnie chodzi na różnego rodzaju zajęcia z jogi i od czasu do czasu zamieszcza fotografie swojego coraz szczuplejszego ciała – zawsze z widocznym tatuażem – choć generalnie bez twarzy. Prezentuje także zdjęcia zdrowych posiłków (głównie z zieleniny; jest i wiele soków). Pisze, że za miesiąc albo dwa zamierza rzucić picie, dla zdrowia i aby dowieść samej sobie, że potrafi. Codziennie powiadamia znajomych o postępach, dodając inspirujący cytat albo dwa.

Niemal wszyscy znajomi lajkują jej posty.

– Naprawdę jestem z niej dumna – mówi Louise, kiedy pytają ją o Lavinie, czyli wcale nie tak często, jak można by sądzić, gdyby wziąć pod uwagę liczbę tych lajków. – Jasne, że brakuje mi jej na imprezach. Myślę jednak, że dobrze robi, a wy nie?

Lavinia bywa w wielu miejscach; wiadomo o tym z Facebooka (i potwierdza to dokumentacja). Dwa, trzy razy w tygodniu wypłaca gotówkę, zawsze maksymalną sumę. Gdyby z jakiegoś powodu obejrzeć nagrania z kamer przemysłowych przy bankomatach,

można by zobaczyć bardzo piękną dziewczynę w strojach vintage i okularach przeciwsłonecznych, z burgundową szminką na ustach. Codziennie rano uczęszcza na zajęcia w ClassPass, jak wszystkie inne zamożne białe dziewczyny w Nowym Jorku, którym nikt nigdy nie przygląda się zbyt uważnie, i rejestr owych wizyt zgadza się z tym, co pokazuje na Facebooku aplikacja. Czasami wybierze się na brunch albo do jakiegoś baru, gdzie zamawia wodę sodową (ostrożności nigdy dosyć) i za każdym, za każdym razem płaci kartą kredytową, zawsze, zawsze zostawiając sowity napiwek. Co jakiś czas pisze esemesa do Mimi, aby ją zapewnić „Tęsknię za Tobą” i zapytać „Wyskoczymy gdzieś razem?”, a ta nieodmiennie odpowiada – i to natychmiast – „Dobrze, tylko kiedy?”, jednak nigdy nie mogą uzgodnić terminu, więc umawiają się na następny tydzień, nie precyzując konkretnie kiedy i gdzie.

Gdyby zajrzeć na jej profil facebookowy, można by się również przekonać, że nawiązuje wiele nowych, cudownych znajomości, przeważnie z ludźmi, których konta są zablokowane, a zdjęcia niewyraźne; spotyka się z nimi w barach wegańskich, spa ze zdrową żywnością czy ośrodkach medytacyjnych przy Jefferson Avenue w Bushwick, a oni potem wstawiają na jej ściankę długie życzliwe komentarze, jak miło było im zobaczyć się z nią poprzedniego wieczoru i że już nie mogą się doczekać, kiedy znowu się z nią umówią!

Są także jej zdjęcia.

Trzeba przyznać, że nie tak często jak dawniej (okazuje się, że niełatwo jest opanować Photoshopa), a wiele z nich jest zamazanych albo źle wykadrowanych, albo też jest na nich

odwrócona i w pewnej odległości, zawsze jednak bardzo starannie ubrana (można to przypisać jej naturalnej skłonności do pozowania; nawet na trzeźwo nosi te same kiecki, które nosiła po pijaku). Pojawiają się raz po raz, a wtedy wszyscy je lajkują, komentując, jak świetnie ostatnio wygląda.

Jednocześnie informuje rodziców, że u niej wszystko idealnie. Pisze:

„Drodzy Mamo i Tato!

Mam nadzieję, że czujecie się dobrze. Zgoda. Niedługo wrócę na studia. Moja powieść jest już prawie gotowa. Potrzebuję jeszcze tylko trochę czasu. Chciałabym ją skończyć i złożyć w agencji literackiej. Abyście uwierzyli w moje zdolności i determinację, chętnie prześlę Wam próbkę, fragment rozdziału”. (Louise liczy, że Lavinia nie będzie musiała tego robić, ale jest przygotowana i na taką okoliczność).

Dalej sprytnie przekonuje, że przerwę w studiach – a co za tym idzie, w CV – najlepiej wytłumaczy wydana powieść.

Udaje jej się ich udobruchać. Odpisują, że dają jej jeszcze jeden semestr na skończenie książki, ale nie więcej.

Piszą, że w jej ukochanym Paryżu jest bardzo ładnie o tej porze roku.

I upominają delikatnie, ale stanowczo, żeby nie przynosiła im wstydu w towarzystwie. Wyrażają nadzieję, że nie nosi tych swoich śmiesznych ubrań. Jest przecież taka piękna – zbyt piękna, aby szpeciść takie ciało, takie włosy i taką twarz dziwacznymi, groteskowymi strojami, w których tylko staje się obiektem drwin.

Zaznaczają, jakie to ważne, aby dawała Cordelii dobry przykład.

Bo – choć nie piszą tego wprost, wyraźnie dają do zrozumienia – jej siostra ma jeszcze przed sobą przyszłość.

Jasne, są pewne trudności.

Jak to na przykład, że Louise może wychodzić z domu tylko bardzo wczesnym rankiem albo bardzo późnym wieczorem – wtedy, kiedy pani Winters albo inni, mniej wścibscy sąsiedzi raczej nie otwierają drzwi i nie rozglądają się po korytarzu. Lavinia, płacąc kartą kredytową, zamawia posiłki za pośrednictwem Seamless – zawsze w innej restauracji – i odbierając dostawę, tylko lekko uchyla drzwi. Jak to, że kilka razy w tygodniu Louise musi zrobić sobie selfie w taki sposób, żeby nie było widać jej twarzy, co oznacza konieczność wielogodzinnego kręcenia włosów lokówką i na palcach, a następnie układania ich tak, aby zwinięte w drobne loczki sprawiały wrażenie długich i niesfornych. Jak to, że stale powinna wysyłać esemesy – do Mimi, do Cordelii – pisząc cudownie niejasno i podając artystyczne, ekscentryczne powody, dla których nie chce albo nie może przyjechać na koniec lata do Paryża ani na występ siostry w roli Antygony do Exeter we wrześniu, ani pójść do tego niesamowitego muzeum figur woskowych i wypchanych zwierząt w brooklyńskim kinie, do którego Mimi chce się wybrać w październiku. Jak to, że w mieszkaniu pęka rura i Louise naprawia ją przez całą noc, korzystając z wygooglowanych instrukcji, aby Lavinia nie musiała dzwonić do administracji.

Radzi sobie jednak z tym wszystkim.

Początkowo mówi sobie, że to tylko tymczasowe. Stara się oszczędzać wszystkie pieniądze, które wypłaca z konta Lavinii. W sklepiku niedaleko Uniwersytetu Nowojorskiego kupuje fałszywy dowód tożsamości na nazwisko Elizabeth Glass (lat dwadzieścia trzy), ze zdjęciem przeciętnie ładnej białej dziewczyny o rudych włosach, do której mogłaby się upodobnić; trzyma go, razem z workiem marynarskim i kompletem ubrań, u stóp łóżka, na wypadek gdyby nadszedł dzień, w którym wszystko by się zawaliło. Tyle że na razie taki dzień nie nadchodzi.

W gruncie rzeczy Louise nigdy nie wiodło się lepiej.

Znowu pisuje do „Fiddlera” (teraz, gdy nie musi udzielać korepetycji, stać za barem ani obsługiwać strony internetowej i tylko korzysta z konta Lavinii, ma dużo wolnego czasu). Pisze recenzje książek i eseje o Devonshire. Gavin namówił ją, żeby przedstawiła w formie opowiadania, jak udawała uczennicę szkoły z internatem, bo ta historia bardzo się podobała na urodzinach Hala, więc idzie za jego radą i wszyscy w internecie także uważają, że to przezabawne. A potem zaczyna drukować swoje teksty w papierowym wydaniu pisma, bo po imprezie u Hala idzie z Gavinem na przyjęcie urodzinowe Indii w SoHo House i tam poznaje redaktora naczelnego; jest nim, tak się składa, ojciec Indii, który daje jej swoją wizytówkę i mówi: „Skontaktuj się ze mną mailem”. Publikuje zarówno w „The New Misandrist”, jak i „Misandry!”, mimo że ich wydawcy ze sobą nie rozmawiają. Pisze opowiadanie o złodzieju dzieł sztuki, który kradnie obraz, ale dochodzi do przekonania, że to falsyfikat; kiedyś wpadły na taki

pomysł z Lavinia, przy odtwarzanym na cały regulator Wagnerze, i Louise nie może sobie przypomnieć, która z nich to wymyśliła – a może obie – ale tak naprawdę to przecież nie ma znaczenia. Wysłała ten tekst do „The Egret”, czasopisma literackiego, w którym jest na stażu Beowulf Marmont.

Stara się myśleć o tamtych wieczorach, kiedy razem z Lavinia piły na kanapie; gdy Lavinia chwyciła ją za nadgarstek i mówiła: „Będziemy sławne, Louise, ty i ja”, a ona odpowiadała „Tak, tak” i wierzyła w to.

Zaczyna recenzować dla „Fiddlera” przedstawienia operowe, spytawszy Gavina, czy może, i dostaje darmowe bilety dla prasy.

Czasami wydaje jej się nawet, że Lavinia nie umarła.

Czasami o tym zapomina.

Czasami, w ramionach Rexa, kiedy on ją całuje i wymyśla dla niej nowe czułe przydomki, Louise zaczyna wierzyć, że wszystko, co publikuje w internecie Lavinia, jest prawdziwe.

„Teraz czyta Ednę St. Vincent Millay” – myśli.

„Teraz parzy czekoladowo-orzechowo-kokosowo-szafranową herbatkę i rozlewa ją przy tym”.

„Teraz bawi się, nie pijąc alkoholu, ze swoimi wspaniałymi przyjaciółmi na wspaniałym przyjęciu”.

„Teraz się uśmiecha: to piękny, zniewalający uśmiech”.

Widzi to wszystko, kiedy zamyka oczy.

Rankami, jeśli Rex nie ma zajęć na uczelni, idą na śniadanie do Mud kilka kroków od jego mieszkania, zamawiają wielką jajecznicę i trzymając się za ręce, rozprawiają o tym, co mają tego dnia do

zrobienia. Louise mówi, że ma jakieś korepetycje, przechodzą więc przez Tompkins Square Park i wskazują wszystkie psy, które ich zdaniem są urocze, a Rex opowiada o swoich studiach. Louise nocuje u niego co najmniej cztery razy w tygodniu (on, rzecz jasna, nie może nocować u niej) i nazywa to „dawaniem Lavinii przestrzeni”, a co najzabawniejsze, a może nie najzabawniejsze, ale naprawdę ją porusza – on w to wierzy.

Jest tylko jeden drobny szczegół.

Rex nigdy nie wspomina o tamtej wiadomości na poczcie głosowej.

Właściwie nigdy nie mówi o Lavinii.

Louise wymyśla składniowe łamańce, żeby także nie wypowiadać jej imienia, i często, opowiadając, co robiła danego dnia, rzuca: „Och, no wiesz, to co zwykle”. Rex nigdy nie zadaje jej żadnych pytań.

Według niej to dziwne, że jest taki powściągliwy, zwłaszcza że wcześniej miał straszne poczucie winy, więc czasami próbuje nawiązać do Lavinii, nie mówiąc o niej wprost.

– Dobrze jest zamykać sprawy, nie sądzisz? – zagaja, opowiedziawszy mu w gruncie rzeczy bardzo zabawną historię o facecie, który kiedyś wystawił ją do wiatru, a dwa lata później ona wystawiła jego w Prospect Parku.

Rex się uśmiecha, kiwa głową, ściska ją za rękę, ale nie mówi tego, co chciałaby usłyszeć.

Jeśli się nad tym zastanowić, Lavinia powraca w rozmowie tylko raz, gdy któregoś wieczoru Louise grzebie w swojej torebce

i wypadają z niej klucze od mieszkania.

– Więc ci je dała?

Ton, jakim Rex o to pyta, wytrąca ją z równowagi, bo brzmi w nim taki szacunek. Nawet teraz.

– Zrobiła duplikat – wyjaśnia Louise jak gdyby nigdy nic, jakby Lavinia była całkiem normalną osobą, tylko trochę neurotyczną, która potrzebuje jedynie terapii i nie może im zaszkodzić.

I jeszcze jeden drobiazg. Równie mały.

Rex odblokował Lavinie na Facebooku.

I teraz pokazuje się u niej wśród „osób, które możesz znać”, tak że gdyby chciała, mogłaby wysłać mu zaproszenie.

Ale nie chce.

Louise nie jest zazdrosna. Nie musi. Są z Rexem szczęśliwi. Nie mogłaby być dla niego lepszą dziewczyną. Ponieważ przeczytała wszystkie jego listy do Lavinii, wie, że lubi pikniki, więc latem, a potem we wrześniu urządzą ich wiele. Lubi też jazz, dlatego idą na Jazz Age Lawn Party i co parę tygodni chodzą do Zinc Bar w West Village. Znając jego upodobanie do kuchni koreańskiej, na urodziny w październiku robi mu niespodziankę i zabiera go do tej fantastycznej ekskluzywnej restauracji w Hell's Kitchen. Choć jest tam bardzo drogo, sama płaci – upiera się przy tym – bo minęło już tyle czasu i myśli, że może nie będzie musiała zwinąć się nazajutrz, w tym albo następnym tygodniu.

Stara się nie myśleć za dużo o jego minie, kiedy zaproponowała, żeby poszli razem do Neue Galerie, ani wyrazie oczu, gdy przyszła na przyjęcie u Hala w sukience Lavinii.

Tyle że czasami – niezbyt często, czasami – Rex robi albo mówi coś, co podsuwa jej podejrzenie, że nie zapomniał o Lavinii. Rzuca coś z pozoru zwyczajnego – jak kiedyś na targu w Chelsea, że lubi dżem brzoskwiniowy – a wtedy Louise przypomina sobie (bo przecież przeczytała wszystkie jego listy), że kiedyś właśnie tam, we francuskiej kafejce o nazwie Bergamot, jadł z Lavinią taki dżem, i zastanawia się, czy teraz, trzymając ją za rękę, przytykając usta do jej czoła czy ramienia, nie myśli o tamtej.

Jak wtedy, wczesną jesienią.

Jest piękna październikowa niedziela i Rex właśnie rozpoczął drugi rok studiów doktoranckich. Siedzą w jego mieszkaniu i trochę się nudzą (kochali się już, wypili piwo i obejrzelili na Netfliksie *Trzeciego człowieka*), Rex wygląda przez okno i rozmyśla nad pracą seminaryjną, a Louise przerzuca płyty, żeby którąś nastawić.

Słuchają muzyki klasycznej, bo Rex ją lubi, a Louise także powoli zaczyna rozumieć.

Leci *Traviata*, a potem Berlioz i Chopin. Louise w małej kuchni zmywa naczynia. Wyciera z blatu ślady po zamówionym kimchi.

Nawet nie myśli o Lavinii. Jeśli pozwala sobie o niej myśleć, to tylko tak jak wszyscy inni (o wchodzącej w czwarty miesiąc abstynencji, zapoznającej się z mityczną twórczością Simone Weil). Nie zastanawia się nad tym, co zrobiła, i wychodzi jej to na dobre.

Kiedy więc gra muzyka, atmosfera staje się leniwa, mroczna, żalobna i romantyczna. Rozbrzmiewają te trzy nuty, które przypominają trochę zawodzenie. Louise początkowo się wydaje, że zna tę melodię, chociaż nie pamięta skąd, i nawet potem, gdy

powoli, z każdym taktem, coraz bardziej się upewnia, że to *Marzenie senne numer 3* Liszta, nie wpada w panikę. Dźwięki pianina wznoszą się i opadają, raz pogodniejsze, raz posepniejsze, a ona wcale nie myśli: „Rex i Lavinia stracili dziewictwo w motelu niedaleko Flatironu, mając w pamięci ten utwór” (a może, może, może jednak myśli), w każdym razie, widząc twarz Rexa, nie wypowiada tego na głos.

Jest bardzo, bardzo blady. Przygryza wargę.

Wygląda – przychodzi jej na myśl – jakby ujrzał ducha.

– Louise?

Całkiem dobrze udaje, że nie jest poruszony. Ale ona potrafi przejrzeć go na wylot.

– Możemy wyłączyć tę muzykę?

– Jasne – odpowiada.

Staje w drzwiach kuchni. Obserwuje go. Widzi, jak Rex się wierci, patrzy na ekran laptopa i loebowskie wydanie *Medei*, a potem znowu podnosi wzrok, spogląda na wieżę i jeszcze bardziej blednie. Louise jednak, chociaż czuje w żyłach gwałtowny przypływ adrenaliny i myśli ze strachem, że już nigdy nie będzie mogła zasnąć, nawet nie drgnie.

Ma wrażenie, że ten bezruch daje jej dziwną, niezdrową siłę. Jakby coś mu udowadniała.

– Na miłość boską!

Pierwszy raz Rex się na nią irytuje.

– Co się stało?

– Nic. Nic. Tylko... usiłuję pracować, rozumiesz?

Louise chwyta w lot i szybko podchodzi do wieży.

– Już dobrze – mówi. I wyłącza muzykę.

Oczywiście Rex nie kocha Lavinii. Już tyle czasu nic do niej nie czuje, ucieka przed nią, rusza dalej.

Dlatego właśnie jako obiekt miłości wybrał jej współlokatorkę, która nie ma z Lavinią nic wspólnego.

– Dziękuję – mówi, kiedy muzyka milknie.

Całuje ją w czoło.

– Jesteś cudowna – dodaje.

A ona odpowiada:

– Ty też.

Zdziwilibyście się, jak szybko płynie czas, ot tak, po prostu. Kiedy się nie pracuje, tylko pisze kawałki dla „Fiddlera”, „The Egret” i różnych wersji „Misandry!”. Kiedy w nocy tuli się do czyjegoś boku. Kiedy rano chodzi się na zajęcia sportowe jako dziewczyna, którą się zabiło.

Ale znacie, znacie już Louise. Zawsze, zawsze w końcu coś chrzani.

Oto jak do tego dochodzi.

Louise wciąż od czasu do czasu używa karty kredytowej Lavinii. To już wiecie. Bywa w miejscach, gdzie bywa Lavinia, i pokazuje się tam ubrana jak ona (na wszelki wypadek), umalowana jak ona, w jej okularach przeciwsłonecznych.

Jednak pewnego wieczoru w grudniu ogarnia ją lenistwo. Jest zmęczona, ma ochotę na drinka i gryzie się tym, że Rex chce obejrzeć z nią *Powrót do Brideshead*, a przecież zna Lavinie na tyle

dobrze, aby wiedzieć, jak uwielbiała tę powieść, więc zamiast pójść do wegańskiego baru albo gdzieś, gdzie herbata kosztuje niebotyczną sumę, Louise idzie, znowu, do Bemelmans, aby doczekać pory, kiedy nie będzie musiała się martwić, że pani Winters zobaczy ją wchodzącą do mieszkania, i podaje Timmy'emu kartę (pamiętajcie, że minęły już cztery miesiące i nikt nie zauważył, że Lavinia nie żyje, więc może, może nikogo to tak naprawdę nie obchodzi).

Siedzi sama w barze. Wypija jedno prosecco, potem drugie. Ma na sobie sukienkę Lavinii, tę z lat czterdziestych, małą czarną z krepy, aksamitne bolerko ze złotym haftem na podkreślonych poduszkami ramionach, także z lat czterdziestych, i czarny słomiany kapelusik z żonkilem; do tego usta pomalowane burgundową szminką Lavinii – bardzo do niej pasuje – i jej perfumy, choć nic nie uzasadnia potrzeby, żeby pachnieć jak zmarła osoba, zwłaszcza że są na wyczerpaniu. Pije, dopóki nie jest na tyle znietrzeźwiona, aby zmierzyć się z myślą o powrocie do domu.

– Ej, kochanie! – Athena rzuca białe futro na sąsiedni stółek barowy. – Niesamowite, że cię tu widzę.

Sadowi się obok niej, nie pytając o pozwolenie.

– Kopę lat, jasny gwint! – Zostawia smugę podkładu na policzku Louise, w miejscu, gdzie ją całuje.

Louise mamrocze coś w odpowiedzi.

– Jesteś tu z nią?

– Chciałabym! – Wzrusza ramionami, jakby przychodziło jej to bez trudu (prawdę mówiąc, z czasem przychodzi coraz łatwiej). – Mówi, że nie będzie pić aż do Nowego Roku.

– Chryste Panie... ja bym umarła! Mam nadzieję, że ją namówisz, aby sobie łyknęła na imprezie w MacIntyre.

– Może wtedy zrobi wyjątek – odpowiada Louise.

– Rany, spójrz tylko na siebie... jesteś taka chuda, że martwię się o ciebie!

– Dzięki.

– Mam gówniane życie – ciągnie Athena. Zamawia dla nich kolejkę. – Flirtowałam z tym gościem w sieci przez parę miesięcy. A tu się okazuje, że jest niższy ode mnie! Możesz w to uwierzyć?

– To znaczy...

– Mężczyźni! – kwituje Athena. – Wszyscy są tacy sami. Co do jednego.

A potem barman przynosi rachunek.

– Williams? – pyta, podsuwając Louise kartę na blacie.

„I teraz nastąpi koniec świata” – myśli ona.

Athena i Louise patrzą na siebie. A później spoglądają na kartę, czarną, z wytłoczonym imieniem i nazwiskiem „Lavinia Williams”.

Athena uśmiecha się krzywo.

– Hm – rzuca.

– Mogę to wyjaśnić...

– Nie jesteś za sprytna?

„Zachowaj spokój – napomina się Louise. – Z tym też dasz sobie radę”. Przecież zawsze, zawsze daje sobie radę.

– Właściwie... – zaczyna, przywołując Tommy’ego skinieniem głowy (nie patrzy na Athenę) – dlaczego miałybyśmy się jeszcze nie napić?

Z powrotem przesuwa kartę po blacie.

– Może taittingera? – dodaje.

Athena uśmiecha się tak szeroko, że brudzi sobie zęby szminką.

– No, no – komentuje.

– Do dna. – Louise opróżnia swój kieliszek tak, jak robi to tamta, nawet się nie krzywiąc. – Lavinia jej nie używa. – Kiedy dostają szampana, wznosi toast. – Mówiłam ci. Jest nie w sosie. Kładzie się do łóżka o ósmej.

Athena prychnęła.

– Ale wiesz co? – mówi. – Lepiej uważaj. Ona się połapie... prędzej czy później.

– Sądysz, że przegląda wyciągi?

– Może robią to jej rodzice.

– To nie moja wina – kontynuuje Louise całkiem spokojnie. – Stale gubi portfel. Gdybym nie trzymała jej kart, zostawiałaby je w każdym barze. Zeszłego wieczoru zapomniała swojego amexa w aptece.

– Nawet na trzeźwo? – Athena unosi brew.

– Tak – potwierdza Louise. – Nawet na trzeźwo. – Unosi kieliszek. – Za zapobiegawcze dziewczyny! – mówi do Atheny. – Do dna.

Athena wypija szampana na raz.

– Za zapobiegawcze dziewczyny – powtarza.

– A przy okazji – podejmuje Louise. – Chyba chciałaś pójść do opery, dobrze pamiętam?

Athena uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Wybieram się jutro na *Carmen*, z Rexem i Halem. Mamy

dodatkowy bilet. – To nieprawda, ale przecież Louise dysponuje kartą kredytową. – Hal potrzebuje kogoś do pary.

– Jasna sprawa – odpowiada Athena. – Ma dziwne usta. I jest opóźniony w rozwoju.

– Nie masz ochoty pójść?

– Pójdę – kwituje Athena.

Prosząc o rachunek, Louise przełyka ślinę.

I płaci.

„Pora się zbierać” – myśli. Nie da się ciągnąć tego dłużej (jeśli zaczną coś podejrzewać, wytropią karty kredytowe; Athena się wygada; ona zawsze gada). Ale wkrótce ma ukazać się drukiem jej opowiadanie dla „Fiddlera”, poza tym Gavin mówi, że zostanie zaproszona na coroczną imprezę dobroczynną z okazji ogłoszenia Piątki przed Trzydziestką, w MacIntyre odbędzie się przyjęcie halloweenowe, na które chciałyby pójść, a Rexowi udało się zarezerwować stolik w Babbo i napisał jej w esemesie, że za nią tęskni i że chciałyby mieć ją co noc przy boku.

„Jeszcze tylko kilka dni – myśli Louise. – To wszystko”.

Miejsce na parterze kosztuje tuż przed spektaklem dwieście sześćdziesiąt dolarów. Louise jednak za nie płaci.

Lavinia zamieszcza w internecie obszerną refleksję na temat pozycji w jodze – na wszelki wypadek.

Rex, Louise Athena i Hal idą do opery.

Spotykają się w Boulud Sud godzinę przed spektaklem. Athena od razu podaje Halowi rękę i ściska mu dłoń tak mocno, że ten aż

się krzywi.

– Jestem Nathalie. – Uśmiecha się szeroko.

Nie mówi już ze swoim nowojorskim akcentem.

Louise uświadamia sobie, że nie znała jej prawdziwego imienia.

– Miło mi – odpowiada Hal. Wykazuje się spóźnionym refleksem: – Czy my się już nie znamy?

(Znają się, rzeczywiście; Athena występowała w P.M., ale teraz jest mniej umalowana i ma na sobie więcej ciuchów).

– To co, Hal? – Athena zamawia butelkę szampana, zanim którekolwiek z nich zdąży coś powiedzieć. – Masz jakieś fobie?

– Słucham?

– No, boisz się węży albo czegoś innego?

Wspiera brodę na dłoni. I patrzy mu prosto w oczy.

On wzrusza ramionami.

– Nie lubię Eurostara – odpowiada. – Zbyt długie przebywanie pod ziemią odbiera nam człowieczeństwo. Sprowadza nas do poziomu zwierzęcia.

– To co powiesz na metro?

– Nie korzystam z niego.

Athena ryczy ze śmiechu.

– Ja tam się boję trzech „ś” – wyjaśnia. – Śmierci, śmierci i jeszcze raz śmierci.

– Jesteś urocza – zauważa Hal.

Jakie to miłe, myśli Louise, wymieniać z Rexem takie spojrzenia, jakie wymieniają tego wieczoru. Jakby mieli jakiś wspólny sekret.

Rose fotografuje ich czworo do „Last Night at the Met”.

Zdjęcie ukazuje ich razem, stojących na wielkich schodach ramię przy ramieniu; wszyscy wyglądają pięknie.

Louise zna tę sopranistkę. Widziała Leonorę do Rosina w *Cyruliku sewilskim*. Wie, kiedy wołać *bravo*, *brava*, a kiedy *bravi*.

Trzymają się z Rexem za ręce. Jej włosy muskają jego ramię. Muzyka jest piękna, mroczna i smutna, i za każdym razem, gdy narasta, Louise się zastanawia, czy Rex myśli o chwili, w której słyszał ją pierwszy raz.

Później jadą do mieszkania Henry’ego Upchurcha w Dakocie, bo Hal chce, żeby spróbowali drogiej whiskey, którą kiedyś kupił Henry Upchurch i – jak podejrzewa Louise – raczej nie życzyłby sobie, aby mu ją wypili.

– Naprawdę powinnaś go poznać przy jakiejś okazji – mówi do niej Hal, kiedy stają we czwórkę pod portretami. – Przypadłabyś mu do gustu. Uwielbia historie o stawaniu na własnych nogach. Był ich wielkim kronikarzem. To znaczy historii innych ludzi, ale mimo wszystko. – Szczerzy się. – Dobrze by ci to zrobiło, mała Louise... jeśli chcesz nadal uprawiać to całe pisarstwo.

Athena rzuca jej znaczące spojrzenie.

– No, no, no – mamrocze.

Wychyla whiskey, jakby to był szot.

– Ładne masz mieszkanko, Hal.

– Wiem – odpowiada on.

Nie wylewają za kołnierz. Piją whiskey Hala, potem Henry’ego, potem szkocką i gin, bo alkohol ich rozluźnia, i chociaż niczego

konkretnego nie świętują i nawet nie piją, żeby o czymś konkretnym zapomnieć, w końcu tak się upijają, że Athena pokazuje to, co czasami odstawia na scenie, i Hal zrywa się na nogi.

– To tam cię widziałem! – woła z szerokim uśmiechem. – A niech to... wiedziałem, że skądś cię znam. Oglądałem twoje cycki.

Louise gwałtownie wciąga powietrze.

– W P.M., prawda?

– Broń Boże – zaprzecza Athena. – Już tam nie pracuję.

Sukinsyny chcieli mi rąbnąć napiwki.

Nalewa sobie kolejnego drinka.

Hal tylko się śmieje.

Rex i Louise także wybuchają śmiechem.

O trzeciej Hal wyjmuje modafinil, żeby nie posnęli. Pokazuje im wszystkie zdjęcia z uroczystych kolacji, na jakich miał okazję bywać. Przedstawiają wyłącznie etykiety win.

Żadnych ludzi. Tylko wina.

– Chcę się umówić z Indią – wyznaje nikomu w szczególności. –

W przyszłym tygodniu zaproszę ją do Mimi. – Kładzie nogi na stoliku do kawy.

– Spójrz na siebie – komentuje Rex. – Poważniejesz.

– Proszę – odpowiada Hal. – Nigdy się nie ożenię. – Kruszy następną pigułkę i wciąga ją przez nos.

U nosa wisi mu smark. Nie wyciera go.

– Wiecie, czego oczekiwałbym od żony?

Zwraca się w stronę Atheny. Obejmuje ją ramieniem.

– Że będziemy rozmawiać tylko o zawartości porannej gazety, kształceniu dzieci i absolutnie o niczym więcej. Co wy na to?

Pod nosem wciąż ma gluta.

Rex wyjmuje chusteczkę z kieszeni na piersi. Hal nie zwraca na to uwagi. Zapala wielkie kubańskie cygaro i wydmuchuje dym prosto w twarz Louise.

– Powinna też mieć patrycjuszowski nos. Upchurchowie przejawiają słabość do patrycjuszowskich nosów. Żona Jeremiaha... piękna kobieta, z Havemeyerów... miała delikatny zadarty nosek... popatrzcie! – Wskazuje cygarem inny, mniejszy portret. – Zbliża się epoka eugeniki. – Podchodzi do wieży. Nastawia Wagnera. To *Tristan*. – Uwielbiam ten fragment – stwierdza i czy to za sprawą wina, whiskey czy modafinilu, który zażyli, Louise myśli: „Już to wszystko kiedyś robiliśmy”.

Po raz pierwszy jest niemal znudzona.

„Nie ma niczego, niczego, czego by mi nie odebrała” – myśli.

Jest czwarta.

– Cholera – mówi Hal. – Cholera jasna! Zamknijcie się wszyscy!

– Co cię ugryzło w dupę? – Athena zaciąga się dymem jego cygara.

– W Pekinie jest teraz trzecia.

– Co?

– Trzecia po południu... Chryste. – Hal chrząka ostentacyjnie. – Muszę zadzwonić służbowo. Mój szef to Bardzo Wielki Człowiek. Nazywa się Octavius Idyllwild.

Athena sarka.

– Może o nim słyszeliście.

– Jasne – odpowiada ona.

– Kursuje pomiędzy Nowym Jorkiem a Cotswolds. Ma kolekcję klasycznych samochodów. On i jego żona są w tym samym wieku... wyobrażacie sobie? – Wybiera numer telefonu. – Posłuchajcie.

Louise i Rex siadają, Athena siada i razem słuchają, jak Hal rozmawia z Octaviusem Idyllwildem o arkuszach kalkulacyjnych; na początku Louise sądzi, że to ma być śmieszne, że Hal w roli Hala ma ich rozbawić, ale gdy mija dziesięć minut i wciąż przysłuchują się w milczeniu, jak starszy i bardzo elegancki Brytyjczyk peroruje przez głośnik o przepisach dostosowawczych, a Hal najwyraźniej nie zamierza mu przerwać, dociera do niej, że to nie jest żaden dowcip.

– Nie zdradzaj Alexowi Eliasowi żadnych danych – mówi Hal. –

To cholernie niekompetentny facet i wypadałoby, żeby już zdał sobie z tego sprawę.

Wskazując telefon, szczerzy się do nich i puszcza oko, jakby chciał powiedzieć, że wszyscy powinni go podziwiać.

Cała trójka na niego patrzy.

– Henry – mówi Octavius Idyllwild. – Uważaj na język.

– Cholera, nie ma nic gorszego niż niekompetentny podwładny – ciągnie Hal. – Nic, cholera.

Mruga do Louise.

– Język, Henry.

Wreszcie Hal kończy rozmowę.

– Spójrzcie – mówi. Za oknem już świta. – Tego rodzaju faceci... no, naprawdę. – Prycha. – Ale nie przejmujcie się mną. Jestem tylko zwykłym kołesiem.

Zwraca się do Atheny.

– Nie chcę od życia niczego – oznajmia. – Czy to nie wspaniałe? – Kładzie jej rękę na kolanie. – Tylko pięknej kobiety, szklaneczki porządnej whiskey i jakiegoś nazisty w radiu. To wszystko.

Rex i Louise patrzą na siebie znacząco.

– Nie jestem jak Rex – ciągnie Hal. – On to romantyk. Kobiety go uwielbiają. Tylko spójrz na te wielkie piwne oczy... czy nie są urocze? Nie wydaje ci się urzekający?

Athena wzrusza ramionami. Odsłania w uśmiechu wszystkie zęby.

Hal nie przestaje tokować:

– Nie to co ja. Wiem, kim jestem. Jestem... stoikiem. Nic nie czuję. – Na dowód uderza się w pierś. – Jakie jest twoje zdanie, kotku? Którego z nas byś wolała?

Pochyla się ku niej.

– Nie jesteś kobietą, z którą bym się ożenił – rzuca. – Ale stać cię na więcej niż obciążanie fiuta facetom z Tindera.

Athena daje mu w twarz.

To taki mocny, niespodziewany policzek, że Hal wręcz odskakuje do tyłu; upuszcza whiskey, która wylewa się na wyściełaną kremową kanapę Henry'ego Upchurcha i ścieka na jego orientalny dywan.

– Cholera! – rzuca. – Szlag, szlag, szlag!

Aż blednie.

– Skurwysyny! – Rzuca pustą szklanką na drugi koniec pokoju.
Ta trafia w kominiek i rozbija się w drobny mak.

– Co ci odbiło, do cholery?

Zamierza się na Athenę. Louise przez chwilę ma wrażenie, że uderzy dziewczynę w twarz.

– Co ci odbiło, do jasnej cholery?!

– Hal!

Interweniuje Rex. Lekko kładzie Halowi dłoń na ramieniu, jakby wiedział, co robić, jakby robił to już niejedyn raz.

– Czy twój alfons niczego cię nie nauczył?

Kiedy Athena wstaje, góruje nad nim.

– Nie wiesz, jak się zachować w gościach? – Pod nosem wciąż ma gluta.

I zaczyna płakać.

– Wychodzę stąd – oświadcza Athena.

Mówi bez akcentu; to dla niej coś nienaturalnego, uświadamia sobie Louise.

Athena zwraca się do niej. Cmoka ją w policzek.

– Następnym razem – szepcze – po prostu daj mi forszę.

Wychodząc, zabiera ze sobą resztki whiskey w butelce.

Hal na czworakach z całej siły trze zamsz.

Rex chce mu pomóc.

– Nie ruszaj tego – powtarza Hal. – Do cholery, Rex... nie ruszaj tego... jeszcze pogarszasz sprawę.

Louise wie, co zrobić.

Z kredensu Henry'ego Upchurcha wyjmuje białe wino.

– Na miłość boską... przecież to dziwka, no nie?

Louise nie odpowiada. Szoruje kanapę.

– To nie ja jestem tu dupkiem!

Udaje jej się usunąć plamę.

Wtedy Hal się uśmiecha jak gdyby nigdy nic.

– Widzicie? – zagaduje. – Do tego potrzebna jest kobieta. One wiedzą co i jak. Szczęściarz z ciebie, Rex, że masz kogoś takiego.

Siada na kanapie. I znowu kładzie nogi na stoliku do kawy.

– Tak naprawdę nie byłem wcale wściekły – rzuca. – Tylko udawałem.

Nikt nic nie mówi.

– Mężczyzna czasami musi udawać wściekłość. Aby ludzie wiedzieli, że nie ujdzie im na sucho.

Louise wrzuca zużyte papierowe ręczniki do zlewu w kuchni.

– Wyświadczyłem jej przysługę – ciągnie tymczasem Hal. – Bo następnym razem... zaplamiałaby coś naprawdę wartościowego. Jeśliby nie uważała. Przynajmniej czegoś się nauczyła. Teraz może złapać bogatego męża. – Chichocze pod nosem. – Nazywam to *kumples oblige*. – Patrzy na Louise. – Wiesz, jak to działa, co, mała? – Klepie plamę, którą wywabiała.

Louise się czerwieni.

Spogląda na Rexa – czeka, żeby coś powiedział, żeby się sprzeciwił, stanął w jej obronie. Ale on tylko uśmiecha się smutno, wyrozumiale.

– Kiedyś będzie z ciebie dobra żona – rzuca Hal.

– Dzięki – odpowiada Louise.

Jadą z Rexem windą. Jest już rano.

Louise nie wie, dlaczego jest na niego taka zła.

– O co chodzi?

Rex ją obejmuje. Całuje w czoło. Ona jednak cofa się mimo woli.

– Co się stało?

Louise powoli wypuszcza powietrze.

– Nie powinien był tak do niej mówić – odpowiada, gdy idą Central Park West.

Nie jest do końca pewna, dlaczego ujmuje się za Atheną. Przecież nawet jej nie lubi. Athena ją szantażuje.

Niemniej jest zła.

– Taki jest Hal – odpowiada Rex. – Co można na to poradzić?

– Nazwał ją dziwką!

– Żartował... wiesz, jak to z nim bywa.

– Oj, wiem. To dupek!

– Nie znasz go dobrze – kwituje Rex. A potem dorzuca: – Poza tym nie daje się ludziom w twarz!

– Dlaczego nie?

– Bo... – Rex wzdycha. – Tak się nie robi i już.

– Lavinia by zrobiła.

Nie zamierzała tego mówić.

Już od długiego czasu nie wspominała o Lavinii.

O dziwo, dobrze jest wypowiedzieć jej imię.

Rex wygląda tak, jakby właśnie wymierzyła mu policzek.

– Przepraszam – mówi Louise. – Przepraszam, nie chciałam...

„Ależ to głupie z twojej strony – myśli – przypominać mu o niej w takiej chwili”.

– Masz rację – odzywa się Rex. Wydaje się, że to ledwie przechodzi mu przez gardło. – Tak by zrobiła.

Zatrzymuje taksówkę. Nie zaprasza jej do środka.

– Po powrocie do domu powiedz jej... – Przełyka ślinę. – Powiedz jej, że ją pozdrawiam.

Zostawia Louise samą na ulicy i odjeżdża taksówką.

Louise wraca do mieszkania przez Central Park.

I myśli: „Gdyby była tu Lavinia, śmiałyby się ze wszystkich” – z Rexa i jego tchórzostwa, z Atheny ze szminką na ustach, jej zanikającego akcentu i trzech „ś”, „śmierci, śmierci i jeszcze raz śmierci”, z Hala („totalnego egocentryka!”, jak go kiedyś nazwała), jak tamtej nocy w High Line, kiedy symbolicznie spaliły ten świat, kiedy były boginiami.

Czasami bardzo jej brakuje Lavinii i nie cierpi tego u siebie.

Ona i Rex godzą się esemesowo, ale to jedno z tych tymczasowych pojednań – „nie kłóćmy się o to” – z którego żadna ze stron nie jest zadowolona, ani ta, która wyciąga rękę, ani ta, która ją przyjmuje, Rex jednak ma egzaminy semestralne, więc jest dość zajęty, i Louise przyjmuje to niemal z ulgą.

W tych dniach się nie przepracowuje.

Wstaje wcześnie i idzie na szóstą na zajęcia w ClassPass: na jogę, ćwiczenia siłowe, drążek. Rozgląda się przed wyjściem na

korytarz. Unika pani Winters.

Albo w ogóle nie wstaje, leży w łóżku i odpowiada na przychodzące do Lavinii maile, pisze do Cordelii, aby nie martwiła się o test z łaciny, bo przecież jest taka bystra, zda go celująco, że jej przykro, ale nie przyjedzie do Paryża na ferie świąteczne, ma jednak nadzieję, że Cordelia będzie się świetnie bawić i obejrzy wszystkie witraże w kościołach gotyckich na Lewym Brzegu, w okolicach Saint-Germain.

Albo leżąc w pościeli w jasnoniebieskim szlafroku Lavinii, czyta od nowa listy Rexa (Rex nawiązuje do tego szlafroka; któregoś razu pisze, że Lavinia wygląda w nim pięknie).

Albo odbiera telefony od własnych rodziców. Są dumni z tego, jak ładnie wygląda, jaka jest szczupła. Mówią, że skserowali sobie jej opowiadanie, to zamieszczone w „Fiddlerze”; matka zabrała je do klubu książki, gdzie „wszyscy byli naprawdę pod wrażeniem”.

Mimo to matka zwraca jej uwagę, że nie może tak żyć w nieskończoność. W pewnym momencie – oby nie za późno, żeby zacząć od nowa – będzie musiała wrócić do domu.

– Zaraz stuknie ci trzydziestka – ostrzega i przypomina córce, że wkrótce jej płodność zacznie spadać.

Athena w tym tygodniu przysłała jej esemesa:

„Cześć, kotku!

Wygląda na to, że w tym miesiącu nie starczy mi na czynsz. Chyba nieźle Ci się wiedzie, więc może prześlesz mi ze dwieście dolców?

Pomóż kumpelce w potrzebie!

Całusy!”

I Louise pomaga.

Kilka dni później zużywa resztki perfum Lavinii.

Mówi sobie, że są jej potrzebne. Nie może ryzykować.

Któregoś wieczoru jedzie więc do East Village i idzie na Czwartą Wschodnią (zastanawia się, czyby nie zadzwonić do Rexa, nie poprosić, żeby przyjechał, ale tak postępują zdesperowane nachalne dziewczyny, a ona do nich nie należy), do sklepiku z perfumami, w którym Lavinia zamawia swój firmowy zapach, Sehnsucht, według tamtejszej receptury.

Ekspedientka przegląda kartotekę do litery W.

– Wilson?

– Williams.

Wyjmuje kartę. Wybiera olejki: lawenda, tytoń, figa, gruszka. Miesza je.

Zapachy są tam, na miejscu, znacznie silniejsze niż na dnie fiołki Lavinii – gdzie wydestylowane zdążyły się postarzeć. Z każdego słoiczka bije mocna woń.

– Proszę wyciągnąć rękę – komenderuje sprzedawczynie, bo cała rzecz w tym, żeby olejki wymieszać na skórze.

Upuszcza ich krople na nadgarstek Louise, wstrząsa miksturę, a potem turla po wewnętrznej stronie jej dłoni i po karku; zapach jest tak obezwładniający, że przez chwilę Louise myśli: to tylko taki trik, za nią na pewno stoi Lavinia, z ręką na jej ręce, z tatuażem „Więcej poezji!!” przy jej tatuażu. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jaki to silny zapach; musiała czuć go przez cały czas. Może

tylko to sobie uroiła, ale nagle, pośrodku tego sklepienia, wybucha łażami. Ekspedientka odstawia zlewki i pipety, pyta, czy zadzwonić po lekarza, a Louise tylko kręci głową, zamyka oczy i szlocha.

Tego wieczoru nie dzwoni do Rexa.

Boi się wracać do mieszkania, dopóki nie będzie pewna, że pani Winters już śpi, więc pokonuje drogę na piechotę, idzie przez całą Pierwszą Aleję, starając się nie myśleć o tym, że czasami tak samo robiły z Lavinia.

Następnego dnia nie wychodzi z domu. Zamyka drzwi na klucz. W południe zaczyna pić. Opróżniła już większość borku, ale zostało jeszcze trochę taniego ginu, więc wypija go na raz. Jest głodna, ale nie zamawia niczego do jedzenia, bo nie mogłaby w takim stanie otworzyć drzwi. Upija się i traci poczucie czasu (powinna napisać tego dnia opowiadanie do „The Egret”, ale nie jest w stanie).

Zapada zmrok. To wszystko, co do niej dociera. Na dworze jest ciemno, a ona nawet nie zadała sobie trudu, żeby zapalić światło. Nie zadała sobie trudu, żeby włączyć telefon Lavinii. Łatwiej udawać, że go nie ma, że nie istnieje.

Na dworze jest ciemno i wtedy rozlega się dzwonek domofonu.

Louise go ignoruje.

Jeśli to dostawca, który pomylił numer, akwizytor, agent jakiejś firmy czy ktokolwiek, w końcu sobie pójdzie.

Dzwonek rozlega się znowu.

– Chryste Panie.

Znowu, znowu i znowu.

Louise podchodzi do monitora.

To Mimi.

Ma potargane włosy. Rozmazaną szminkę. Szłocha.

– Lavinio! – krzyczy do domofonu. – Lavinio... proszę, wpuść mnie, proszę!

Jest ósma wieczorem. Pora, kiedy sąsiedzi przychodzą albo wychodzą.

– Lavinio! – woła Mimi.

– Cholera!

Louise ją wpuszcza.

Mimi jest w jeszcze gorszym stanie, niż się wydawało.

Tusz do rzęs rozmazał jej się po całej twarzy.

– Przepraszam. – Pociąga nosem. – Dzwonię i dzwonię, od wielu godzin... ale nie mogę się dodzwonić.

– Lavinii nie ma – odpowiada Louise. – Przykro mi.

– Wyszła gdzieś na miasto z nowymi fajnymi przyjaciółmi, co?

– Tak.

– Czy mogę... – Mimi przełyka ślinę. – Czy mimo to mogę wejść?

Przestępuje z nogi na nogę. Ma porwane kabaretki.

Robi z siebie widowisko, stercząc tak na korytarzu.

– Jasne – odpowiada Louise.

Wszystko przez Beowulfa Marmonta.

Mimi sypia z nim od czasu premiery *Romea i Julii*, po której zabrał ją do siebie, mimo że była nieprzytomna, a potem przeleciał. („Gdybym była przytomna – mówi pogodnie – też dałabym mu się przelecieć, więc to nie tak, że mnie wykorzystał”). Pisał do niej

urocze esemesy. Na Burning Man – wyjaśnia – nadali mu nawet ksywkę „Hemingway”, za tak dobrego uważali go pisarza. Chodzi z dziewczyną o sarnich oczach i nie ukrywa tego przed Mimi, co biorąc wszystko pod uwagę, jest z jego strony uczciwe, ale jak powiedział – to cytat z Fitzgeralda – „samotny wspina się najwyżej”, on zaś, Beowulf Marmont, zamierza zdobyć szczyt alpejski. Jeśli ma mieć kogoś przy boku, dodał, to taką osobę jak ona – inteligentną i piękną, o rzadko spotykanej kobiecej urodzie.

– To było głupie – kwituje Mimi. – Ja jestem głupia.

– Wcale nie – zaprzecza Louise.

Dziewczyna brudzi tuszem do rzęs wszystkie poduszki na kanapie.

Louise naląła jej właśnie herbatki imbirowo-szafranowo-ananasowo-szampańskiej. Mimi drżącymi dłońmi podnosi filiżankę do ust.

– Nie chciał tego.

Louise nie może się zorientować, czy Mimi ma na myśli: „Nie chciał powiedzieć, że jestem wyjątkowa”, czy „Nie chciał mnie przelecieć, gdy byłam nieprzytomna”, ale kiwa głową i rozciera chlipiącej Mimi plecy.

– Nie wiem, dlaczego wciąż mi to robi – ciągnie tamta.

Louise wzdycha.

– Nie musisz... – zaczyna. – Nie musisz tego znosić... Nikomu nie powinnaś pozwalać się tak traktować.

– Dlaczego nie? – pyta Mimi i Louise nie wie, co na to powiedzieć.

Mimi przełyka ślinę. Mocno.

– Wiem, co wszyscy o mnie myślą. – Wierzchem dłoni ociera oczy. – Ale jaki mam wybór? Nie kochać tych, których Kocham? – Śmieje się gorzko. – Naprawdę tak powinnam?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Louise.

– Sądziłam, że w porzuceniu jest coś pięknego. Czy nie o tym właśnie mówi ten wiersz? „Niech to ja będę zawsze tym, kto bardziej Kocha”⁷. Ale to nie tak, prawda? Wygrywa ten, komu mniej zależy. – Pociąga nosem. – Czy jej na mnie zależy?

Patrzy szeroko otwartymi oczami, szklistymi od łez.

Louise pragnęłaby ją przytulić.

– Nie – odpowiada. – Pewnie nie.

Mimi mruga powiekami.

– Jak to?

– Lavinii nie zależy na nikim – wyjaśnia Louise. – Dlatego właśnie jest obiektem miłości tych, którzy ją Kochają.

– Na tobie jej zależy.

– Lavinii zależy tylko na niej samej – ciągnie Louise. – I tyle. – Usiłuje wykrzesać z siebie trochę życzliwości. – Zasługujesz na kogoś, komu będzie na tobie zależało – mówi. – Na kogoś, kto będzie cię traktował tak jak ty jego.

– Tak jak każdy – rzuca Mimi. Wzrusza ramionami. – Nie jestem wartością dodaną. Nie „optymalizuję niczyich doznań”... tak kiedyś powiedział mi Gavin. Nie optymalizuję doznań Lavinii i dlatego nie jest mną zainteresowana. Na pewno miał dobre intencje i chciał mi pomóc. Gavin przeważnie ma dobre intencje. –

Pociąga następny łyk herbaty i śmieje się smutno. – Nie jestem taka jak ty, Lulu. – Od dawna nikt się tak do niej nie zwracał. – Nie jestem zbyt bystra. Nie jestem błyskotliwą pisarką.

– Ja też nią nie jestem.

– Ależ jesteś! – Mimi wylewa trochę herbaty na spodek. – Wierz mi... bo wolałabym, żebyś nie była. Pamiętam, że kiedy w „Fiddlerze” ukazało się twoje pierwsze opowiadanie, zaznaczyłam je zakładką, aby się nad nim popastwić. Myślałam, że przynajmniej w czymś okażesz się zła i będę mogła się tym napawać. Ale tamten kawałek o uciekinierach... był piękny! A ten, który napisałeś dla „The New Misandrist”, o mężczyznach poliamorycznych... bardzo mi się podobał.

– Czytałeś go?

Louise nie przypomina sobie, żeby Lavinia czytała któreś z jej opowiadań.

– Czytam wszystko, co piszesz. – Mimi się rozjaśnia. – Wpisałam cię nawet do alertów google’owskich – wyjaśnia – żeby czytać każdą twoją rzecz, gdy tylko pojawi się w sieci. Przepraszam. Chyba jestem stalkerką.

Pewnie tak, ale Louise to nie przeszkadza.

– Napiszesz kiedyś powieść?

– Nie wiem.

– Bo jeśli tak, to ją przeczytam. Założę się, że zostanie wydana.

– Nie byłabym pewna.

– A ja tak!

To, jak Mimi na nią patrzy, z taką wiarą, takim psim oddaniem... podobnie Louise spoglądała kiedyś na Lavinie i teraz nie wie, czy

to znaczy, że Mimi kłamie, czy ona sama mówiła wtedy prawdę, ale o tym nie wiedziała.

– Piszesz lepiej niż Beowulf Marmont – ciągnie Mimi. Dopija herbatę. – I nie mówię tak dlatego, że mnie wykorzystał. To prawda.

– Chodź! – rzuca Louise. Stanowczym gestem odstawia filiżankę na spodek. – Postawię ci drinka.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Zabawmy się jak jednej z tych nocy. Dobra?

Mimi uśmiecha się szeroko.

– Dobra.

Louise proponuje, żeby poszły na swingową imprezę do Hell's Kitchen, bo pamięta, jak Mimi lubi tańczyć, a prawdę mówiąc, sama nie tańczyła już od wieków, odkąd bawiły się razem z Lavinia. W „Urban Foxes” z tego tygodnia pisali o urządzonym na wzór londyńskiego metra z okresu Blitzu barze, w którym serwują koktajle w utylizowanych puszkach po groszku. Mimi jednak woli omijać okolice Times Square, zwłaszcza po niedawnych atakach w Paryżu, więc Louise zabiera ją do Brandy's, gejowskiej knajpki z pianinem, o ścianach wyłożonych panelami, niedaleko, przy bocznej uliczce w Yorkville; podają tam drinki po dziesięć dolarów, a gej przy pianinie gra kawałki Franka Sinatry. Tego wieczoru Louise ogarnął dojmujący smutek i poczucie samotności, więc ma ochotę gdzieś pójść, znaleźć się wśród ludzi, usłyszeć śpiew.

Chyłkiem wymykają się z mieszkania. Louise tłumaczy jej

powód.

– Jesteśmy jak tajne agentki – szepcze Mimi, usłyszawszy o surowych zasadach zarządu, a potem dodaje: – Pamiętam. Z Lavinia też się stale tak wykradałyśmy.

Robią sobie selfie przed knajpką.

„Na mieście z przyjaciółką” – podpisuje je Mimi w internecie.

I dodaje dwa tańczące ze sobą misie.

Brandy's nie należy do miejsc, do których chadzałyby Lavinia. Nie jest z tych eleganckich ani ekscytujących. Przydarza im się tylko jedna ciekawa rzecz; po nalaniu im do kieliszków domowego wina kelner stwierdza, że w butelce została jeszcze resztką, i proponuje, aby wypily z gwinta, to nie będą musiały za nią zapłacić, i Mimi wypija, podczas gdy wszyscy ją oklaskują.

– Brakuje ci jej? – pyta później. – Teraz, gdy ma nowych przyjaciół. Trzeźwych przyjaciół. – Śmieje się. – Trzeźwych przyjaciół, którzy odnoszą sukcesy.

– Nieustannie – odpowiada Louise.

– To tak jak mnie. – Mimi dopija wino. – Tyle że...

– Tak?

– Bardzo za nią tęsknię, ale czasami... no wiesz... czuję coś w rodzaju ulgi. Przynajmniej już nie muszę się tak wysilać. –

Zamawia kolejny kieliszek. – Pamiętam, jeszcze gdy się przyjaźniłyśmy, strasznie się bałam, że w końcu odkryje, jaka jestem naprawdę, zrozumie, że ze mnie nikt szczególny. Że się pomyliła. Gdybyśmy nie były na tym samym przesłuchaniu...

– Przesłuchaniu?

– Kiedy się poznałyśmy, chciała zostać aktorką. – Mimi uśmiecha się szeroko. – Nie mówiła ci o tym, co? Jeszcze zanim zajęła się pisarstwem. Wzięła urlop na Yale, żeby spróbować swoich możliwości na scenie.

W kącie pianista gra i śpiewa.

– Kim dla niej byłam? Grubą niedoszlą aktorką? Za każdym razem, kiedy szłyśmy na miasto, żeby się zabawić, myślałam: „Dziś wieczorem się mną znudzi”. A teraz już nie mam się czego obawiać.

Następna kolejka. Następny toast.

– Nie chodziło mi o pieniądze. Przy niej czujesz się wyjątkowa. Chociaż do czasu. Dopóki tańczysz, jak ci zagra, no nie?

– Tak – zgadza się Louise.

– To głupie. Nieraz wciąż tak się czuję... bez obrazu. Ale od czasu do czasu mam wrażenie, żeby gdybym bardziej się starała, gdybym była kimś ciekawszym, toby ze mną nie zerwała. Gdybym... tańczyła, jak mi zagra.

Zaczyna chichotać.

– Śmieszne jest co innego – ciągnie. – To ona okazała się nie taka.

– Co masz na myśli?

– Nie! – Mimi przykłada dłoń do ust. – Nie mogę powiedzieć.

– Mów.

– Zabiłaby mnie.

– Przysięgam ci – zapewnia ją Louise – że nigdy, przenigdy nikomu tego nie zdradzę.

– Okropna sprawa. – Mimi śmieje się tak, jakby w jej ustach

szamotał się koliber. – Boże... to takie krępujące. Chyba jednak nie mogę...

– No powiedz.

Mimi bierze głęboki wdech.

– Dobra. Wiesz, że... słyszałaś o jej wielkiej miłości do Rexa?

Louise tylko patrzy na nią przez chwilę.

– Oczywiście... musiałaś słyszeć. Ale chodzi mi o to, co było wcześniej. Ta cała historia... „nigdy nie kochałam się z nikim innym”.

– Pamiętam.

– To się nie trzyma kupy. Jeśli się dobrze zastanowić.

– Masz na myśli...

– Wydaje mi się, że dlatego tak nas lubiła... czasami. Może to podłe. Nie powinnam tego mówić. Ale... nieraz się zastanawiałam. A jeśli wykorzystuje nas, aby... zaspokajać jakąś swoją potrzebę, czuć się wspaniałą, niezwykłą, wyjątkową dziewczyną, tak zakochaną, że potem już nigdy nie poszła do łóżka z żadnym facetem?

– Czy wy dwie...

– Sama nie wiem – odpowiada Mimi. – Nie potrafię tego nazwać. Może to był seks. Dla mnie był. Ale... od dwunastego roku życia... nie jestem hetero. Dla niej... może to nie był seks.

Louise nie może znieść, że czuje się trochę zazdrosna, nawet teraz.

– Jednak... to nie dlatego. Nie dlatego ze mną skończyła. Boże... to mogłoby trwać i trwać. Dopóki uzyskiwałyby ode mnie, czego by chciała. Nie powinnam ci tego mówić, Lulu. Nie jestem dobrą

przyjaciółką. – Mówi tak, jakby się tym napawała.

– Nie, wcale nie – uspokaja ją Louise.

I dolewa jej wina.

– Pracowałam wtedy w barze w Alphabet City. Miałam stałe zmiany. Lavinia o tym wiedziała. Pewnego wieczoru wypiałam za dużo na jakimś przyjęciu kawalerskim i zrobiło mi się niedobrze, więc barman wcześniej zwolnił mnie do domu. Przysięgasz, że jej nie powiesz?

– Z ręką na sercu.

– I wtedy ich przyłapałam. Oboje.

– Kogo?

– To naprawdę straszne.

– Powiedz kogo, Mimi.

– Ją i Hala Upchurcha.

Louise mimowolnie wypluwa wino.

Próbuje to sobie wyobrazić – on, spocony, z glutem u nosa, ze szczerbami w uzębieniu i z tym swoim uśmiechem od ucha do ucha, leżący na Lavinii – ale nie potrafi.

– Nie o to chodzi – podejmuje Mimi. – To jeszcze nie było najgorsze. – Zasłania twarz dłońmi. – Jezu... jestem najgorszą przyjaciółką na świecie.

– Możesz mi wierzyć. Nie jesteś – odpowiada Louise.

Mimi zaczerpuje powietrza.

– On... – Bliska łez, wpada w histeryczny chichot. – On ją... – Jednym haustem wypija kieliszek wina. – Posuwał w tyłek.

Zanosi się bezradnym śmiechem, który przechodzi w szloch.

Louise się tego nie spodziewała.

– O rany – mówi, bo nic innego nie przychodzi jej do głowy.

– No właśnie... – Mimi ledwie może złapać oddech, tak się śmieje. – No właśnie. – Przełyka flegmę. – Więc chyba, technicznie rzecz biorąc, seks waginalny uprawiała rzeczywiście tylko z jednym mężczyzną!

Louise nie może się opanować.

Także wybucha śmiechem.

– Nie ruszyło mnie to. – Kiedy wreszcie są w stanie złapać oddech, Mimi dostaje czkawki. – Poczulałam zazdrość, oczywiście, że tak, ale przecież wiedziałam, że jest hetero. Miałam tego świadomość... głupia nie jestem. A on był singlem i ona była singlem, więc... co stało na przeszkodzie? A to, jak się z nią pieprzy, nie miało dla mnie znaczenia.

Znowu zaczyna płakać, potem znowu się śmieje i czka, i wreszcie opowiada całą tę okropną historię: jak otworzyła drzwi, weszła do mieszkania, a potem udawała, że w ogóle jej tam nie było, uciekła do swojego pokoju, podkręciła dźwięk w słuchawkach na maksa i nigdy do tej sprawy nie wróciła. Nie zapytała „dlaczego”, chociaż oczywiście miała mnóstwo pytań, takich jak „ty naprawdę?”, „kochasz go?”, „chciałaś wkurzyć Rexa?” czy „chodziło ci, żeby zrobić mu na złość, prawda?”. Potem przez cały tydzień była taka dobra, taka dobra, mimo że Lavinia pastwiła się nad nią bardziej niż zwykle, ciągała ją na przyjęcia jeszcze częściej niż poprzednio i złościła się na nią za to, że przytyła ponad dwa kilo i nie mieści się w tę sukienkę z tafty, którą Louise miała na sobie

podczas premiery *Romea i Julii*. To przywodzi Mimi na myśl Beowulfa Marmonta i zaczyna płakać od nowa, ale wracając do tematu, tak czy owak, tak czy owak, któregoś wieczoru trochę przesadziła z alkoholem i poczuła się trochę zbyt swobodnie, trochę zbyt pewnie, trochę zbyt kochana, i zapytała Lavinie wprost, co to, do diabła, było z Halem Upchurchem. Lavinia nawet na nią nie spojrzała – nawet nie spojrzała w jej stronę; całe ciepło nagle się skończyło i powiedziała Mimi, żeby spakowała swoje rzeczy, wyniosła się od niej i nie wracała.

Pianista puszcza w obieg kapelusz na napiwki i Louise wrzuca do niego dwadzieścia dolarów, kolejne dwadzieścia dolarów Lavinii z tych, które powinna oszczędzać na ucieczkę.

Potem muzyk ogłasza, że to wieczór młodych talentów, i zaprasza ochotników na scenę.

– Wiesz? – mamrocze Mimi. – Przyjechałam do Nowego Jorku, żeby dostać się na Broadway. Śmieszne, prawda?

Na świecie jest tylu zdesperowanych, nieszczęśliwych, przepojonych poczuciem winy ludzi. Louise pragnie tylko, żeby tego wieczoru choć jednej osobie zdarzyło się coś dobrego, więc mówi Mimi, że powinna wystąpić, a ona się śmieje, wzdycha i zaczerwieniona odpowiada, że nie, nie może, już dawno temu straciła głos. Louise jednak ujmuje jej rękę i podnosi, wołając: „Tu, tu jest ochotniczka!”, i chociaż Mimi jeszcze bardziej się rumieni i wzdraga, w gruncie rzeczy jest zachwycona. Tłum zbiorowo wciąga ją na niewielki podest, który pełni funkcję sceny.

Grają *New York, New York*. (Zawsze to grają, mawiała Lavinia, ale tak lubiła tę piosenkę i sam Nowy Jork, że nigdy nie miała jej

dosyć, nigdy). Nic się w tym mieście nie zmienia, każda część pozostaje taka sama, każdy bar i każdy piątkowy wieczór jest taki sam, ci sami fotografowie robią takie same zdjęcia tym samym ludziom w operze, te same hasła niczym wytrych otwierają te same nielegalne knajpy i w każdym przeklętym barze z pianinem w całym przeklętym mieście grają przed zamknięciem *New York, New York*.

I Mimi mimo wszystko to śpiewa.

A tu niespodzianka.

Okazuje się, że jest dobra.

Nie jest „dobra jak na amatorkę”, „dobra jak na New Hampshire” ani nawet „dobra jak na chórzystkę”. Jest tak dobra, że wszyscy, którzy się śmieją, piją i cykają fotki, przerywają, odkładają telefony i zaczynają słuchać.

„Jeśli tam mi się uda...” – śpiewa Mimi i brzmi to przejmująco, od potu rozmazuje jej się tusz do rzęs. I wtedy do Louise po raz pierwszy dociera, że Mimi jest piękna.

Kiedy dochodzi do „To uda mi się wszędzie”, to jakby rozrywała sobie gardło, więc każdy klaszcze i wykrzykuje jej imię, bo jest naprawdę dobra.

Po występie dostaje owację na stojąco. Nawet kelnerzy ją oklaskują.

Oczami lśnącymi od łez spogląda na Louise po drugiej stronie sali i chociaż oklaski jeszcze trwają, zbiega ze sceny, pędzi do Louise, obejmuje ją i mówi w kółko: „Dzięki, dzięki, dzięki”,

a potem przeprasza: „Ojej, zasmarkałam ci bluzkę”, Louise zaś powtarza: „W porządku, w porządku, nic się nie stało”.

– To najwspanialszy wieczór w moim życiu!

Mimi bierze głęboki oddech. Jest taka uszczęśliwiona, że Louise ma ochotę powiedzieć: „Chodź ze mną do domu”, pragnie zaparzyć jej żurawinowo-bzową-kardamonowo-cynamonową herbatkę, usiąść z nią na kanapie i tak głośno nastawić muzykę klasyczną, żeby pani Winters przyszła ze skargą, albo zasnąć na wielkim łóżku Lavinii, pod tą obszerną żakardową narzutą obszytą futrem, albo zwyczajnie pogadać, beztrąsko, jakby nie miał nadejść ranek. Ale oczywiście nie może, bo przecież Lavinia jest w domu (zameldowała się na spotkaniu facebookowej grupy wyznawców wewnętrznej bogini w East Village, lecz jest po północy i powinna już wrócić), a także dlatego, że już nigdy z nikim nie będzie naprawdę szczerą.

– Jesteś taka miła – mówi Mimi. – Jesteś taka miła, Lulu. Dlaczego nie zostałyśmy przyjaciółkami? – Uśmiecha się szeroko.
– Powinnyśmy czasami gdzieś razem wyskoczyć.

– Było fajnie.

Mimi wytacza się na Drugą Aleję.

– Uwielbiam cię, Lulu.

Louise łapie dla niej taksówkę.

Daje jej sześćdziesiąt dolarów, żeby miała czym zapłacić za kurs, bo mieszka aż we Flatbush i nigdy nie ma pieniędzy.

– Nie mogę...

Zatrząskuje drzwi samochodu, żeby Mimi nie mogła zwrócić jej tej forsy.

Taksówka rusza w stronę Flatbush.

Louise już dłużej tego nie wytrzyma.

Wszystko byłoby lepsze niż to ściąganie zdjęć na telefon Lavinii czy googlowanie inspirujących cytatów literackich w jej guście i wstawianie ich do internetu; niż wysyłanie enigmatycznych, pogodnych tekstów do Beowulfa Marmonta i Gavina Mullaneya czy wystudiuowanych maili do jej siostry i rodziców, ukrywanie się przed panią Winters, bawienie Hala Upchurcha i wysyłanie pieniędzy Athenie; niż ciągłe wysiłki, żeby Rex tylko nie przypominał sobie Lavinii, strach przy każdej wzmiance w gazecie, że w East River znaleziono czyjeś zwłoki, i odgrywanie przed Mimi, że Lavinia wciąż żyje.

Louise dzwoni do Rexa, mimo że minęła północ, mimo że pewnie położył się już spać, mimo że nie jest jedną z tych nachalnych dziewczyn, które wydzwanają do swoich facetów. Nie rozłącza się, czeka na sygnał.

– Potrzebuję cię – mówi. – Muszę z tobą porozmawiać... proszę!

– Wszystko dobrze? – Wydaje jej się tylko czy Rex rzeczywiście się waha?

– Potrzebuję cię – powtarza. – Przyjedź.

– Ale...

– Nie ma jej.

I Rex odpowiada:

– Oczywiście, oczywiście. Nie martw się. Zaraz przyjadę.

Tak pragnie, żeby był z nią. W niej. Pragnie, żeby ją przytulił, powstrzymał przed drzeniem, wysłuchał jej wyznań wśród

szlochów i zrozumiał, co zrobiła, a czego nie; może wtedy doświadczyłaby jednocześnie miłości i zrozumienia.

Louise na korytarzu gmera przy kluczach. Nie pamięta, żeby się rozejrzeć, sprawdzić, czy na schodach nie ma pani Winters.

Te schody nigdy dotąd nie wydawały jej się takie strome.

Wspina się po nich – robiąc dużo hałasu. („Niech ta stara suka otworzy drzwi – myśli. – Niech wszyscy wyjdą”).

W głębi pali się światło.

Drzwi do mieszkania są otwarte.

Na kanapie siedzi Lavinia.

Ma długie, zmierzwione włosy. Nogi podwinęła pod uda. Jest w swoim szlafroku.

Louise w progu upuszcza klucze.

„Oczywiście – myśli pod wpływem wina, adrenaliny, wszystkich nieprzespanych nocy – nikt tak naprawdę nie umiera”.

Lavinia odwraca się do niej powoli.

Mają takie same kości policzkowe. Takie same świetliste niebieskie oczy.

– Przyszłam zobaczyć się z siostrą – wyjaśnia Cordelia.

Louise podnosi klucze. Wchodzi. Siada na kanapie obok Cordelii.

– Przykro mi – odpowiada nieswoim głosem. – Lavinii nie ma.

– A gdzie jest? – Cordelia unosi brodę.

– Wyjechała – mówi Louise. – Z jakimiś znajomymi.

– Dokąd?

– Nie wyjawiała szczegółów. To miała być... wyprawa samochodowa. – Myśli szybko. – Związana z medytacją. Zamierzały wybrać się na zachód.

– Od kiedy jej nie ma?

Louise usiłuje sobie przypomnieć, kiedy Lavinia ostatnio zamieściła coś na Instagramie.

– Od dzisiaj.

– Co to za znajome?

– Nerissa. Jade... Jade Wasserman. Holly Hornbach. – Wszystkie one mają konta na Facebooku.

– Poznałaś je?

– Kiedy?

– Zanim Lavinia wyjechała. – Cordelia wciąż ani drgnie.

– Spotkałam się z nimi kilka razy. Dlaczego pytasz?

– Czy brała swoje lekarstwa?

– Co takiego?

– Lekarstwa... zażywała je?

– A skąd mam wiedzieć?

– Zajrzałam do apteczki – tłumaczy Cordelia. – Przepraszam. Nie chciałam być wścibska... nie powinnam była. Ale rozumiesz... Lavinia nie odpowiada na moje telefony.

– Znasz ją – rzuca Louise lekkim tonem. – Bywa...

– Jasne, że znam Lavinie. – Cordelia nie traci zimnej krwi. – To moja siostra.

Wstaje. Podchodzi do barku.

Louise jest kompletnie otępią.

– Przejrzałam też zapasy alkoholu – mówi Cordelia. Obraca się.
– Myślałam, że Vinny już nie pije.

– Och... ona nie. Ja wszystko wypiałam. – To jedno przynajmniej odpowiada prawdzie.

– Nie powinnaś pić przy niej – zwraca jej uwagę Cordelia. – Jeśli usiłuje skończyć z alkoholem.

– To było wcześniej.

– Dlaczego zrezygnowała z picia?

– Bo... – Louise dochodzi do wniosku, że to nie najlepszy moment, aby powiedzieć o swoim romansie z Rexem. – Myślę, że chciała, no wiesz, wyjść na prostą. Zerwać z przeszłością.

– Fiolka w apteczce jest pełna – podejmuje Cordelia. – Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałaś? Tabletki straciły ważność. Nie brała ich. Nie zauważyłaś tego?

– Nie wygląda na to, żeby coś jej dolegało. Ćwiczy jogę.

– Z Nerisą? Holly? I Jade?

– Tak.

Cordelia unosi głowę.

– Nie okłamuj mnie – rzuca.

Louise nie może się ruszyć.

– Wydaje ci się, że nie wiem, kiedy kłamiesz?

Mają nawet takie samo spojrzenie.

– Byłam przy tym... nie słyszałaś? Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy.

– Co?

– Święto Dziękczynienia. Dwa tysiące dwunastego. Wtedy też... dobrze się czuła. Mówiła wszystkim, że pogodziła się z tym, co się stało. Zainteresowała się astrologią... magią, wiccą, tarotem i tak dalej. Według niej karty tarota mówiły, że Rex ją rzuci, ale pewnego dnia, kiedy oboje dorosną i dojrzeją, wrócą do siebie. Mnie także chciała przepowiadać przyszłość. Zajęła się malarstwem. Wstawiała swoje obrazy do internetu... mówiła, że ma się dobrze, wraca na studia, chciała znowu umawiać się na randki... powiedziała mi nawet, że podoba jej się pewien facet, asystent z jej wydziału. – Unosi brodę. – A w Boże Narodzenie połknęła garść pigułek i próbowała na łódce popełnić samobójstwo. Więc jeśli ją chronisz – konkluduje – postępujesz bardzo głupio.

– Rodzice wiedzą, że tu jesteś?

– Powinam w tej chwili lecieć z Bostonu do Paryża, żeby jutro dołączyć do nich na święta. Matka bardzo się cieszyła, że przyjedzie przynajmniej jedna z nas. – Na jej ustach pojawia się uśmiech. – Ale ja wsiadłam do autobusu na South Station i jestem tutaj. Jakiś bezdomny za Port Authority pokazał mi swojego wacka. Co za obrzydliwość. – Wzrusza ramionami. – Ale Vinny mnie

potrzebuje.

– Nie powinnaś do nich zadzwonić? – pyta dalej Louise.

– To nie byłoby w porządku. Już raz doznali ciosu. Wtedy to mógł być pech. Ale teraz to byłaby bezmyślność. – Zrzuca pantofle.

– Kiedy Vinny ma wrócić?

– Nie wiem – odpowiada Louise. – Nie powiedziała.

– Więc zaczekam.

– Lepiej zadzwoń do rodziców.

Louise wstaje, idzie po telefon.

– Powiedziałam im, że przyjaciele z Exeter w ostatniej chwili zaprosili mnie do Aspen. To do nich przemówiło. Nie zdradzaj im, że jestem tutaj, dobrze? – Uśmiecha się ponownie. – A ja nie zdradzę, że ty tu jesteś. – Zadziera głowę. – A gdzie się podział kufer po babci?

– Lavinia zabrała go na jakąś sesję zdjęciową, którą urządziła.

– Naprawdę? – Cordelia patrzy na nią badawczo.

Spuszcza nogi. Wstaje.

– Na pewno nie wiesz, kiedy wraca?!

– Mówiłam ci... nic mi nie powiedziała. Poinformowała mnie tylko, że wyrusza w podróż... i tyle!

– A ty ją puściłaś!

Louise nie rozumie.

– Chryste... aż taka jesteś głupia? – Cordelia obraca się tak szybko, że na kredensie, smagnięte połami szlafroka, dzwonią butelki. – Nie zorientowałaś się jeszcze? Nie można zostawiać jej samej.

Louise milczy.

Cordelia gwałtownie zaczerpuje powietrza.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam... to niesprawiedliwe z mojej strony. – Z powrotem siada na kanapie. Składa dłonie na kolanach. – To nie twój problem – ciągnie. – Tylko mój. Ale jeśli Lavinia nadal pije... czyli kłamie... musisz mi o tym powiedzieć.

– Rozumiem.

– Więc pije?

– Nie – odpowiada Louise. – W każdym razie nie przy mnie.

Cordelia oddycha z ulgą. Przymyka oczy.

– To dobrze. – A potem pyta: – Ale niewykluczone, że pije?

– Mówi mi tylko – tłumaczy Louise – że chce zerwać z dotychczasowym życiem. Że pragnie się zmienić.

– Nie znasz jednak tych jej nowych przyjaciółek?

– Tylko z widzenia.

Cordelia kiwa głową.

– Wiesz, jaka jest Lavinia – podejmuje Louise – gdy pozna kogoś nowego.

Cordelia trochę łagodnieje.

– Ona kolekcjonuje ludzi. Przygarnia ich do siebie jak zabłąkane koty. – Śmieje się. – Mawiała, że tylko ja z nią wytrzymałam.

Rusza do małej kuchni. I zabiera się do parzenia herbaty.

– Tobie też zrobić?

– Nie, dziękuję.

Nagle Louise ogarnia wielkie zmęczenie.

– Może wody? – pyta Cordelia.

– Nic mi nie jest.

– Chyba przesadziłaś z alkoholem. Woda dobrze ci zrobi.

Louise wzdycha.

– Posłuchaj – zaczyna. – Z Lavinią wszystko w porządku. Ma się dobrze. Wiem... bo przecież widzę. Jest pogodna. Pokonuje... swoje problemy. Więc... nie musisz się martwić. Ona... za parę tygodni wróci. Po co masz tu zostawać?

– Skoro już przyjechałam...

– Mogę jutro wypożyczyć samochód. O której masz samolot? Zawiozłabym cię na lotnisko.

– Jesteś bardzo miła – odpowiada Cordelia. – Ale nie ma takiej potrzeby. Zostanę. – Siada. – Nie chcę lecieć do Paryża – ciągnie – to w końcu także mój dom.

Wtedy rozlega się domofon.

I Louise sobie przypomina.

Zanim udaje jej się wymyślić kolejne kłamstwo, Cordelia podchodzi do monitora.

– Jasny gwint – mówi.

A potem uśmiecha się szeroko.

– Wiedziałam.

– Co znowu?

– Wiedziałam to!

Zanosi się śmiechem, tak podobnym do śmiechu Lavinii, że Louise lekko się wzdryga.

– Oczywiście, że wrócił... zawsze wiedziałam, że tak będzie... jasne, że ją kochał. Tylko... tylko... stchórzył.

Louise ma wrażenie, że nigdy nie widziała kogoś tak uszczęśliwionego. Nawet Lavinia nie potrafiłaby tak się ucieszyć.

– Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jego minę...

– Nie!

Jest jednak za późno. Cordelia już go wpuściła.

– Szkoda, że nie jestem facetem. – Krąży niecierpliwie po salonie. – Jaka szkoda, że nim nie jestem. Przetrąciłabym... przetrąciłabym mu szczękę za to, co jej zrobił.

– To nie tak...

– Zrujnował jej życie! To tchórzliwy, podły, żaloszny mięczak! – Prostuje się i unosi głowę.

– Proszę – mówi. – W grę wchodzi honor Vinny.

I otwiera drzwi mieszkania.

I oto co dzieje się później.

Rex widzi Cordelię.

I cały tężeje, zauważa Louise, bo na widok tych długich włosów, błyszczących oczu i ciemnych ust w kształcie serca przychodzi mu na myśl to samo co jej – i w jednej chwili blednie, tak jak bledną bohaterowie powieści, kiedy dostrzegają ducha, a ona nie może znieść, że ktoś (bynajmniej nie duch, nie żadna femme fatale, tylko zwykła dwudziestotrzyletnia dziewczyna) może wyrzucić na kimś taki efekt.

A potem do niego dociera.

– Cordelia?

– Spóźniłeś się. – Dziewczyna napawa się tą chwilą.

– Jak to?

Louise za plecami Cordelii podchwytuje jego spojrzenie i patrzy na niego z desperacją, żalością, wypowiadając bezgłośnie:

- Proszę cię, proszę.
- Vinny. Wyjechała. Uciekła. Nie możesz się z nią zobaczyć.
- Ja... co takiego?
- Wybrała się w podróż. Na zachód. Spontanicznie.
- W porządku...
- Strasznie mi przykro – odzywa się Louise z taką groteskową szczerością, że Cordelia musi ją przejrzeć. – Przyszedłeś do Lavinii. Ale nie ma jej w mieście.
- Powinieneś się wstydzić. – Cordelia splata ramiona na piersi. – Żeby tu przyjść... po tak długim czasie!
- Rex tylko mruga powiekami.
- Ona zaczęła od nowa. Zapomniała o tobie. Nie zniży się znowu do poziomu kogoś takiego jak ty!
- Rex spogląda na Louise, która nadal mówi tylko ruchem warg:
- Proszę, proszę cię.
- Przepraszam – odpowiada powoli, bardzo powoli. – Masz... masz słusność, Cordelio.
- Vinny już nie interesuje twoje mieszczańskie, biedermeierowskie, nudne życie. – Cordelia aż spluwa. – Ma teraz znacznie ciekawsze zajęcia. Jest... jest w trasie, na sześćdziesiątcejedynce!
- Dobrze. – Rexowi czerwienieją uszy. Patrzy prosto na Louise.
- Dobrze... mogę sobie pójść...
- I nie waż się wracać!
- W porządku. Nie wrócę.
- Obraca się i wychodzi, nie spoglądając więcej na Louise.

Kiedy tylko Rex znika z ekranu domofonu, Cordelia wybucha śmiechem.

– Widziałas to?

– Uhm.

– Ten jego wyraz twarzy!

Zamyka drzwi na zasuwę. Odwraca się w stronę Louise. Wręcz promienieje.

– Boże... już nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Vinny! – Przykłada dłoń do ust. – Obiecuj mi... obiecuj, że wcześniej się przed nią nie wygadasz!

– Obiecuję.

Louise kręci się w głowie.

– Wiedziałałam... wiedziałałam, że tak będzie! Nikt... nikt nie mógłby zapomnieć Vinny! – Cordelia przytupuje w miejscu, gdzie dawniej stał kufer. – Nikt! – Pada na kanapę. – Zwyczajni ludzie... no wiesz! Tacy jak Rex. Ona ich przerasta. – Znowu podciąga stopy pod uda. – Znam swoją siostrę. Jest niemądra, egzaltowana i próżna, za bardzo skupiona na sobie. Ale tak naprawdę nie ma w niej krztyny egoizmu.

– Nie?

– Gdyby była egoistką, potrafiłaby o siebie zadbać i byłaby szczęśliwa. A Vinny... nigdy nie jest szczęśliwa. Nie umie i nie będzie umiała... dopóki świat się nie zmieni. – Obejmuje kolana i przyciąga je do piersi. – To grzech pierworodny, wiesz?

– Nie bardzo rozumiem.

– Jesteś jak Vinny. – Cordelia uśmiecha się nieznacznie. – Nie znosi, kiedy mówię jej takie rzeczy. Od razu przechodzą ją

dreszcze, jak twierdzi. Ale moim zdaniem to jedyne wytłumaczenie. Wszystko jest naszą winą... i nic nią nie jest. – Wzdycha. – Oczywiście, że Rex jej nie wystarczał. Ale gdyby wystarczał... to co? – Zaczyna z roztargnieniem zaplatać włosy w warkocz. – Nieważne. Dlatego właśnie jestem katoliczką. Z tego powodu... i matka nie może się z tym pogodzić.

Kiedy Cordelia wychodzi do łazienki, Louise pisze esemesa do Rexa:

„Bardzo, bardzo, bardzo przepraszam. Jutro Ci wszystko wytłumaczę”.

Następnego dnia coś wymyśli. Zawsze jej się to w końcu udaje.

„Mogę przyjechać, żebyśmy o tym porozmawiali?”

Rex czyta wiadomość.

Ale nie odpisuje.

Dochodzi trzecia nad ranem, gdy Cordelia wreszcie ziewa.

– Masz rację – mówi nagle. – Chyba niepotrzebnie się martwię.

Z Vinny... wszystko dobrze, prawda?

– Jasne, że tak – odpowiada Louise.

– Powiedziałyby nam... gdyby jej samopoczucie znowu się pogorszyło.

– Na pewno.

– Ostatnim razem... – Cordelia opiera brodę na podciągniętych kolanach. – Wiedziałam... wcześniej. Dostała manii. Stawiała sobie karty, do rana analizowała ich układ i dzwoniła z Yale do domu, zapowiadając, że umrze.

– Zapewniam cię, że ma się lepiej – przekonuje Louise. – Już

nawet... – Myśli gorączkowo. – Doszła do siebie po historii z Rexem.

– Ona nigdy nie dojdzie do siebie po historii z Rexem. Będzie mu wierna aż do śmierci. Vinny pragnie należeć do tych, którzy kochają tylko raz. – Popija herbatę, którą zaparzyła. – Nawet gdyby miała być przez to nieszczęśliwa. – Wstaje. – Powinnaś pójść spać. Do rana już raczej nie wróci, więc nie ma się co zamartwiać.

– Napisz do niej rano esemesa – podpowiada Louise. – Na pewno będzie jej przykro, że się z tobą nie spotkała.

Do tego czasu Lavinia wstawi do internetu mnóstwo zdjęć ze swojej wyprawy. Mnóstwo pięknych zdjęć. Louise będzie musiała obmyślić całą trasę. I wygooglować odpowiednie cytaty literackie.

– Louise?

Cordelia zatrzymuje się w progu.

– Tak?

– Nie ukrywałabyś przede mną... gdybyś była zaniepokojona. Prawda?

Patrzy na Louise takim czystym wzrokiem, nie mrużąc oczu. Jakby jej ufała.

– Oczywiście, że nie.

– Pewnie zajęłaś mój pokój – domyśla się Cordelia. – Czy nie byłoby wygodniej, gdybym przespała się w łóżku Vinny?

Louise śpi w nim każdej nocy, kiedy nie sypia z Rexem.

– Nie... proszę – odpowiada. – Skorzystaj ze swojego pokoju. Nalegam.

– Nie będziesz musiała zabrać stamtąd własnych rzeczy?

– Będę – przyznaje Louise. – Chodzi o to, że... Lavinia zostawiła

po sobie mały nieporządek.

Cordelia chichocze.

– Niezła z niej bałaganiara, co?

– Posprzątam trochę.

Louise idzie do pokoju Lavinii. Ścieli łóżko. Zabiera wszystko, co mogłoby ją obciążyć – fałszywe dokumenty, pieniądze, biżuterię, którą wyprzedaje, listy Rexa – i wsadza do torby.

Spogląda na wyświetlacz swojego telefonu. Rex wciąż nie odpowiedział na jej esemesa.

Zagląda do telefonu Lavinii.

Nieodebrane połączenia od Mimi, od Cordelii.

Zdjęcie z High Line, które wstawiła poprzedniego dnia na Facebooka, dostało dwadzieścia sześć lajków.

– Wszystko dla ciebie – mówi Louise.

Idzie do swojego poprzedniego pokoju, który wydaje jej się o wiele mniejszy, niż zapamiętała.

Lavinia zamieszcza w internecie kilka fotek ze swojej wyprawy. Samochód (tablice rejestracyjne niewidoczne). Znowu coś z Whitmana. Zachód słońca za lasem, który mógłby być wszędzie (coś z Thoreau). Kobieta, nieco oddalona, uprawiająca jogę, Holly, Nerissa albo Jade (Louise w końcu postanawia, że to Nerissa, i oznacza ją na zdjęciu). Do tego zamieszcza długą, mętną refleksję o „kapiących się gwiazdach”, „rozkołysanych brzdach” i „żeglowaniu aż na skraj Zachodu, póki nie umrę”, i może to naprawdę do niej pasuje, skoro tyle razy powoływała się na ten wiersz.

Potem Lavinia pisze esemesa do siostry:

„Kochana, wiem od Lulu, że jesteś w mieście.

Przykro mi, że nie wiedziałam o Twoim przyjeździe, ale, jak widzisz, cudownie się bawię. Chcemy spróbować dotrzeć stopem do Kalifornii (od dawna polegam na życzliwości nieznajomych).

Jedź do Paryża i przywieź mi herbaty Mariage Frères. Najbardziej lubię Marco Polo.

Xxx”.

Cordelia czyta wiadomość.

Ona także nie odpisuje.

Wreszcie następnego rana Rex odpowiada na esemesa:

„Spotkajmy się, kiedy skończę zajęcia”. I spotykają się.

Louise tłumaczy, że ponieważ Lavinia bez uprzedzenia wybrała się na tę autostopową wyprawę – „no wiesz, diamenty i rdza, w stylu Boba Dylana” – i zostawiła ją samą w mieszkaniu, które do niej nie należy, ona okropnie się zdenerwowała i powodowana głupotą – „nawet nie wiem, dlaczego tak mnie to ruszyło” – w panice zadzwoniła do niego; czy będzie w stanie jej wybaczyć?

– Babskie sprawy – kwituje on. – To wszystko.

No i na dodatek Lavinia nie powiedziała Cordelii o nich dwojgu.

Cordelia jest taka delikatna – wyjaśnia dalej – i tak niesamowicie opiekuńcza wobec Lavinii. Louise nie wie, dlaczego Lavinia ukrywała przed nią prawdę, ale ma wrażenie, że to nie jej sprawa; zresztą nie chciałaby wchodzić pomiędzy nie. Najważniejsze teraz to przekonać Cordelię, że powinna wyjechać do Paryża, do rodziców, bo nie mogą sobie pozwolić, aby siedemnastoletnia dziewczyna siedziała w mieszkaniu, będąc rzekomo w Aspen; jeśli

z jakiegoś powodu wkurzyłaby się na Louise, jeszcze powiedziała by rodzicom o jej obecności u Lavinii, a lepiej, żeby do tego nie doszło.

– Więc rozumiesz – kończy Louise rozpaczliwie.

– To jakieś szaleństwo – komentuje Rex. Ma rację.

– Sytuacja się skomplikowała.

– Chyba powinnaś się wyprowadzić i już – zauważa on, jakby istniała w tym mieście jakaś osoba, która nie zgodziłaby się mieszkać z Goebbelsem, jeżeli oznaczałoby to zwolnienie z płacenia czynszu.

– To nie takie proste – znowu sprzeciwia się Louise.

– Posłuchaj – odpowiada Rex. – Wiem... wy dwie... macie swój układ. I wolałbym nie wiedzieć, na czym on polega. To wasza sprawa. Więc mnie w to nie wciągaj.

Mówi tak, jakby Lavinia nie straciła przez niego życia.

– Nie chciałabym stać się powodem kolejnego dramatu – uzasadnia Louise.

– Już się nim stałaś!

Nie cierpi, kiedy Rex podnosi na nią głos.

Kładzie mu dłonie na ramionach. Całuje go.

– Tylko na jakiś czas – prosi. – Żeby... był spokój.

– I co? Mam udawać, że wciąż ją kocham, aby zadowolić jakąś nastolatkę?

– Niczego nie musisz udawać – odpowiada ona. – Wystarczy, że na jakiś czas się przyczaimy. Dopóki nie namówimy jej do wyjazdu. Żebym nie musiała mieszkać z kimś, kto mnie nienawidzi.

Czeka, żeby zaproponował: „Przenieś się do mnie”. Ale

daremnie.

– A co będzie, jeśli jej powie, że wciąż do niej wzdycham? – Nie wypowiada imienia Lavinii. Nawet teraz. – Czy wtedy uda nam się utrzymać spokój?

Louise usiłuje tak zinterpretować jego odpowiedź, żeby nie bolała.

– Ale ty naprawdę do niej wzdychasz. – Nie może się powstrzymać. – Prawda?

Rex przewraca oczami.

– Wciąż chodzi o nią, tak? – pyta.

Jednak nie zaprzecza.

Lavinia w Luizjanie piecze na ognisku prawoślaz lekarski.

Cordelia siedzi przy stole w jadalni i robi notatki na marginesie dzieł Julianny z Norwich.

Louise płaci Athenie Maidenhead kolejne dwieście dolarów.

Nigdy nie rozmawiają o tym, dlaczego Louise to robi. Tylko któregoś dnia Athena przysłała jej esemesa: „Cześć, kotku, masz jakąś forszę, bo jestem spłukana, cha, cha, gość, który zwykle płaci za mnie czynsz, okazał się dupkiem.

Nie zapytałabyś Lavinii, czy zna sposób, w jaki dziewczyna mogłaby szybko zarobić z pięćset dolców?

Zawsze była taka życzliwa. (Cha, cha)”.

Louise płaci dalej.

Athena jej dziękuje, a potem wspomina od niechcienia, że chciałyby także kupić sobie sukienkę.

Tamtego wieczoru, kiedy poszli we czwórkę do opery, poznała pewnego faceta. W antrakcie zaprosił ją na randkę. Powinna z tej okazji ubrać się przyzwoicie.

Wysłała Louise link do Net-a-Porter, a ta kupuje jej co trzeba.

Rodzice wywierają na Lavinie coraz silniejszą presję, żeby przyjechała na święta. Piszą:

„Rozumiemy, że Cordelia pod wpływem chwili zrezygnowała z przyjazdu. Zastanawiamy się jednak, czy nie miała na to wpływu także Twoja decyzja. Teraz, gdy Cordelia dorasta, bardziej niż kiedykolwiek powinnaś być dla niej wzorem, a Twój obecny styl życia – ja i ojciec zgadzamy się co do tego – nie stanowi przykładu do naśladowania.

Naszym zdaniem byłoby dobrze, gdybyś spędziła u nas resztę ferii świątecznych. Mielibyśmy okazję porozmawiać o Twoim powrocie na Yale”.

Lavinia pisze żarliwy list, tłumacząc, że prawie już skończyła swoją powieść, a podróż, w którą wybrała się z przyjaciółmi – bez alkoholu, dodaje – bardzo służy jej zdrowiu, zarówno fizycznemu, jak i psychicznemu.

Matka odpowiada:

„Niezależnie od wszystkiego nie możemy wspierać Cię w tym przedsięwzięciu. Pewnie nie uda nam się już wpłynąć na Twoje postępowanie, powinniśmy jednak odegrać jakąś rolę w kształtowaniu Cordelii.

Mając to na względzie, zablokujemy, dopóki nie wrócisz, karty płatnicze, którymi dysponujesz. Podejmij decyzję do

dziewiętnastego.

Jeśli zechcesz przylecieć do Paryża, chętnie kupimy Ci bilet lotniczy w jedną stronę.

Ojciec i ja nie mamy wątpliwości: nie możemy dłużej wspierać finansowo Ciebie ani Twoich wyborów życiowych.

Skontaktuj się z nami, proszę, w sprawie danych paszportowych i szczegółów planowanego lotu”.

I dodaje:

„Zdajesz sobie sprawę, jak sędzę, że to najlepsze, co na tym etapie mogłabyś zrobić dla swojej siostry”.

Lavinia pozostawia list bez odpowiedzi.

Louise znowu kończą się pieniądze.

Zamierzała oszczędzić każdego centa pobranego z konta Lavinii. Ale od tak dawna nie pracuje, a milczenie Atheny staje się coraz kosztowniejsze, do tego zaprasza Rexa na kolację, bo zyskuje dzięki temu poczucie, że daje mu trochę szczęścia; innym razem płacą po połowie, ponieważ nie chce przyznać, że nie stać jej na coś, na co stać jego, a nie umie mu odmówić.

Lavinia nie odbiera telefonów Cordelii.

„Przepraszam, kochanie! Strasznie słaby tu sygnał! Zeszłej nocy kąpaliśmy się nago pod gwiazdami, prawie zamarzliśmy, ale było cudownie!”

Louise myśli codziennie: „Dziś”.

Dziś wszystko się skończy.

Ucieknie; weźmie paszport Lavinii albo fałszywy dowód

tożsamości tamtej rudej z Iowa, Elizabeth Glass; zabierze całą forszę, jaka jej została, zamknie za sobą drzwi i zniknie w mieście. Ale Gavin Mullaney chce od niej kolejne opowiadanie dla „Fiddlera” i daje do zrozumienia, że jeśli tym nowym kawałkiem zrobi wrażenie na reszcie zespołu redakcyjnego, być może wejdzie do tegorocznej Piątki przed Trzydziestką. A Rex przysyła jej zdjęcie ośnieżonego Central Parku, mimo że ostatnio dużo się kłócili. I Louise myśli: „Jeszcze tylko jeden dzień, więcej nie potrzebuję; jeszcze tylko jeden dzień”, ale potem przychodzi następny, który też jest jej potrzebny.

Prawdę mówiąc, Louise nie ma dokąd uciec.

Dwudziestego grudnia wypadają jej urodziny – trzydzieste.

Rex o tym wie, bo dowiaduje się z Facebooka (ale myśli, że to dwudzieste szóste, bo tak mu powiedziała).

„Przepraszam, że ostatnio było tak nerwowo – pisze. – Wybierzmy się gdzieś, dobra?”

Louise powiadamia Cordelię, że ma randkę z facetem, którego poznała za pośrednictwem internetu.

– To pewnie seryjny zabójca – kwituje Cordelia, nawet nie podnosząc głowy znad notatek.

Louise wkłada swoją jedyną sukienkę, w której Cordelia nie rozpozna własności Lavinii, teraz trochę dla niej za dużą, uszytą z taniego poliestru; kupiła ją przed dwoma laty w Housing Works za dwadzieścia dolarów i był to wtedy jej najlepszy ciuch.

Rex podaje jej esemesem adres i godzinę.

„To będzie niespodzianka” – pisze i przesyła uśmiechniętą buźkę,

aby wiedziała, że już się na nią nie gniewa.

To sekretny koktajlbar w Williamsburgu, z zaledwie trzema stołkami, z których jeden zajmuje barman.

Rex wystroił się dla niej – ma na sobie ciemniejszą niż zwykle marynarkę i mniej wygniecioną. Na widok Louise (choć przysłała w tej nędznej kiecce, brzydkiej i za obszernej) zrywa się z miejsca i kiedy na nią patrzy, nie jest pewna, czy to dlatego, że mu się podoba, czy po prostu wreszcie dostrzegł, jak ona się prezentuje, gdy nie zamienia się w Lavinie.

– Ładnie wyglądasz – mówi, co niczego nie wyjaśnia.

Tego wieczoru spędziła godzinę przed lustrem.

„Wyglądam na trzydziestkę” – myśli i zastanawia ją, dlaczego on tego nie widzi.

Nie wspominają o Lavinii. Ani o Cordelii. Rozmawiają o pogodzie i pracy seminaryjnej Rexa, o egzaminach, do których niebawem będzie musiał przystąpić, o jego wykładowcach i tym niesamowitym kursie „żywej łaciny”, na który chciałby pojechać latem do Rzymu. Rozmawiają o Halu i o tym, że chodzi teraz z Indią i postanowił się z nią ożenić, nie zapytawszy jej o zdanie. Rozmawiają o tekstach Louise dla „Fiddlera” i o tym, że według Gavina ma ona szansę wejść do tegorocznej fiddlerowskiej Piątki przed Trzydziestką, co najwyraźniej robi na Reksie wrażenie.

Rozmawiają, myśli Louise, jak każda inna nudna para w tym mieście, która uprawia seks dwa–trzy razy w tygodniu.

Rozmawiają, jakby Rex nigdy nie chodził z dziewczyną, która dziwacznie się ubiera albo w Nowy Rok staje o świcie nago nad

wodą.

Jedzą dania koreańsko-meksykańskie. Piją czerwone wino. Płaci Rex.

Który później prosi ją, żeby się z nim przeszła.

Jest uroczo. I bardzo zwyczajnie. Trzymając się za ręce, idą wśród śniegu Bleecker Street, potem przez Washington Square Park i wracają do Chinatown. Na niebie pojawiają się gwiazdy i Rexowi z zimna czerwienieją uszy, tak jak wtedy, gdy się denerwuje albo jest zakłopotany. Nagle Louise nabiera przekonania, że wybrali się na ten romantyczny spacer w świetle księżyca, bo Rex nie chce pójść z nią do łóżka (pewnie z powodu tej sukienki; a może już nigdy nie będzie miał na to ochoty).

Kiedy mijają Doyers Street, Rex cicho nuci.

Louise ujmuje jego dłoń. Pociąga go w głąb ciemnej brukowanej uliczki, gdzie kiedyś gangsterzy załatwiali mokrą robotę – tak powiedziała jej raz Lavinia.

Rex się śmieje. Podąża za nią.

Ona pcha go na ścianę. Całuje tak mocno, że aż się w niego wgryza. Że w końcu brakuje mu tchu.

Kiedy się od niego odsuwa, on patrzy na nią ze zdziwieniem.

„Nie powinien być zaskoczony – myśli Louise. – Powinien być do czegoś takiego przyzwyczajony. Tak właśnie zachowywałyby się Lavinia”.

Całuje go znowu, jeszcze mocniej, i przesuwa dłonią po wewnętrznej stronie jego uda, chwytając fiuta (który nie zeszywniał; to jej wina).

Odsuwa się. I patrzy na Rexa.

– Co ty wyrabiasz? – On się śmieje, ale pyta poważnie.

– No, chodź – odpowiada. – Nikt nie zobaczy. – Wszyscy lubią się pieprzyć w szalony sposób, przecież właśnie o to chodzi. – Pragnę cię – szepcze.

Rex wciąż się śmieje, jakby ta sytuacja była zabawna. To przez tę sukienkę? Dlatego, że ona skończyła trzydziestkę? Czy dlatego, że Lavinii nie da się zapomnieć, jak powiedziała Cordelia? Louise całuje go coraz mocniej, tak – myśli – jakby chciała sprawić mu ból, bo skoro nie może sprawić, aby jej pragnął, doprowadzi do tego, że będzie się jej bał, przynajmniej trochę, i skoro nie może być Lavinią, zostanie dziwką („nie jesteś kobietą, z którą bym się ożenił” – powiedział Athenie Hal, tak po prostu, jakby w ogóle chciała pójść z nim do łóżka, gdyby nie to mieszkanie w Dakocie). Więc całuje go z całych sił i szepcze mu do ucha:

– Chcę, żebyś mnie zerznął.

Wreszcie mu staje i gdy chwyta ją za nadgarstek, gdy zaczyna oddychać urywanie, gdy jęczy z desperacją, co znaczy, że zdobyła nad nim władzę, kiedy robi się brutalny, co także o tym świadczy – wtedy Louise się odsuwa.

Rex przyciąga ją z powrotem.

Pcha ją na ścianę, zadziera jej sukienkę i ściąga majtki, i Louise już nie wie, które z nich to zainicjowało, czy to ona go sprowokowała (stała się w tym dobra), czy chciał tego od początku, jak to facet. Tymczasem Rex maca ją pod sukienką („już to znam – myśli Louise – już to wszystko znam”), więc zaczyna szeptać mu to, co szepcze kobieta, którą miałbyś ochotę zerznąć, i nie jest już pewna, czy tak czuje naprawdę, czy tylko chce być taką kobietą,

w każdym razie mówi mu, prosto do ucha, że go pożąda, że go potrzebuje, że jest wilgotna i pragnie, aby natychmiast zabrał ją do domu, i dopina swego; on, słuchając jej, staje się coraz gwałtowniejszy, a wtedy ona rzuca bez zastanowienia, że chce, aby wsadził jej w tyłek.

– Co powiedziałaś? – Z tonu Rexa można by sądzić, że nie jest to coś, o czym śni każdy facet hetero.

Odsuwa się, żeby na nią spojrzeć.

– Nic – odpowiada Louise. – Zapomnij o tym.

– Ale...

– Nie przerywaj – prosi i zaczynają obijać się o siebie, wchodzić sobie nawzajem w drogę; ich ciała do siebie nie pasują, więc Rex rzuca: „Do diabła, złapmy taksówkę”, a potem jadą do niego (Louise płaci) i pieprzą się tak, jak robili to wcześniej za każdym razem. Rex wtula twarz w ramię Louise, w jej włosy, jakby ukrywał się przed czymś, jakby jej obojczyk był bezpieczną zatoką. Ona także do niego przywiera i myśli: „To musi wystarczyć”, a gdy znowu staje się gwałtowny, stwierdza: „Doprowadzam go do szaleństwa”, i na wpół pragnie, żeby stał się jeszcze gwałtowniejszy, bo chce mieć dowód, że stać ją na coś takiego. On jednak nawet na nią nie patrzy – posuwa ją tak mocno, że to aż boli, ale ani razu na nią nie spogląda – więc może dlatego, że naprawdę to do niego czuje, a może by go zaszokować albo chociaż przyciągnąć jego uwagę, mówi, gdy on dochodzi:

– Kocham cię, kocham cię.

Rex całuje ją w czoło.

I stacza się z niej.

– Jesteś mi potrzebna – odpowiada szeptem. Całuje ją w ramię.
Louise nie śpi tej nocy. Nie tylko ona.

– Poszłaś z nim do łóżka? – zagaduje Cordelia, kiedy Louise następnego dnia rano wraca do domu. – Z tym swoim seryjnym zabójcą? – O dziewiątej jest kompletnie ubrana, ma na sobie sfatygowaną krótką spódnicę i golf. Czyta.

– Nie twoja sprawa – odpowiada Louise.

– Jak to?

– Masz dopiero siedemnaście lat.

– W wielu krajach pełnoletniość osiąga się w wieku szesnastu lat – odcina się Cordelia. – Czekałam na ciebie.

– Po co?

– Bo się niepokoiłam. W razie gdyby jednak facet okazał się seryjnym zabójcą i uwięził cię w piwnicy.

– A skąd byś się o tym dowiedziała?

– Hm, nie wróciłabyś do domu. – Unosi brodę. – To była wasza pierwsza randka?

– Idę pod prysznic – oznajmia Louise.

– Nie jestem wścibska – tłumaczy się Cordelia. – Tylko zaciekawiona. Można uprawiać seks z kimś, kogo dopiero co się poznało?

Podąża za Louise w stronę łazienki.

Louise zamyka za sobą drzwi. Rozbiera się.

– Nie boisz się? – dociera do niej stłumiony głos Cordelii.

– Czego?

– Czy ja wiem? Chorób? Że zrobi ci krzywdę?

Louise wchodzi pod prysznic. Odkręca wodę, która staje się tak gorąca, że aż parzy.

Cordelia przez cały dzień się uczy i pisze do Lavinii esemesy, na które ta rzadko odpowiada.

– Nie przejmuj się mną – mówi trzy dni przed Bożym Narodzeniem. – Możesz... zostawić mnie samą. Nie piję, nie zażywam narkotyków i nie robię nic zdrożnego. Więc jeśli chcesz, jedź do domu. Ja zostanę i poczekam na Vinny. Nie polecę do Paryża.

– Dlaczego nie?

W salonie, tam, gdzie dawniej stał kufer, jest tyle pustej przestrzeni.

– Dlaczego nie chcesz?

– Nie za bardzo dogaduję się z rodzicami – wyjaśnia zwyczajnie Cordelia.

– Hm, ja także – odpowiada Louise.

– Z jakiego powodu?

Wzrusza ramionami.

– Chyba tak naprawdę mnie nie lubią. – Mówi tak, jakby to miał być dowcip.

– A dlaczego mieliby cię nie lubić?

Kiedy jeszcze Louise chodziła na terapię (potem nie miała pieniędzy, a poza tym nie ufała terapeutce), stale powtarzała sobie jak mantrę: „ludzie wyrażają miłość na różne sposoby”, „troska czasami przechodzi w krytycyzm” i „wypuszczanie potomstwa z gniazda to trudny proces”, teraz jednak to wszystko wydaje jej się

kitem.

– Za mało się staram – wyjaśnia.

– To samo matka mówi o mnie. Ale mnie lubi. – Podciąga nogi na kanapę. – I to mam jej za złe. Kocha mnie bardziej niż Vinny... a to niesprawiedliwe. Powinno się kochać wszystkich jednakowo. – Puszczą do niej oko. – Tak byłoby po chrześcijańsku.

– Naprawdę jesteś wierząca?

Cordelia bawi się frędzelkami przy poduszce.

– Na początku chyba chciałam wkurzyć Vinny – wyjaśnia. – Kiedy zachowywała się jak ciemna poganka, mówiłam, że będę się modlić o jej duszę. – Zastanawia się przez chwilę. – Teraz jednak już wierzę naprawdę. – Opiera policzek na dłoni. – Im więcej czytam, tym bardziej dostrzegam w tym sens. Gdyby Bóg nie istniał... ten świat byłby zbyt straszny, żeby dało się opisać go słowami.

– Spójrz tylko!

Pokazuje Louise swój telefon.

Lavinia jest w Wielkim Kanionie. Jej cień zlewa się ze skałą.

– Byłaś kiedyś w Wielkim Kanionie, Lulu?

– Nie.

– Ja też nie. – Cordelia powiększa zdjęcie. – Nie jestem zbyt odważna. Wiesz, że... nigdy wcześniej nie sprzeciwiłam się rodzicom? Dobra ze mnie córka, jak widzisz. Popatrz... czy to nie piękne?

– Bardzo ładne.

– Wciąż powtarzam Vinny... należy być poważnym. Powinna

wrócić na studia. Jeśli nie wróci, później będzie tego żałowała. Ale, Lulu? – Wciąga głęboko powietrze. – Jak długo jedzie się do Wielkiego Kanionu?

– Pięć dni. – Louise to wygooglowała. – A dlaczego pytasz?

– A czy nie...

– Nie.

– Mogłybyśmy wypożyczyć samochód! I zrobić jej niespodziankę! Albo polecieć samolotem... gdyby nam się udało, byłybyśmy na miejscu akurat w Boże Narodzenie!

Żeby nie patrzeć Cordelii w twarz, Louise wciąż spogląda na zdjęcie.

– Nie, nie mogłybyśmy – odpowiada.

– Dlaczego nie? Vinny zawsze działa pod wpływem impulsu, robi coś szalonego... dlaczego my nie miałybyśmy? I spójrz... jak tam pięknie!

– Bo nie jest sama, Cordelio.

– No i co z tego? Vinny lubi mnie bardziej niż wszystkich przyjaciół, jakich do tej pory miała... przykro mi, Louise, ale taka jest prawda... na pewno by się ucieszyła, gdybym do niej przyjechała! Gdybyśmy obie przyjechały!

Louise przymyka oczy.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo nie!

– Ale dlaczego nie?

– Nie chciałyby cię widzieć!

Cordelia ma taką minę, jakby Louise dała jej w twarz.

Nic nie mówi.

Kładzie ręce na kolanach. Splata je. Przez chwilę siedzi w milczeniu.

– Lulu?

– Co znowu?

– Nie chciałabyś pójść po choinkę?

Na swoje pierwsze i ostatnie Boże Narodzenie w Nowym Jorku Virgil i Louise kupili doniczkową jodłę, którą mogli postawić na kuchennym blacie, bo w całym mieszkaniu nie było dla niej innego miejsca, ale kłócili się o to, kto będzie się o nią troszczył, i chociaż niby wiecznie zielona, w końcu uschła, i to według Virgila miało świadczyć, że Louise nie nadaje się na matkę.

Cordelia i Louise podchodzą do tego faceta na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Trzeciej Alei.

Tuż przed Gwiazdką ceny są wygórowane, ale Louise bez gadania płaci sto dolarów z tych ośmiuset czy coś koło tego, które jej zostały.

Chce też dopłacić za dostawę, ale Cordelia twierdzi z uporem, że nie zasługuje na drzewko ten, kto przynajmniej własnoręcznie nie zatańczył go do domu, więc we dwie niosą choinkę całą drogę powrotną do mieszkania Lavinii.

Na jej ubieranie poświęcają popołudnie. Nie mają ozdób, więc zawieszają na niej wszystkie te śmieci Lavinii: karty tarota, kryształki, strusie pióra, erotyczne posążki.

– To chyba nie jest świętokradztwo – zastanawia się Cordelia. –

Drzewka bożonarodzeniowe wywodzą się z tradycji pogańskiej.

Kładzie pod choinką prezent dla siostry.

– Będzie czekał do jej powrotu.

Tego wieczoru, gdy rozchodzą się do łóżek, Cordelia dzwoni do Lavinii.

Ponawia próbę cztery, pięć razy, a Louise leży skulona pod kołdrą i patrzy, jak połączenia zostają przekierowane na pocztę głosową.

Cordelia nagrywa kolejne wiadomości „Proszę odbierz proszę odbierz proszę odbierz”.

Louise słyszy ją przez ścianę sypialni.

Za szóstym razem Lavinia odbiera.

Louise wyszła na schody przeciwpożarowe. Wspięła się aż na dach.

– Co się dzieje, kochanie? Wydarzyła się jakaś katastrofa?

Cała się przy tym trzęsie, mimo że to dla niej nie pierwszyczna.

– Vinny! – Cordelii drży głos. – Vinny... wydzwaniam do ciebie od tylu dni!

– Kochanie, tylko mi nie mów, że wciąż jesteś w Nowym Jorku. Tak mi przykro, Cordy... na pewno się na mnie wściekniesz, i słusznie, bo Nerissa chce, żebyśmy pojechali aż do Big Sur, i chyba moglibyśmy...

– Potrzebuję cię!

Louise słyszy ją trzy piętra wyżej.

– Proszę, Cordy, bądź rozsądna...

– Wróć do domu, dobrze?

– Przepraszam, kochanie, wiesz, że z rozkoszą bym wróciła, ale...

– Proszę cię!

– Bardzo przepraszam. Cordy, posłuchaj... są tu pozostali...

– Proszę!

– Muszę kończyć.

Louise się rozłącza.

Cicho, na palcach, schodzi po schodach. Cicho wkrada się do mieszkania przez okno.

Cicho kładzie się do łóżka.

Słyszy, jak Cordelia w sąsiednim pokoju cicho szlocha.

Cordelia nie wspomina o tym Louise.

Następnego ranka, czyli w Wigilię, jest zupełnie opanowana. Jakby w ogóle nie płakała. Wstaje przed Louise, sprząta, przygotowuje śniadanie.

– Chyba wkrótce wyjadę do Paryża – oznajmia. – Musisz już mieć mnie dosyć.

– Ależ skąd – odpowiada Louise.

Zmusza się do wypicia kilku łyków kawy.

– Chyba powinniśmy jakoś uczcić Boże Narodzenie. Może wybierzmy się na pasterkę? Poszłabym do Świętego Jana Bożego... wiem, że to katedra protestancka, ale podoba mi się ich muzyka...

– Przykro mi – Louise na to. – Już się umówiłam.

Oboje z Rexem zaplanowali to przed wieloma tygodniami. Henry Upchurch wydaje swoje coroczne przyjęcie wigilijne. Jak zwykle wynajął salę w Yale Club. Ona i Rex od dawna nie byli na żadnej

imprezie. Robią się tacy nudni.

– Och – mówi Cordelia. – Jasne. Pewnie masz mnóstwo przyjaciół.

Wzrusza ramionami.

– W porządku. Pójdę sama. To zresztą święto religijne. Trzeba się skupić, no wiesz, na Bogu i tak dalej.

– Przepraszam – podejmuje Louise. – Obiecałam, że przyjdę, jeszcze zanim się zjawiłaś.

– Jasne – powtarza Cordelia. – Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. – Przełyka ślinę. – Prawie się nie znamy. To Vinny nas... – Urywa. Wraca do książki, którą czyta. Tym razem to coś Hildegardy z Bingen.

Louise nie może tego znieść.

– Posłuchaj – zaczyna. – Może pójdziesz ze mną?

– Dokąd?

– Na przyjęcie. W Yale Club. Przyjęcie... przyjęcie gwiazdkowe Henry'ego Upchurcha.

– Ojej – odpowiada Cordelia. – To chyba nie najlepszy pisarz.

Louise dotychczas nie zadała sobie trudu, żeby przeczytać jakąkolwiek z jego książek.

– Tylko nie mów tego Halowi.

– Jego też nie lubię. Nie ma talentów towarzyskich i przyjaźni się z Rexem.

– Nie jest taki zły – sprzeciwia się Louise. – Ani on, ani Rex. Poza tym będzie tam mnóstwo ludzi. Może nawet na żadnego z nich się nie natkniemy.

– Vinny byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, że z nimi

rozmawiałam – oponuje dalej Cordelia. – Zresztą nie miałabym co włożyć na taką okazję.

– Może pożyczycie coś od Lavinii? Na pewno by się nie pogniewała.

– Nie znosi, kiedy pożyczam sobie jej rzeczy bez pytania. – Cordelia jednak się zastanawia. – A ty w co się ubierzesz?

Louise się waha.

– Jeśli ty i ja coś byśmy sobie od niej pożyczyły, nie mogłaby się wściec na nas obie. – Cordelia wciąga powietrze. – Poza tym jeśli nie chce, żebyśmy pożyczały sobie jej rzeczy, powinna wrócić i nosić je sama... no nie?

– Tak – zgadza się Louise. – Masz rację.

– Dostanie nauczkę. – Cordelia się uśmiecha. – Rex się tu pofatygował... a ona nigdy się o tym nie dowie! Dotrzymałaś słowa, prawda? Nie wyjawiałaś jej?

– Nie.

– Dobrze. I nie wyjawiaj.

Cordelia podchodzi do szafy. Sunie palcem po strojach Lavinii.

– Będę uprzejma dla nich obu – zapowiada.

„Przepraszam” – Louise esemesuje do Rexa.

„Nie mogłam zostawić jej samej”.

Rex czyta wiadomość. Nie odpisuje.

„Przecież i tak możemy się dobrze bawić! Tylko musimy być dyskretni”.

Do tego emotikon przedstawiający rumieniącego się konia Przewalskiego.

Widzi na wyświetlaczu, że Rex pisze. Przez pięć minut.
„OK”. To wszystko, co ma do powiedzenia.

Louise robi Cordelii makijaż.

Pokazuje jej, jak wyprostować włosy, przekształcić burzę loków w uładzoną gładką fryzurę. Jak malować usta konturówką, żeby nie wychodziła poza ich obrys. Podkreśla jej oczy tuszem do rzęs („ależ są niebieskie” – myśli).

Pomaga wybrać sukienkę.

Cordelia dotyka czerwonej, jedwabnej, ze skosu.

– Co powiesz na tę? – Powstrzymuje się jednak. – Nie, nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Mam za małe piersi. Śmiesznie bym w niej wyglądała. –
Przysiada na łóżku. – To głupie... lepiej idź beze mnie.

– Nie... nie, powinnaś pójść!

Louise nie wie nawet, dlaczego tak jej na tym zależy.

– Wyglądałabym idiotycznie! – protestuje Cordelia. – Nie
wiem... nie wiem nawet, jak się w takiej kiecce ruszać.

– Pokażę ci – przekonuje Louise. – Tylko... ją włóż.

Cordelia wkłada.

Sukienka na niej wisi.

– Przypomina namiot.

– Niewłaściwie stoisz – tłumaczy Louise. – Musisz przybrać
odpowiednią postawę. Wyprostuj plecy... wygnij się tutaj, o tak.

– Czuję się jak kobra.

– To dobrze. I kiedy się uśmiechasz, przytykaj język do zębów.

– Po co?

– Bo wtedy masz uśmiech także w oczach.

Cordelia powątpiewa.

– To wychodzi lepiej na fotografiach – przekonuje Louise.

– I co z tego?

– Po prostu mi zaufaj, dobra?

Cordelia ma takie ciemne rzęsy, kiedy nimi trzepocze.

– Zrobisz mi zdjęcie? Nie do internetu... Po prostu chciałabym je mieć.

I Louise robi. Pokazuje je Cordelii, która stwierdza:

– Wyglądam śmiesznie.

W rzeczywistości wygląda pięknie.

– Wyślesz mi je? – prosi.

Jadą do Yale Club taksówką. Louise płaci.

Ma na rachunku czterysta dwa dolary i sześćdziesiąt trzy centy.

Hal już jest. Pali na schodach cygaro. Towarzyszą mu Beowulf i Gavin.

Widząc je, reaguje z opóźnieniem.

– Słyszałem, że jesteś w mieście. – Lustruje Cordelię od góry do dołu. – Sprawiasz kłopoty, co?

– Miło znowu cię zobaczyć, Henry – mówi Cordelia. – Kopę lat.

Podaje mu rękę.

– Kiedy ostatnio cię widziałem, miałaś aparat na zębach.

– A ty byłeś szczupły.

Hal się wyszczerza.

– Jesteś już pełnoletnia?

– Tylko w New Hampshire.

– Co za szkoda!

– Bynajmniej – odcina się Cordelia. Lekko drgają jej kąciki ust. –

Wcale nie.

I dodaje:

– Jesteś synem Henry’ego Upchurcha.

– Widocznie musiałem nagrzeszyć.

– Jak to jest?

– Przeczytaj jego książki. – Hal zaciąga się dymem z cygara. –

Z nich dowiesz się wszystkiego.

– Czytałam – odpowiada Cordelia. – Moim zdaniem *Pociąg szaleńców* jest cliché, a wszystkie postacie z *Konającej jesieni* zostają zbyt łatwo rozgrzeszone.

Louise przygryza wargę, aby Hal nie zauważył jej uśmiešku.

– Musisz wiedzieć, mała – rzuca Hal – że Henry Upchurch to największy amerykański pisarz ostatniego pięćdziesięciolecia.

– Nie martw się – zwraca się do Louise, kiedy Cordelia oddaje płaszcz do szatni. – Uprzedzono mnie. Będę grzeczny. – Podaje jej drinka. – Gdybyś chciała znać moją opinię, zanosz się na kłopoty, i to nieliczne.

– Ale nie chcę – rzuca Louise.

Hal wyciąga rękę i łapie za ramię Rexa.

– Znacie się? – Lekko bełkoce. – Czy mam dokonać prezentacji?

– Hal, przestań... – Louise lekko ściska Rexa za łokieć i czuje, że to żałosne.

Rex się uśmiecha, czy raczej krzywi usta.

Dostrzega ich Cordelia.

Podchodzi. Jest sztywna i chwieje się w wysokich szpilkach Lavinii.

– Cześć, Rex – mówi niskim głosem.

Podają sobie ręce.

– Jeśli ty będziesz zachowywać się przyzwoicie, to ja też – oznajmia Cordelia.

Hal wybucha śmiechem.

– Jak sobie życzysz – odpowiada Rex.

Hal podnosi szklanę.

– Za twoją siostrę – proponuje toast. – Dzięki której wszyscy się poznaliśmy.

Stukają się kieliszkami.

Nikt nie pije, z wyjątkiem Cordelii, która przymyka oczy i wychyla szampana, a potem się krzywi.

Yale Club, ze swoimi łukowatymi oknami, suto marszczonymi zasłonami, które zdają się unosić ku niebu, przypomina tort weselny – biały, złocony, cukierkowy. Są tam ci, którzy znają Henry’ego Upchurcha, tacy, którzy nie mieli okazji go poznać, jednak pragną sprawiać wrażenie, że znają, i tacy, którzy nigdy o nim nie słyszeli, ale chcą napić się za darmo.

Louise pije. Hal pije. Rex pije. Cordelia pije.

Pije więcej niż pozostali.

– Nie jest tak źle – mówi przy trzecim kieliszku, z czknięciem.

Klepie Rexa w ramię.

– Ty też nie jesteś taki zły. Doszłam do takiego wniosku.

Rex milczy.

– Głupiec z ciebie – ciągnie ona. – Ale ci wybaczam. Gdyby nie to, że Vinny jest moją siostrą, też bym z nią długo nie wytrzymała.
– Uśmiecha się. – Rozpogódź się, Rex... może w końcu przyjmie cię z powrotem. Jeśli kiedykolwiek wróci. Z Vinny nigdy nie wiadomo. Trudno przewidzieć, co zrobi.

Rex zmusza się do przełknięcia drinka.

– Tak – odpowiada. – Masz rację. Jest nieprzewidywalna.

– Chodźcie – mówi Hal. Kładzie Louise dłoń na krzyżu. – Przedstawię was ojcu.

Henry Upchurch jest stary.

I gruby.

Wygląda, jakby składał się z dwóch sklejonych ze sobą kul, mniejszej i większej. Ma podgardle jak indyk. Siedzi, bo jest za stary i za gruby, żeby stać. Nic nie mówi.

Przy boku Upchurcha, na kanapie, tkwi Beowulf; jego krucha dziewczyna, stojąc, unosi się nad nimi niczym komar. Jest w połowie znanego już Louise dyskursu na temat *Konającej jesieni*. Peroruje o słynnej scenie, w której główni bohaterowie staczają walkę na pięści z powodu koniugacji łacińskiej, i dowodzi, że w dzisiejszym świecie, z dzisiejszą wrażliwością, nie można by napisać czegoś takiego, żeby zostało zrozumiane przez *hoi polloi* (starannie wymawia rodzajnik), gdyż pewni ludzie, wiadomo którzy, wciąż wszędzie dopatrują się motywów homoseksualnych i nie ma miejsca na dyskusję, co znaczy być człowiekiem w sensie klasycznym.

Rex staje blisko Louise, ale jej nie dotyka.

Tak się umówili. Niemniej to przykre.

– Dam głowę – mówi Hal Cordelii do ucha, na tyle jednak głośno, że dociera to do Louise – że Beowulfa Marmonta podnieca wizja jego dziewczyny pieprzającej się z czarnymi.

– Co takiego?

– Słyszałaś.

– Jesteś odrażający.

– Tylko szczerzy – sprzeciwia się Hal. – Niektórzy mężczyźni tacy są, mała Cordelio. Lepiej, żebyś poznała ten świat.

– Znam go dobrze! – Podkreśla słowo „dobrze”.

Hal nalewa sobie whiskey do kieliszka od szampana.

– Rex jest ulubieńcem Henry’ego Upchurcha. Prawda?

Louise nie może się zorientować, czy Hal nabija się z Rexa, z Cordelii czy z niej samej.

– To dobre – ciągnie. – Bo nawet nie przeczytał *Konającej jesieni*, co, Rex? Ale jest filologiem klasycznym. Gdy przyszedł do nas na herbatę... Chryste, to było już chyba dziesięć lat temu... wdał się w rozważania o czasownikach z greki... Wywodził, że *substantia* i *hypostasis* znaczą to samo pod względem etymologicznym, choć pod względem teologicznym stanowią zupełne przeciwieństwo.

– Zgadza się – niespodziewanie włącza się Cordelia. – W pojęciu Trójcy Świętej występuje jedna *substantia* i trzy *hipostases*. – Znowu jej się czka. – A może jedna *hipostasis* i trzy *ousiai*? Nie pamiętam.

Hal jej nie słucha.

– To rzeczowniki – poprawia go cicho Rex.

– Henry Upchurch był pod wrażeniem... Dał ci referencje, gdy ubiegałeś się o przyjęcie do Yale, co, Rex? Nie zrobiło to na tobie wrażenia?

Rex stoi z opuszczoną głową.

– Na dywanie jest plama – odzywa się, wciąż patrząc w dół.

– Zawsze o ciebie pyta – kontynuuje Hal. – Za każdym razem, kiedy przyjeżdża z matką z Amagansett. „Jak się ma twój bystry przyjaciel Rex? Czyż nie jest błyskotliwy?”

– Można by pomyśleć – odpowiada Rex – że w takim ekskluzywnym miejscu czyszczą te cholerne dywany.

Gwałtownie podnosi głowę.

– Idę na papierosa.

Louise nie może pójść za nim.

– A ja pójdę po następny kieliszek – rzuca Cordelia.

I odpływa w stronę baru.

Louise oficjalnie poznaje Henry’ego Upchurcha.

Hal podprowadza ją do niego, gdy Beowulf zostaje odprawiony.

– Louise Wilson – przedstawia ją tym swoim na wpół jęklwym głosem, w którego szczerłość Louise nie do końca wierzy. – Będzie jedną z wielkich pisarek naszego pokolenia.

Henry Upchurch z trudem podnosi wzrok.

– Louise Wilson, bardzo mi przyjemnie – mówi ona.

Wyciąga rękę. Henry Upchurch sprawia wrażenie zdezorientowanego, więc Louise ujmuje jego dłoń, miękko i bezwładną, i ścisną mocno. Spogląda mu w oczy.

- Pisuję do „The New Misandrist”, „The Egret” i „Fiddlera”.
- Aha – odpowiada Henry Upchurch.

Głowa mu się trzęsie, tak trochę. Z ust cieknie ślina. Początkowo Louise sądzi, że starszy pan w ten sposób potakuje, ale to tylko drgawki.

– Louise potrzebuje rekomendacji – wyjaśnia Hal. Wciąż się uśmiecha, jakby nie zauważył, że glut spłynął ojcu na krawat.

– Aha – mówi Henry Upchurch.

Oczy ma szkliste. Nie patrzy na żadne z nich.

– Wyślę ją na lunch z Niallem Montgomerym, dobrze?

– Aha – Henry Upchurch na to.

Na krawat kapie mu ślina.

– W tym cała rzecz – mów Hal. – Wiadomo, że wielcy ludzie niewiele mówią. Trzeba się postarać, żeby wciągnąć ich do rozmowy. Niall Montgomery to jego agent literacki. Jest przyjacielem rodziny. Jutro idziemy do niego na świąteczny lunch. Wspomnę mu o tobie.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

– Bo należysz do wtajemniczonych – wyjaśnia.

– Jakich znowu wtajemniczonych?

Hal się wyszczerza.

– Tych. – Unosi brwi, patrząc na nią znacząco. – Wiesz, co i jak. Tak jak ja. Żaden z tych żalonych nieudaczników nie wie. A już na pewno nie Rex. Biedny, biedny Rex.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – protestuje Louise.

– Rola brzydszego z przyjaciół niesie ze sobą pewne korzyści –

mówi. – Nie zgodzisz się ze mną?

Wtedy Louise dostrzega Cordelię.

Rozmawia na korytarzu z nachylającym się nad nią Beowulfem Marmontem. Lekko chwieje się na obcasach.

Stoją pod jemiolą.

– Jestem bardzo tradycyjnym człowiekiem – mówi jej do ucha Beowulf.

A potem opuszcza głowę, żeby ją pocałować.

Cordelia podnosi rękę, ale albo reaguje za późno, albo Beowulf udaje, że tego nie zauważa; ujmuje ją za kark, przyciąga do siebie i tak bezczelnie się w nią wgryza, że Louise przez chwilę nie może go od niej oderwać. Szarpie się z nim, wołając: „Ona ma siedemnaście lat!”, zanim on w końcu zatacza się do tyłu.

Trzeba przyznać, że ma przerażoną minę.

Cordelia niezwykle spokojnie stoi w miejscu.

Nie patrzy na Louise.

– Masz chusteczkę? – pyta.

Louise ją podaje.

Dziewczyna ociera nią usta.

I rzuca.

– To był mój pierwszy pocałunek – mówi powoli.

Znowu dostaje czkawki.

– Chyba zwymiotuję.

Nie udaje jej się dobiec do łazienki.

Rzyga do kosza na papiery w korytarzu przed salą.

Louise głaska ją po plecach i ramionach.

– W porządku – mówi. Robiła to już tyle razy. – Nie powstrzymuj się. Poczujesz się lepiej, gdy wszystko zwrócisz.

– Niepotrzebnie tyle wypiałam.

– To moja wina – sprzeciwia się Louise. – Powinnam była mieć na ciebie oko... nie zdawałam sobie sprawy... – I urywa, bo to oczywiste, że większość ludzi nie może bezkarnie wypić butelki szampana na pusty żołądek.

– Nie musisz się mną przejmować, do diabła! – woła Cordelia. Wypluwa flegmę do kosza.

Pierwszy raz przeklina przy Louise.

– Sama jestem sobie winna – powtarza. Louise nie wie, czy Cordelią wstrząsa dlatego, że wciąż ma odruch wymiotny, czy dlatego, że szlocha. – Sama jestem sobie winna... zdradziłam ją.

– Jak to?

– Rozmawiałam z Rexem! I z Halem! Podałam mu rękę... o Boże! Boże! Ona nigdy mi nie wybaczy!

– Wybaczy!

– Podałam mu rękę! Powinnam ją sobie odciąć!

Zaczyna trzeć dywan, jakby chciała wymazać swój grzech.

Louise daremnie próbuje ją uspokoić.

– Jestem okropna! – krzyczy Cordelia.

– Nie, wcale nie.

Dziewczyna szlocha bezradnie, z głową na jej kolanach.

– Już dobrze – mówi Louise, jakby wiedziała, co zrobić, jakby umiała sobie radzić w takich sytuacjach. – Wszystko się ułoży.

– Ona mnie znienawidzi.

– Na pewno nie. Wierz mi. – Jakby to także mogła sprawić.

– Skąd wiesz?

– Bo pieprzyła się z Halem! – wyrzuca z siebie w końcu.

Cordelia wreszcie, wreszcie podnosi wzrok – i widzi Rexa z Halem, którzy stoją za nimi.

Rex nawet nie pyta, czy to prawda.

Wymierza Halowi cios.

Walczą ze sobą jak wściekłe psy.

Toczą się po dywanie. Rozbijają sobie wzajemnie twarze o ścianę. Hal wpycha Rexowi pięść do ust. Ten kopie go w brzuch. Padają na siebie. Rex chwytą Hala za skórę na karku. Tamten łapie go za włosy. Rex wali jego głową o podłogę.

Rozdzielają ich dopiero Gavin i Beowulf („no, naprawdę, Henry, na przyjęciu twojego ojca!”).

Hal się śmieje.

– A mówią – dyszy – że nie ma już prawdziwych mężczyzn.

Louise patrzy, jak Rex odchodzi.

Bardzo pragnie za nim pójść. Przez sekundę sądzi, że tak robi.

Jednak Cordelia znowu szłocha w ramionach Louise, wydmuchuje nos w jej spódnicę, tak naprawdę należącą do Lavinii, i brudzi makijażem swoją czerwoną jedwabną sukienkę, która także jest własnością jej siostry. Jedyne, co Louise może uczynić, to zabrać ją do domu taksówką, płacąc trzydzieści dolarów z tych trzystu osiemdziesięciu, które jej zostały, i uspokajając szeptem: „Wszystko w porządku, wszystko w porządku”, zaciągnąć po schodach, ubrać w jedną z wciąganych przez głowę koszul nocnych

Lavinii, wykrochmalonych i wyprasowanych, a potem utulić do snu.

– Nienawidzę ich – mamrocze Cordelia. – Nienawidzę ich wszystkich.

– Wiem.

– Wszyscy są okropni.

– Wiem.

– Nienawidzę jej!

– Wiem – odpowiada szeptem Louise.

– Tak bardzo jej nienawidzę! – Czka. – Nienawidzę! Nienawidzę! Nienawidzę!

– Wiem.

– Rex powinien był pozwolić jej skoczyć.

Louise zapiera dech w piersi.

– Nie mów tak.

– A dlaczego nie? To prawda... co?

– Nie mam pojęcia. – Serce szybko bije jej w piersi. – Nie! Oczywiście, że nie!

– Przez całe życie tylko okłamuje każdego, kto ją kocha!

Louise nie ma na to odpowiedzi.

Leżą razem w łóżku Lavinii, Cordelia łka z rozpaczą i zwija się w kłębek, więc Louise może tylko przytulić ją do siebie mocno, tak mocno, że drży wraz z nią i wraz z nią dostaje spazmów.

Leżą tak razem, aż Cordelia zasypia w jej objęciach.

Louise idzie do pokoju Cordelii. W ciszy siada przy biurku. Wysyła do Rexa esemesa – już tyle ich tej nocy wysyłała – pisząc, że

wszystko mu wytłumaczy, i błagając, aby pozwolił jej na to, aby pozwolił jej naprawić, co zepsuła, aby zostało to naprawione.

Wie, że Rex czyta jej wiadomości. Ale nie odpowiada.

„Proszę”.

Jest taka miękka. Aż czuje do siebie niesmak.

Podłącza swój telefon do kontaktu przy biurku. Przez chwilę spogląda na zdjęcia, na książki Cordelii: Julianę z Norwich, Thomasa Mertona, Teilharda de Chardin, Johna Henry’ego Newmana, świętego Augustyna. Przez następną chwilę patrzy w ciemność.

Idzie do łóżka.

O pierwszej telefon sygnalizuje nadejście esemesa.

Widzi imię Rexa błyskające na szafce nocnej.

„Brak mi Ciebie.

Możemy porozmawiać?”

„Dzięki Bogu – myśli Louise. – Dzięki Bogu”.

Czuje smak ulgi, która ją ogarnia, takiej wielkiej ulgi, że kiedy bierze telefon, zaczyna śmiać się głośno i wystukuje: „Tak, oczywiście, możesz do mnie zadzwonić. Nieważne, która godzina, porozmawiamy, jak długo będzie trzeba”, mimo że jej komórka jest tam, ładuje się na biurku Cordelii.

„Przepraszam – pisze Rex do Lavinii. – To straszne, ale wciąż Cię Kocham”.

Cordelia pochrupuje w sąsiednim pokoju.

Louise przestaje cokolwiek czuć.

Lavinia czyta esemesa od Rexa, który to widzi. Jednak mu nie odpisuje.

Teraz Rex wie, jak czuje się Louise.

Jest Boże Narodzenie.

Louise idzie się przewietrzyć. Wypala pięć czy sześć papierosów, mimo że nie paliła od czasu, kiedy zaczęła ćwiczyć z Lavinią (to jedyna zaleta, że Lavinii nie ma, myśli, przynajmniej nie bolą jej uda).

Rex wciąż wysyła do niej esemesy.

„Proszę.

Porozmawiaj ze mną.

Przepraszam Cię.

Jestem podły.

Wiem.

Zdaję sobie sprawę, jaki ze mnie egoista”.

Żeby cierpiać, Lavinia wstawia do internetu instagramowe zdjęcie Gór Skalistych.

„Nie mogę zasnąć – pisze. – Świat jest nieznośnie piękny”.

Rex Eliot lajkuje jej post.

Rankiem Louise dzwoni do Devonshire, żeby złożyć rodzicom życzenia świąteczne. To bardzo oficjalna rozmowa. Pytają, co u niej, a ona opowiada im o fiddlerowskiej Piątce przed Trzydziestką, to wielka rzecz, jeśli opublikowało się w internecie zaledwie kilka osobistych tekstów.

– Większość tych, którzy zostali do niej zaliczeni, wkrótce zdobywa agentów literackich – tłumaczy, jakby to jeszcze miało jakieś znaczenie. – Jednej dziewczynie w ciągu tygodnia zaproponowano umowę na publikację wspomnień.

– O – odpowiada jej matka. – Ale ty już przekroczyłaś trzydziestkę.

– Grudzień jeszcze się liczy – rzuca szybko Louise, chociaż to nieprawda.

– Czy dostaniesz jakieś pieniądze? Jeśli cię wybiorą?

– Nie. Tu chodzi o prestiż. I to nie jest żadna nagroda... tylko lista.

– Och – odpowiada matka. – Szkoda.

– Uhm – potwierdza Louise. – Fakt.

– Wiesz? – podejmuje matka. – Nie uwierzysz, kogo niedawno widziałam na ulicy.

Louise się domyśla.

– Bardzo wyprzystojniał... teraz, gdy obciął włosy. Odszedł z księgarni. Dostał pracę menedżera w Devonshire Inn. Nieźle, co?

– Chyba tak – odpowiada Louise.

– Nie wiem, co się między wami wydarzyło – ciągnie matka. – Ale to bardzo miły chłopak. A do ciebie nie stoi kolejka.

Louise już otwiera usta, aby wyjaśnić, że ma faceta, bardzo

przystojnego, który studiuje na Columbii i ją kocha, ale zaraz je zamyka.

– I... – ciągnie matka. – Wiem, wiem, będziesz na mnie wściekła... ale poprosił o twój numer... więc... pamiętam, co zawsze powtarzasz, ale tak dawno o nikim nam nie mówiłaś... a jemu ostatnio tak dobrze się wiedzie, no i wciąż o ciebie pyta, tak mu na tobie zależy...

Louise się rozłącza.

Kiedy wraca do mieszkania, Cordelia jest już na nogach. Włosy ma zaplecione w warkocz. Zmyła z twarzy resztki makijażu. Chodzi w piżamie.

„Tak młodo wygląda” – myśli Louise.

– Czekałam na ciebie – mówi dziewczyna. – Chciałam dać ci prezent.

Wręcza Louise pakunek.

– Kupiłam to dla Vinny – wyjaśnia. – Ale ty chyba bardziej to docenisz.

To antykwaryczne miniaturowe wydanie *Ulissesa* Tennysona. Ma złamany grzbiet. Ale to piękna książka.

– Vinny opowiedziała mi o waszej eskapadzie – ciągnie Cordelia. – Musiało być cudownie.

– I było – odpowiada Louise.

– Na Exeter nikt tak nie robi – kwituje Cordelia.

– Dam głowę.

– Tam robią tylko to, co dobrze wygląda w CV.

Cordelia wyjmuje swój telefon.

– Masz jakieś plany?

– Nie.

– Zamówimy chińszczyznę?

– Czemu nie?

– Zarezerwowałam bilet na samolot – oznajmia Cordelia. – Lecę do Paryża w sylwestra. Matka bardzo się cieszy. Powiedziałam jej, że moja przyjaciółka z Aspen przeżyła załamanie nerwowe, bo nie dostała się w pierwszej turze do Brown. Wkrótce się mnie pozbędziesz. Na pewno odczujesz ulgę.

Louise nie bardzo wie, dlaczego jest pewna, że wcale tak nie będzie.

– Założę się, że w tej chwili kąpie się nago w Pacyfiku – odzywa się znowu Cordelia.

– Być może.

– Do diabła z nią! – rzuca dziewczyna. – Zamawiam smażony ryż.

Za to też płaci Louise. I nawet dołącza napiwek. Rachunek opiewa na trzydzieści dwa dolary i czterdzieści jeden centów.

Wieczorem Rex wreszcie jej odpisuje, bo nie dostał odpowiedzi od Lavinii.

„Wybacz mi” – pisze.

„Potrzebowałem trochę czasu.

Przyjdiesz dziś wieczorem?”

Siedzą w milczeniu na łóżku Rexa, bo mieszkanie jest za małe, żeby wstawić do niego kanapę.

Louise czeka, żeby z nią zerwał. Ale on nie zrywa.

– Przepraszam – mówi. – Nie powinienem był zeszłej nocy zostawiać cię samej.

Ma rozciętą wargę.

A potem pyta:

– Od jak dawna wiedziałaś?

– Od niedawna – odpowiada Louise. – Dowiedziałam się tuż przed jej wyjazdem.

– Od niej.

– Przez przypadek zobaczyłam w jej telefonie. Powinam była ci powiedzieć. Nie gniewaj się. Ale kazała mi obiecać, że będę milczała.

– Nie – zaprzecza. – Nie... wcale nie powinnaś była. – Przełyka ślinę. – Jesteś... jesteś rozdarta. – Wzdycha. – Niepotrzebnie wszedłem pomiędzy was dwie.

– Nie mów tak.

– Postawiłem cię w bardzo trudnej sytuacji... wybacz mi. Nie powinienem był.

– Nie mów tak.

Jeszcze jakby go błagała.

– To głupie – ciągnie Rex. – W gruncie rzeczy nie wiem, dlaczego tak się wściekłem. Hal... to Hal. A ona...

Nie może nawet wypowiedzieć jej imienia.

– Lavinia – mówi cicho Louise. – Lavinia to Lavinia.

– Właśnie.

Rex wciąż spogląda na swój telefon. W jej obecności.

– Cordelia wyjeżdża – informuje go Louise. – Leci do Paryża. Dotarło do niej, że Lavinia nie wróci, w każdym razie nie

w najbliższym czasie.

Rex wypuszcza powietrze z płuc.

– Oczywiście – mówi. – To dobrze.

Ściska jej dłoń.

– Potem wszystko wróci do normalności – stwierdza.

Wieczorem Gavin mailem powiadamia Louise, że została włączona do fiddlerowskiej Piątki przed Trzydziestką. Ogłoszą to w Nowy Rok – pisze. Na przyjęciu. Chce, żeby przeczytała wtedy swoje opowiadanie o tym, jak udawała uczennicę Devonshire Academy. „To jeden z trzech najczęściej czytanych tegorocznych tekstów” – dodaje.

Louise ponownie farbuje włosy. Brudzi Lavinii całą wannę.

Rex wciąż śle Lavinii esemesy.

„Proszę, porozmawiaj ze mną” – zaklina ją.

A ona milczy.

Zaraz po świętach Hal wysyła Louise esemesa.

„Postawię Ci drinka – pisze. – W Bemelmans? O ósmej?”

– Rozmawiałem o tobie z Niallem Montgomerym – mówi. – Podoba mu się to, co piszesz. Powiedziałem mu, że zostałeś zaliczony do Piątki przed Trzydziestką. Wybiera się na przyjęcie z okazji ogłoszenia werdyktu.

Przez podbite oko wygląda jeszcze bardziej żałośnie niż zwykle.

– Tak naprawdę to ty powinnaś mi postawić – dorzuca.

Louise na to nie stać, ale odpowiada uśmiechem.

– Spokojna głowa. – Hal kładzie na stole kartę kredytową. –

Henry Upchurch zawsze dotrzymuje słowa. A ty należysz do Piątki przed Trzydziestką. Nie byle kto z ciebie.

– Jestem ci wdzięczna – mówi Louise. – Naprawdę.

– I słusznie. Bo powinnaś być. – A potem pyta: – Jak Rex?

– W porządku.

– Wciąż jest na mnie wściekły?

Louise wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

– Nic nie mówił?

– Staramy się do tego nie wracać.

– Mądra dziewczyna – kwituje. – Biedna jesteś.

– Dlaczego?

– Pamiętaj, że... znam Rexa dłużej niż ktokolwiek inny. Z nią włącznie. – Wznosi toast. – Jestem jego najlepszym przyjacielem. Wiem, co... co do niej czuł.

– Więc dlaczego mu to zrobiłeś?

– Była atrakcyjna i napalona, a ja miałem na nią ochotę. To wszystko.

– Wiesz, że nie – sprzeciwia się Louise.

Wygląda na urażonego, ale ona już się tym nie przejmuje.

– Chcesz mi wmówić, że jestem gorszym przyjacielem od ciebie?

– Nie – zaprzecza Louise. – Wcale nie.

– To co mam ci powiedzieć?

– Nic.

– Rex na nią nie zasługiwał – ciągnie Hal. – To chcesz usłyszeć?

– Bynajmniej.

– Ona także na nic szczególnego nie zasługiwała. Nie była nikim

nadzwyczajnym. Nawet w łóżku nie była dobra. Ale... go kochała. A on nie jest godny takiej miłości. – Popija drinka. – Nie była taka jak ty – dodaje. – Nie wiedziała, co i jak.

Telefon Lavinii pod blatem sygnalizuje odbiór esemesa. Louise nie musi nawet patrzeć na wyświetlacz.

– Nie powinien się skarżyć – wraca do tematu Hal. – Miał ją przez tyle lat. A z nią wiersze i piosenki miłosne, długie spacery po plaży, muzykę klasyczną. A co mnie się dostało? Parę weekendów w łóżku i kilka perwersyjnych numerów. – Przeciąga się przy barze. – W każdym razie rzuciła mnie. Bała się, że się dowiesz.

– Nie miałabym jej tego za złe – odpowiada Louise.

Przypomina sobie tamtą noc, kiedy Lavinia wróciła do domu, zataczając się, w sukience włożonej na lewą stronę, z krwią w ustach.

– Och, miałabyś. Nie dałabyś się wodzić za nos dziewczynie, która lubi, jak pieprzą ją w tyłek.

Ociera twarz serwetką.

– Do cholery z tym. Wyjeżdżam z Nowego Jorku. Zamierzam rzucić pracę. Kupię sobie stare porsche, takie chłodzone powietrzem, i wyruszę na Big Sur. Może spotkam się tam z nią. Może spotkam się z tobą.

– Może.

– Zostanę pisarzem, mała Louise. Tak jak ty. Mam jeszcze pięć lat, żeby wejść do Piątki przed Trzydziestką. I napisałem już pięćdziesiąt stron powieści, którą zamierzam wydać.

– Powodzenia.

– Wyślę ci ją. A ty mi powiesz, czy jest dobra.

Louise nie wie, czy Hal mówi poważnie.

– Na pewno będzie niezła.

– To kit – mówi on. – Niczego jeszcze nie napisałem. I nie rzucę roboty. – Opłaca rachunek. – I ty to wiesz, mała Louise. – Wyszczерza się do niej.

„Proszę” – esemesuje Rex do Lavinii.

„Rozumiem, że potrzebujesz więcej czasu.

Tylko mi napisz, czy mam na Ciebie czekać”.

Lavinia odpowiada tylko jednym słowem: „Nie”.

Rex jest w tym tygodniu taki dobry dla Louise. Ofiarowuje jej prezent świąteczny – piękną broszkę w stylu art nouveau, którą znalazł na targu staroci w Hudson – i Louise, podziwiając ją w lustrze, stara się nie myśleć, czy została kupiona dla niej.

On robi wszystko, żeby się tego nie dowiedziała. Zaprasza ją do Mud, do Veselki na pierogi, jak tamtej nocy, kiedy pocałował ją po raz pierwszy; zabiera znowu do sekretnej księgarni, żeby razem z Gavinem i Mattym Rosekranzem uczcić jej wejście do Piątki przed Trzydziestką, chociaż jeszcze tego nie ogłoszono, w każdym razie oficjalnie. („Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę Beowulfa Marmonta” – mówi Matty, który także za nim nie przepada).

Jest dla niej czuły za każdym razem, kiedy się kochają.

„Poczucie winy to taki pożyteczny mechanizm – myśli Louise. – Czyni człowieka lepszym”.

Lavinia dociera do Kalifornii.

Podczas całej jazdy Route 1 wstawia na Instagram zdjęcia.

Ostatni odcinek pielgrzymki przebywa sama.

Fotografuje swój tatuaż na tle błękitnej wody – może to Pacyfik, a może Photoshop.

„Więcej poezji!!!

Zawsze” – pisze.

Tyle że Rex znowu ją blokuje.

W sylwestra Cordelia pakuje walizkę.

– Wielkie plany? – zagaduje.

Louise ponownie wybiera się do MacIntyre. Umówiła się tam z Rexem. Wcześniej przyjdzie do niej Mimi, oficjalnie żeby przygotować się do wyjścia, ale tak naprawdę dlatego, że żadna z nich nie może wytrzymać w samotności.

Louise wzrusza ramionami.

– Takie same jak rok temu – odpowiada.

– Ja wtedy chyba będę w powietrzu – oznajmia Cordelia. – Nie wiem, co liczy się bardziej... północ w Paryżu czy północ w Nowym Jorku. Zresztą jakie to ma znaczenie.

– Rzeczywiście. Chyba żadne.

– Przykro mi, że nie będę na twoim wieczorze – ciągnie Cordelia.

– Nic nie szkodzi – odpowiada Louise. – Przyjdą inni.

– Wiesz... to nie było wcale takie najgorsze Boże Narodzenie – odzywa się znowu Cordelia. – Dużo się nauczyłam. A pierwszy pocałunek... to kamień milowy, no nie?

– Tak... pewnie.

– To lepsze niż święta w Paryżu, nie ulega wątpliwości. – Cordelia unosi brodę. – Nie martw się. Nie powiem rodzicom, że

Lavinia pozwoliła ci tu mieszkać. Nie powiedziałam im też o Mimi... a wcale jej nie lubiłam.

– Jestem ci wdzięczna – Louise na to. – Chyba.

– A ty nie powiesz Vinny... kiedy wróci. Byłam pijana, gdy wygadywałam te bzdury.

– Nie powiem. Przysięgam.

W mieszkaniu po jej wyjeździe jest tak pusto.

Kilka godzin później przychodzi Mimi. Ma sztuczne rzęsy i perukę à la Louise Brooks.

– OmójBoże! – wykrzykuje. – Niewidziałamcięodwieków!

Przyniosła skrzynkę małych puszek szampana Sofii Coppoli, z których pije się przez słomkę.

Ubierają się na przyjęcie.

W tym roku motywem przewodnim jest Berlin okresu weimarskiego. Louise wkłada smoking, który pożyczyła od Rexa, i nic poza tym, bo myśli, że miałyby znowu włożyć coś należącego do Lavinii, przyprawia ją o mdłości.

Maluje twarz na białło. Obwodzi oczy czarną kreską.

Mimi przegląda w telefonie zamieszczane przez Lavinie zdjęcia.

– Zazdrozczę jej – mamrocze. – Nie umiem prowadzić. –
Podnosi wzrok. – Może i ja powinnam rzucić picie.

– To... chyba dobry pomysł.

– Dzięki temu bym schudła. Boże, widziałaś jej brzuch?

Louise jest z tej fotki szczególnie dumna.

– Uhm.

Mimi nakłada brokat na policzki.

– Postanowienie noworoczne – oświadcza. – Poczynając od pierwszego stycznia... nie pozwól mi pić. Czekaj. – Przełyka ślinę.
– Zapomniałabym. Piątka przed Trzydziestką. Dobra. Poczynając od drugiego, nie pozwól mi pić. Obiecujesz?

– Wierzę w ciebie – odpowiada Louise. – Skoro mówisz, że nie będziesz pić, to nie będziesz.

Maluje usta szminką Lavinii.

Patrzy na siebie w lustrze.

Ściera ją.

Nie chce nawet czuć jej smaku.

Jadą do MacIntyre taksówką. Louise płaci. „W Nowym Roku – postanawia – skontaktuję się z Florą i Milesem. Znajdę nowych uczniów. Poszukam pracy. Założę konto na SeekingArrangement i poznam bogatego faceta, jak Athena Maidenhead”, ale w tej chwili nie może sobie pozwolić, żeby myśleć o Athenie Maidenhead. Nie stać jej na to; na dworze panuje zadymka.

Jest strasznie zimno, kiedy tak stoi się w kolejce do wejścia, ale mimo niskiej temperatury połowa ludzi przyszła w lekkich strojach, skąpych sukienkach i szpilkach, w dżinsach – nie w przebraniu – i Louise nie wie, czy rok wcześniej było inaczej, czy po prostu nikt już nie bawi się tak szampańsko jak kiedyś.

Bramkarz jest niegrzeczny i wszyscy z takim zacięciem cykają zdjęcia, że pchają Louise na ścianę, a jakaś dziewczyna nadeptuje Mimi na palec u nogi.

O wpół do jedenastej zostają wpuszczone do środka.

I co Louise widzi?

Czerwony aksamit, światła elektryczne, plastikowe torby, wypchanego jelenia, podartą tapicerkę, rozłożoną talię kart do tarota, kable, kobietę w cekinowej sukience, z gołymi plecami, która śpiewa *Is That All There Is?* Peggy Lee, pijanych facetów w czapkach bejsbolówkach, żyrandole, rozcieńczonego szampana.

To wszystko, co widzi Louise.

Nic nie jest dla niej nowością.

Pije.

Pije jak kiedyś Lavinia, chwytając butelkę i wlewając sobie jej zawartość do gardła, a Mimi uważa, że to przezabawne, i robi jej zdjęcia pod różnym kątem.

– Jak w Berlinie epoki weimarskiej – szczebiocze. – Naprawdę.

Zaczyna tańczyć na stołach.

Louise ją fotografuje.

„Jeszcze tylko jeden dzień – myśli. – Tylko jeden. Potem zaczniesz się bawić”.

Mimi całuje się z nieznajomymi.

I robi sobie zdjęcia (w wannie z zakładu dla obłąkanych, udając, że popełnia samobójstwo; na grzbiecie wypchanego jelenia; wisząc u szyi Louise niczym etola z norek; jako Liza Minelli z nogami oplatającymi krzesło).

W życiu nie bawiła się lepiej.

Wiedzielibyście, gdybyście zajrzeli na jej profil facebookowy.

Louise zauważa Rexa po drugiej stronie sali.

Jest w smokingu. To największy wysiłek, na jaki go stać.

Uśmiecha się, kiedy Louise do niego podchodzi.

– Spójrz – mówi ona. Tak bardzo się stara. – Pasujemy do siebie!

On ujmuje jej dłoń. I całuje. Potem patrzy w tłum, jakby mogła tam być Lavinia.

Błyskają światła. Dudni muzyka. Louise nie słyszy ani słowa z tego, co mówi Mimi.

Przyszli ojciec Romylos i Gavin Mullaney – przypominają jej: jutro twój wielki dzień, co? nie jesteś podekscytowana, że tak ci się w życiu powiodło? – jest także Athena Maidenhead, w sukience, którą kupiła jej Louise, wisi na ramieniu Mike’a, tego poznanego w operze; jest Rose, fotografka z „Last Night at the Met”, i dziewczyna, która występowała w *Rzykantach*, jest Laurie, autor ilustracji erotycznych, któremu Lavinia stawiała karty tarota, jest ten egiptolog, którego wyrzucono z Yale za to, że zostawił żonę dla studentki.

Mimi fotografuje Louise i Rexa; trzymają się za ręce i wyglądają na cholernie szczęśliwych.

Światła są takie jasne. Neony wręcz oślepiają. Louise, której dym dostaje się do oczu, zaczyna pokasływać. Jakieś pijane dziewczyny oblewają rumem z colą jej piękny wypożyczony smoking, tak że nawet obojczyki ma lepkie.

Ktoś, na pewno nie Peggy Lee, śpiewa Peggy Lee.

– Czy nie było jej tu w zeszłym roku?

Mimi wzrusza ramionami.

– Na pewno nie!

Tamta śpiewa wciąż to samo i niezależnie, czy Louise była tak

pijana rok wcześniej, czy tak upiła się w tym roku, w końcu się okazuje, że ta kobieta wcale nie śpiewa, tylko porusza ustami do autentycznych piosenek Peggy Lee, które lecą w kółko.

„Jeśli to już wszystko, przyjaciele (grzmi – jak się okazuje – ze wszystkich głośników), to tańczmy dalej”.

– Jest jeszcze lepiej niż rok temu! – Mimi uśmiecha się promiennie.

Chwyta Louise za rękę. Wyciąga na parkiet najpierw ją, a potem Rexa, bo ma w sobie tyle miłości, że nigdy nie przyszło jej do głowy, aby oczekiwać więcej, niż sama daje.

Louise chce się siku.

Rex, Mimi, Gavin, Athena, ojciec Romylos, Laurie, Rose, egiptolog i dziewczyna, która występowała w *Rzykantach* – wszyscy obiecują, że zaczekają na nią przy barze na dole, tym, który wygląda jak artdekowski podium.

Kiedy Louise tam schodzi, nikogo nie ma.

Jest za kwadrans dwunasta.

– Tik-tak!

Maszeruje ku niej Hal.

Jest przebrany za nazistę. Nikt nie zwraca na niego uwagi.

– Chwytasz? – pyta, kiedy ją widzi. – To pod temat przewodni.

– Chwytam.

– Wiesz, że to prawdziwy Hugo Boss?

– O rany!

– Ale przecież nie mam wąsika ani nic takiego.

– Dzięki Bogu – komentuje Louise.

Już prawie nie widać, że miał podbite oko. Ale sprawia wrażenie, jakby od paru dni nie spał.

– Wiesz, co podarowałem Henry’emu na Boże Narodzenie?

– Nie interesuje mnie to – odpowiada Louise.

– *Doktrynę faszyzmu*. Matce też. No i do tego apaszkę Hermèsa, oczywiście. Nie jestem potworem.

– Skończyłeś?

– Jak my wszyscy. Świat się wali. Nadchodzi rewolucja.

– Po co w ogóle tu przyszedłeś, Hal?

On wzrusza ramionami.

– Są tu moi przyjaciele.

Opiera się o ścianę korytarza.

– Przestań, Lulu – rzuca. – Bądź człowiekiem, dobra?

– Co to ma znaczyć?

– Zatańcz ze mną!

Basy tak dudnią, że aż drżą mury.

– Powinnam poszukać Rexa.

– Nie rób tego.

– Dochodzi północ.

Łapie ją za nadgarstek.

– Hal, nie!

– Już prawie dwunasta. Pójdę z tobą!

– Hal – powtarza Louise, bo tego jeszcze jej potrzeba, żeby Rex znienawidził ją do końca. – Nie!

– Proszę cię!

Pada na nich światło stroboskopowe i Louise po raz pierwszy

widzi go dobrze.

Hal płacze.

– Proszę, nie odchodź.

– Muszę.

– Chcę pogadać z Rexem!

– Możesz to zrobić jutro.

– Chcę pogadać z nim teraz.

– Nie możesz.

– Powiedz mu, że... – Coś dławi go w gardle. Wygląda jak zdychający kot.

Do północy pozostało pięć minut.

Louise nie daje mu dokończyć.

Chwiejnym krokiem rusza w tłum. Wszystko wokół widzi podwójnie.

Zauważa Athenę kołyszącą się na parkiecie z Mikiem (a może to ktoś inny, jakiś nieznajomy), Beowulfa Marmonta albo kogoś bardzo do niego podobnego, kołyszącego się z dziewczyną, która na pewno nie jest jego sarniooką przyjaciółką, Gavina Mullaneya z drugą w kolejności ulubioną partnerką, Mimi, Mimi tańczącą w pojedynkę, Mimi skąpaną w świetle reflektora, Mimi, która po raz pierwszy nie pragnie desperacko, żeby ktoś tańczył z nią, i ten wielki artdekowski zegar w kształcie cyfr 2-0-1-6; został opuszczony spod sufitu jak żyrandol i tyka w rytmie basów, tak że Louise nie może się zorientować, co jest muzyką, a co odmierza czas.

Do północy pozostała minuta.

Jedynie, czego Louise w tej chwili pragnie, to pójść spać.
Ale w świecie, w którym żyje, to niemożliwe.

Minutę przed północą dostrzega Rexa.

Stoi sam przy barze, z kieliszkiem martini w dłoni.

Louise podbiega do niego.

Sprawia wrażenie uradowanego, że ją widzi.

Odliczają sekundy do północy, wszyscy razem odliczają je od sześćdziesięciu, myląc się i bełkocąc; Louise czuje się strasznie samotna, a Rex wydaje się taki uszczęśliwiony, że ją widzi, chociaż to niemożliwe, zupełnie niemożliwe, jeśli tylko Lavinia jest gdzieś tam na świecie poza jego polem widzenia, i Louise ma tego świadomość, ale trzeba pamiętać, że jest pijana, podobnie jak on, i obojgu w tym tygodniu złamano serce, a bardziej niż czegokolwiek Louise pragnie być w czyichś ramionach.

Rex bierze ją w swoje.

Upada na kolana.

Całuje Louise po brzuchu, jakby była w ciąży albo zaliczała się do bogów.

W oczach ma łzy.

– Wybacz mi – mówi. Wciąż ją całuje, jakby wiedział, że ona wie. Całuje jej rękę. Całuje wewnętrzną stronę nadgarstków. Całuje wnętrza dłoni.

Ona też płacze. Kręci głową.

Dziesięć... dziewięć... osiem...

Całuje go i całuje, głodnymi ustami.

Siedem... sześć... pięć...

Ich łzy się mieszają.

– Brakuje mi ciebie – mówi Rex. – Jesteś mi potrzebna... jesteś mi potrzebna.

Louise staje nad przepaścią, świat znika, wiruje i miga wokół niej, a ona spada, spada i nikt na tej planecie nie może jej złapać.

Cztery... trzy... dwa...

– Kocham cię – szepcze Rex.

I może mówi prawdę.

Jadą taksówką do mieszkania Lavinii. Całują się przez całą drogę do centrum. Rex przy każdej przecznicy powtarza: „Kocham cię”; wsuwa Louise rękę pod koszulę i maca ją po piersiach, jakby taksówkarz nie słyszał żadnych odgłosów dochodzących z tylnego siedzenia; śnieg sypie tak mocno, że Louise nie widzi nawet nieba; tak sypie, że w radiu mówią bez przerwy: „Takiej zawiei nie było od sześćdziesięciu lat”, więc może Hal ma rację, może świat rzeczywiście się kończy, ale w tej chwili to nie ma żadnego znaczenia, bo choć oboje są tacy samotni, mają siebie nawzajem, bo Lavinia nigdy nie wróci – i to jest druga najważniejsza rzecz.

Jej makijaż brudzi mu twarz. Ich smokingi, pomięte, upadają na podłogę. Koszule się dra, kiedy je z siebie ściągają.

– Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Wtedy otwierają się drzwi.

Staje w nich Cordelia.

Upuszcza w progu walizkę.

Zbierają się pospiesznie – gorączkowo – żeby zasłonić nagość,

pokryć wstyd; Rex chwytą poduszkę z kanapy, Louise szlafrok Lavinii i oboje mamrocą usprawiedliwienia, przekonują, że „to nie to, co myślisz”, mimo że to ewidentnie to.

– Pada śnieg... – Głos Cordelii brzmi tak spokojnie. – Rozpętała się zamieć. Nie słyszeliście? Wszystkie loty zostały odwołane.

Wkracza do salonu. Idzie do kuchni. Stawia czajnik na gazie. Rex w pośpiechu zapina rozporek.

– Przepraszam – mówi Cordelia. Nie patrzy na nich. – Przeszkodziłam wam.

Bierze dzbanek do herbaty.

I rzuca go Louise w twarz.

– A niech cię!

Naczynie rozbija się tuż za jej głową.

– Niech cię szlag!

Rani ją odłamek, nieznacznie, powodując lekkie pieczenie. Louise nawet tego nie czuje.

– Poczekaj! – Rex dzielnie usiłuje włożyć na siebie koszulę. – Wiem, że to źle wygląda.

– Ty żaloszny tchórze!

– Ona wie, tak? Ona wie! – Brakuje mu tchu. – I wcale jej to nie obchodzi... wiedziała od początku... przysięgam!

Cordelia jest bardzo blada.

– Niech ci się, do diabła, nie wydaje, że znasz moją siostrę! Obchodzi ją!

– Powiedziała mi! Przysięgam na Boga... przysięgam na Boga... zadzwoniła do mnie! Dała mi swoje błogosławieństwo! Nam obojgu.

Cordelia śmieje mu się w twarz.

– Nieprawda!

– Prawda... Boże, Louise powiedz jej!

Dziewczyna spogląda jej w twarz.

Ma takie jasne, niebieskie oczy.

Patrzy na Louise, stojąc w miejscu, gdzie kiedyś był kufer z parowca.

– Chcecie mi wmówić, że Vinny wie?

Louise waha się sekundę.

– Bo wie.

Cordelia wypuszcza powietrze z płuc.

– Nie – zaprzecza. – Wcale nie.

– Wie.

Tamta powoli przenosi wzrok z drzwi na miejsce po kufrze, z miejsca po kufrze na Louise.

– To gdzie jest?

– Mówiłam ci. Pojechała do Kalifornii.

– Nie. Gdzie ona jest?

– Wiem tyle samo co ty.

– Gdzie ona jest?!

– Przysięgam – powtarza Rex, ale Cordelia nawet na niego nie patrzy.

– Zadzwońmy do niej, co wy na to? – proponuje, ale Louise tak szybko mówi: „ Nie”, że dziewczyna zaczyna krzyczeć: – Gdzie ona jest?!

– Ja nie...

Cordelia wymierza jej policzek.

– Pytam... gdzie ona jest, do diabła?

– Cordelio! – próbuje Rex, ale ona rzuca się na Louise, ciągnie ją za włosy, usiłuje dosięgnąć oczu.

– Wiem, wiem gdzie!

Jest taka drobna, znacznie niższa od Rexa, który mimo to musi użyć całej swojej siły, żeby odciągnąć ją od Louise.

Obie przewracają się na podłogę.

Louise krwawi.

Cordelia wstaje chwiejnie. Dyszy. Też krwawi.

– Głupiec z ciebie – mówi do Rexa. – Boże... ale z ciebie głupiec.

Nie odrywa wzroku od Louise.

– Boże... idiota!

Rex pomaga Louise się podnieść. Bierze ich płaszcze.

– Powinniśmy pójść – mówi.

Cordelia wciąż łapie oddech. Jej oczy są takie niebieskie.

– Ojej, przepraszam – odzywa się znowu Rex, jakby to miało jeszcze jakieś znaczenie.

– Wynocha! – rzuca Cordelia.

– Naprawimy to – powtarza Rex przez całą drogę na parter, a potem w taksówce. – Po prostu... jest zdenerwowana. Jest po prostu zdenerwowana.

Louise się trzęsie.

– Możesz dziś przenocować u mnie – mówi on, bo jest w stanie ją teraz uratować, ma zadanie do wykonania. – Rano wrócimy, wyjaśnimy wszystko. Potrafimy wyjaśnić!

Śnieżyca przechodzi. Świat jest zamarznięty, nagi, martwy.
Nawet drzewa wyglądają jak kości.

– Nie jesteśmy podli! – wykrzykuje.

Louise nie może powstrzymać się od śmiechu.

Jest jej gorąco.

Tak nieznośnie, boleśnie, obezwładniająco, że chyba zaraz umrze.

– Proszę się zatrzymać – nakazuje taksówkarzowi.

– Louise, co ty...

– Niech pan nas zawiezie na Coney Island.

– Louise, jest druga w...

– Powiedziałam. – Nigdy w życiu nie była niczego bardziej pewna. – Proszę nas zawieźć na tę cholerną Coney Island.

I taksówkarz ich wiezie.

Louise płaci ostatnią ze swoich studolarówek.

Siedzą w milczeniu.

– Lou... – próbuje Rex, tylko raz, ale ona całuje go mocno, zachłannie, nie pozwalając mu mówić.

Na miejscu jest zimno, ciemno i strasznie pusto.

Louise otwiera drzwi taksówki. Rzuca się w stronę wody.
Upuszcza torebkę na piasek.

Rex pędzi za nią.

– Powiesz mi, do cholery, o co ci chodzi?

Jest jej po prostu tak piekielnie gorąco.

Porusza się szybko, zmiierzając w stronę oceanu. Biegnie.

Woda jest zimna. Omywa nią twarz. Twarz, szyję, ręce. Ale wciąż jest jej tak piekielnie gorąco, że zaraz spłonie.

– Zabijesz się w ten sposób.

Rex stoi w pewnej odległości, z rękami w kieszeniach.

Louise to nie obchodzi.

Trze ciało, aż staje się czerwone.

– Posłuchaj... po prostu zadzwonimy do Lavinii – ciągnie Rex. – To nie takie trudne. Żadna sprawa. – Zadzwonimy do niej i poprosimy, żeby wytłumaczyła swojej cholernej siostrze...

– To niemożliwe – odpowiada Louise.

Stoi po kolana w oceanie. Nie pojmuje, dlaczego jest jej tak piekielnie gorąco.

– Oczywiście, że możliwe – sprzeciwia się Rex. – Lavinia nie jest złą osobą, nie będzie robiła nam na przekór, powie Cordelii...

– Lavinia nie żyje – mówi Louise.

Kolejna zabawna rzecz: Rex jej nie wierzy.

Stoi tam i gapi się na nią idiotycznie, otwierając i zamykając usta, jak ryba.

– Nie bądź śmieszna – rzuca. – Oczywiście, że żyje.

– Wierz mi. – Louise wchodzi coraz głębiej do wody. – Nie żyje.

– Jest w Kalifornii.

– Nie.

– Właśnie z nią rozmawiałem!

– Nieprawda.

– My niedawno...

Odwraca się, żeby na niego spojrzeć. Ma mokre rajstopy. Na

brodzie roztarła jej się szminka.

– Nie – ciągnie. – Nie rozmawialiście ze sobą.

Rex wciąż nie rozumie.

Louise się dziwi – nie może się nadziwić – jaki z niego głupiec.

– Lavinia nie żyje od lipca – tłumaczy mu.

– To jakieś szaleństwo. – Rex powtarza to kilka razy, jakby w ten sposób mógł zmienić rzeczywistość. – O rany... Lou... odkryłaś coś?

– Wdałyśmy się w bójkę w P.M. I ją zabiłam.

– Nałykałaś się czegoś? – Mówi tak, jakby wcale jej nie słuchał.

– Rany boskie, Lou... powiedz, co zażyłaś! Ja... Chryste... dzwonię po karetkę, dobra?

Jak przyjemnie, woda jest taka zimna.

– Wdałyśmy się w bójkę. Schowaj telefon.

Zdumiewa ją, jak bardzo go to przerasta.

– Co się stało?

– Właśnie powiedziałam. Zaczęłyśmy się bić. Uderzyła głową w ścianę. Wrzuciłam jej ciało do East River.

– Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ludzie tak nie robią – wydusza z siebie.

To niemal śmieszne – myśli Louise – jak mogła kochać kogoś tak głupiego.

– Nie ma nic prostszego – ciągnie. – Zwłoki wrzuciłam do rzeki. Codziennie w imieniu Lavinii wstawiałam posty na Facebooka. –

Coraz łatwiej przychodzi jej o tym mówić. – Raz na tydzień

wypłacałam pieniądze z konta. To ja nagrałam ci się na pocztę głosową. Umiem ją udawać.

– Jezu!

Rex wreszcie opuszcza dłoń z telefonem.

I wreszcie, wreszcie jej wierzy.

– Jezu.

– O rany – mówi Louise. – Strasznie tu zimno.

Stoi w wodzie po biodra.

Pozwala sobie na szloch.

Pozwala sobie na krzyk.

Chodzi jej o jedno.

Żeby Rex ją zrozumiał.

Ma tylko powiedzieć: „Tak, kocham cię, wiem, dlaczego to zrobiłaś, nie jesteś złym człowiekiem, starałaś się, najważniejsze, że się starałaś”.

„Kocham cię”. To takie proste. Tylko to ma powiedzieć. Już mówił.

– Cholera. – To pierwsze słowo, jakie Rex wypowiada po minucie.

– Cholera! – Patrzy na nią bezradnie. – I co teraz zrobimy?

Louise milczy.

– Na litość boską... powiedz, co zrobimy, Lou!

– Nic – odpowiada ona. – Nic nie możemy zrobić. Stało się i już.

Rex raz po raz bierze głęboki oddech.

Nie może mówić. Nie jest w stanie sobie z tym poradzić.

– Posłuchaj – wyrzuca z siebie, kiedy wreszcie odzyskuje głos. –

Pójdziemy na policję, dobrze? Pójdziemy i powiemy, że to był wypadek... Jezu... bo to był wypadek, prawda?

– Czy to ważne?

– To nie był wypadek?

Louise nie ma już pewności.

– Chryste, Lou, powiedz, że był!

Patrzy na nią szeroko otwartymi oczami.

Louise nie odpowiada.

Rex oddycha szybko i głęboko.

Już nawet na nią nie patrzy.

– Musisz się zgłosić na posterunek.

– Nie ma sensu – odpowiada Louise. – To niczego nie zmieni.

Lavinia nie żyje.

– Ale tak trzeba!

– I co z tego?

Rex patrzy na nią ze zgrozą.

Patrzy na nią tak, jakby naprawdę, naprawdę ją znał.

Louise wpatruje się w horyzont, w punkt, gdzie czarny ocean przechodzi w czarne niebo. Wcześniej nie zauważyła, jak słona woda piecze, kiedy ktoś cię podrapał albo uderzył, albo wyrwał ci włosy, jak to jest, kiedy jest się żywcem obdzieranym ze skóry.

Dobrze coś poczuć.

– Przykro mi – mówi Louise. – Wiem, że ją kochałeś.

Louise nawet nie wie, kiedy zaczyna płakać. Może płacze od początku.

– Wyjdź z wody – nakazuje Rex.

Ściąga smoking. Odpina zegarek, wyjmuje telefon. Kładzie je na piasku.

– Cholernie ją kochałeś.

– Proszę – mówi on. – Proszę... wyjdź na brzeg.

– Może nie?

– Nie... Chryste, Lou.

– Nie okłamuj mnie, do licha! Proszę... proszę... tylko mnie nie okłamuj.

– Kocham ciebie – rzuca Rex.

Cholernie dobrze to usłyszeć.

Rex wchodzi do wody. Zanurza się po pas. Ujmuje ją za ramiona.

– Kocham cię... tylko proszę... wyjdź z wody.

Tyle że wcale jej nie kocha.

Rex się stara – naprawdę się stara, usiłuje wyciągnąć ją z wody; chwyta za ramię, chyba mocniej, niż zamierza albo powinien – to wybaczalne, jeśli ktoś próbuje postawić mordercę przed sądem; słuszne, jeśli jest bohaterem, odgrywa bohatera albo musi zostać bohaterem, za wszelką cenę, do cholery; to nic strasznego – nawet jeśli ktoś chce uczynić sprawiedliwości zadość, to jeszcze nie powód, żeby go zabijać.

Ale to, że chwyta ją w taki sposób, kiedy ona szlocha, kiedy krzyczy, jest głupie z jego strony; jest głupie, że ją okłamuje, podczas gdy ona prosi tylko, aby tego nie robił.

Obejmuje ją i próbuje podnieść, ale Louise jest o wiele od niego silniejsza albo tkwi w wodzie dłużej, oswoiła się już z zimnem,

nawykła do niego, przyzwyczaiła się do tego, że jest zmarznięta i mokra, czy też wie, co to ból, więc lepiej go znosi niż on, dlatego gdy Rex, drętwiejąc, słabnie, wystarczy, żeby złapała go za szyję, postawiła mu nogi na plecy i przytrzymała go pod wodą, tak lodowatą, że aż paraliżuje... i już sama nie wie – nigdy nie będzie wiedziała – czy wykańcza go woda, czy chłód.

Rex tonie.

A potem się wynurza.

Krzyczy, jego płuca wypełniają się słoną wodą; szamocze się, więc Louise musi wepchnąć go głębiej, z siłą, która jednocześnie ją przeraża i upaja.

Rex tonie.

A potem znowu się wynurza.

Miota się, wije i uderza Louise łokciem w twarz tak mocno, że łamie jej nos; wykrzykuje pierwszą sylabę jej imienia, więc Louise musi zatkać mu usta dłonią, mimo że ją gryzie.

Rex tonie.

I już więcej się nie wynurza.

I na powierzchni wody, zalanej blaskiem księżyca w pełni, jest tylko Louise.

Louise wie, co dalej zrobić. Doszła już do wprawy.

Ma telefon Rexa.

Któregoś razu jedna dziewczyna przy pełni księżyca łyknęła garść pigułek i powiedziała: „Jeśli świat jest nie taki, jak powinien, wolę umrzeć”, ale mężczyzna nie chciał odejść razem z nią. Nie teraz. Wtedy.

Obecnie mężczyzna, który za dużo wypił, leży w wodzie twarzą do dołu; coś takiego zdarza się stale.

Louise wie, jak stworzyć sobie alibi (cała sztuczka polega na tym, żeby odpowiednio połączyć swoją obecność w konkretnych miejscach, wyznaczniki czasowe i wyjątkowość sytuacji, bo na to reagują ludzie, a jeśli reagują, to znaczy, że mają cię za żywego, ale jednocześnie nie należy być za dokładnym, żeby potem nie tłumaczyć się z jakichś rozbieżności). Wie, jak pozbyć się ciała. Ma doświadczenie w pisaniu gorączkowych nocnych esemesów o treści: „Nie chcę bez Ciebie żyć”.

Robi porządek. Zawsze robi porządki.

Może wrócić taksówką do MacIntyre z portfelem Rexa. Wie, wie na pewno, że Mimi wciąż tańczy na parkiecie; może jej powiedzieć, że pokłócili się z Rexem po tym, jak nakryła ich Cordelia; potem on szybko wyszedł (jakie jest prawdopodobieństwo, że trafią na

tamtego taksówkarza; zapłaciła za kurs gotówką – nie miała takiego zamiaru, ale nawykła do płacenia w ten sposób, kiedy nie jest Lavinia, na wszelki wypadek); nie znajdą jego ciała jeszcze przez wiele dni.

Potem, na pogrzebie, wszyscy będą jej współczuli.

Rex zabił się z powodu Lavinii (będą jeszcze bardziej jej nienawidzić) i jeśli Lavinia zniknie gdzieś w Big Sur, pomyślą, że wiedzą dlaczego.

Louise będzie mogła zamieszkać z Mimi.

Siada na piasku, sama, przemoczona, tak zziębnięta, że ledwie jest w stanie oddychać, i patrzy na zwłoki Rexa unoszące się na wodzie tam, gdzie ocean łączy się z lądem. Myśli: „Dam radę”.

„Dam radę”.

Może jako korepetytorka znaleźć sobie kolejnego ucznia albo dwóch. Następnego dnia (już tego, o Boże, już tego) ma się odbyć przyjęcie „Fiddlera” w lofcie w Bushwick, ozdobionym wyłącznie drewnem pozyskanym z zatopionych statków. Przyjdzie Niall Montgomery i wielu innych, na których mogłaby zrobić wrażenie, opowiadając, jak to udawała, że uczy się na Devonshire Academy; to świetna historia, choć już ledwie zgodna z prawdą.

Może wmówić wszystkim, że to ona jest ofiarą (Hal ją lubi, Mimi ją lubi, wszyscy, wszyscy ją lubią); może zostać męczennicą; może napisać naprawdę wzruszający osobisty tekst o tym, jak jej chłopak i najlepsza przyjaciółka zabili się oboje, jedno z powodu drugiego, i jak to jest, kiedy zawsze, zawsze zostaje się samą. Gavin Mullaney pewnie je opublikuje.

Gwiazdy są jak przybite do nieba gwoździe.

Ocean jest bezlitośnie czarny.

Kiedyś Louise stała na jego brzegu naga, z piaskiem między palcami, wołając: „Oto kim jesteśmy, oto kim jesteśmy!”, ale to było dawno.

„Dasz radę – powtarza sobie teraz. – Dasz radę”.

Może pożyczyć pieniądze od Mimi. Zarobi pięćset dolarów, pisząc dobry tekst do internetowego wydania „Fiddlera”, a jeszcze więcej – pisząc do papierowej edycji. Znajdzie sposób, żeby pozbyć się Atheny Maidenhead (musi tylko pomyśleć). Ma klucze od mieszkania Rexa (choć nie chciałaby tam więcej chodzić). Wszystko załatwi (zawsze wszystko załatwia).

Oczywiście pozostaje jeszcze Cordelia.

Może tak to przedstawić, żeby Cordelia wyszła na wariatkę. Wiadomo już, że Lavinia jest wariatką; a jeśli to dziedziczne? Może rozgłosić, że biedna, biedna niezrównowazona Cordelia napadła Rexa w mieszkaniu i – jeśli będzie taka konieczność – że ta słodka, pocziwa mała coraz bardziej upodabnia się do swojej narcystycznej siostry, bo przecież już Grecy chcieli nam przekazać, że nie mamy władzy nad przeznaczeniem. Może sprawić, że nikt nie uwierzy w głoszone przez Cordelię teorie o siostrze, kufrze z parowca, Reksie, Big Sur i telefonach; ludzie tacy nie są; nie wierzą w podobne rzeczy.

Nie może tylko sprawić, żeby Cordelia przyjęła jej wersję.

Ale wcale nie chce.

Dziń, do Rexa przychodzi esemes. Od Hala.

„Muszę z Tobą pogadać”.

„Proszę”.

„Proszę”.

Louise bardzo wszystkim współczuje.

Współczuje każdemu na całym tym szerokim świecie.

Dziś, do Louise przychodzi esemes. Od Gavina.

„Przygotuj się na wielki wieczór!”

Dziś, do Lavinii przychodzi esemes. Od Cordelii. Dwadzieścia nieodebranych połączeń.

Wszystkie są sygnalizowane tak cholernie głośno.

Louise ma wrażenie, że pod wpływem tego dźwięku gwiazdy spadną z nieba.

Oto co Louise robi dalej.

Farbuje włosy.

Zostawia ciało Rexa na plaży. Mimi wstawia na Facebooka ich zdjęcie, jego i Louise, całujących się w MacIntyre; to właśnie wtedy musiał jej powiedzieć, że ją kocha, bo sypie się na nich konfetti.

Porzuca tam także jego telefon (kochany pijany Hal dalej będzie wydzwaniał do Rexa).

Wsiada do metra. (Gavin publikuje mnóstwo materiałów reklamowych o Piątce przed Trzydziestką i przypomina wszystkim na Facebooku, że być do niej zaliczonym to jak namaszczenie: jeśli jesteś na tyle ważny, żeby pisać do „Fiddlera”, będzie ci wolno

potem wygadywać wszelkie bzdury i nikt, słuchając cię, nie będzie przewracał oczami; poza tym oznacza tę piątkę przed trzydziestką i oficjalnie ogłasza ich nazwiska w mediach społecznościowych, a o Louise Wilson pisze szczególnie życzliwie i twierdzi, że „jej twórczość należy śledzić”). Jedzie Q z Coney Island. (Beowulf Marmont rozwodzi się po pijaku, jak to niektórzy uważają się za nie wiadomo kogo tylko dlatego, że weszli do Piątki przed Trzydziestką, a tymczasem celem niektórych głośnych nominacji jest jedynie zadowolenie przedstawicielek pewnej emocjonalnej estetyki literackiej, niemającej nic wspólnego z prawdziwym pisarstwem).

Dojeżdża aż do Czterdziestej Drugiej. (Athena Maidenhead właśnie zaręczyła się z Mikiem, tym z opery, i pokazuje wszystkim wielki pierścionek, który cudownie lśni w światłach MacIntyre; widać to na filmie).

Wszyscy wokół są pijani. I rozkrzyczani. Wszędzie widać wymioty, konfetti, brokat i frędzelki, porzucone kieliszki z datą 2016, ulicznych kaznodziei z tabliczkami. (Cordelia wstawia na Facebooka dostępny dla wszystkich długi post, który zaczyna się tak: „Kiedy to przeczytacie, pomyślicie, że oszalałam. Nie jestem szalona. Moja siostra nie żyje. Zabiła ją Louise Wilson”).

Konie policyjne są jeden po drugim ładowane na furgonetki. Australijscy turyści śpiewają *Auld Lang Syne*.

(Hal pisze do nich obu, Louise i Lavinii, że Cordelia przeżywa typowe dla Williamsów załamanie nerwowe i pewnie połknęła garść xanaxu, który doprowadziła mamusi, więc może cała ta przeklęta rodzinka uporałaby się wreszcie ze swoimi problemami,

co?

Jeśli Lavinia odpowie: „dobra”, kupi Louise trochę czasu).

„Hej. – Mimi nawet nie zauważyła, że Louise nie ma już na parkiecie. – Gdzie się podziałaś?”

„Jesteś tu jeszcze?”

Do tego emotikon z roztańczoną dziewczyną w sukience z lat dwudziestych.

Louise idzie do całodobowej drogerii przy Bryant Park.

Bierze farbę do włosów i byle jakie ciuchy – czarne legginsy, biały T-shirt, zwyczajne rzeczy, które nie rzucają się w oczy.

Nie ma już żadnych pieniędzy, więc po prostu kradnie.

Tego też nikt nie zauważa.

Wchodzi do publicznych łaźni w Bryant Park, tych przyjemnych, w których mają nawet kwiaty. Zamyka się w kabinie.

Zdejmuje przemoczone ubranie.

Spłukuje z siebie sól i krew.

Myje w umywalce włosy.

Otwiera pudełko z farbą. Wkłada rękawiczki.

Woda ciekąca między jej palcami jest ruda.

Wciąż ktoś dobija się do drzwi, i to głośno (oczywiście, że się dobijają; jest Nowy Rok, to środek miasta i ludzie, którzy spędzili całą noc na dworze, muszą się wysikać), ale Louise nie zwraca na to uwagi; ma to gdzieś; patrzy ze skupieniem w lustro, mija pół godziny, a ona wciąż tam stoi, naga, spoglądając na siebie i na fałszywy dowód tożsamości jakiejś dwudziestotrzyletniej rudej

dziewczyny, Elizabeth Glass, która przede wszystkim pewnie nigdy nie istniała.

Z rudymi włosami Louise wygląda zupełnie inaczej.

Jest jakby bledsza. Ma jakby wyższe kości policzkowe. Już nie robi takiego wrażenia jak wcześniej, kiedy miała włosy w kolorze blond, jak Lavinia. To już nie typ dziewczyny, którą byś poderwał na ulicy. Nie wyłowilibyś jej z tłumu, nie odwróciłbyś się za nią.

Mógłbyś zobaczyć ją na ulicy i nie poznać.

Louise powinna być przerażona. Może i jest, bo Lavinia nie żyje, Rex nie żyje, jego ciało unosi się na wodzie, a jej gnije w kufrze na dnie East River, ale nie ma już na tej ziemi sprawiedliwości, która by wymierzała karę, więc jedyne, co musi zrobić, to udawać kogoś innego, to najlepsza i najgorsza rzecz na świecie. Louise przecież zawsze tylko tego pragnęła.

„Dziś – mówi sobie – jest pierwszy dzień reszty twojego życia”.

„Ej, ty! Wszyscy musimy się wysikać!”

Przedziera się wśród nich.

Telefon Lavinii, rozbity, spoczywa w śmieciach.

Jest ranek. Na Times Square wciąż mnóstwo ludzi.

Louise idzie szybciej, coraz szybciej, Cordelia pisze na Facebooku: „Nie postradałam rozumu. Moja siostra nie żyje”, i wszyscy jej znajomi z Exeter radzą życzliwie, żeby się uspokoiła, zapewniają, że może do nich zadzwonić, jeśli potrzebuje; i przyjdzie taki moment, że zajrzy do telefonu i wśród tych

wszystkich wyrazów współczucia pod swoim postem zobaczy także lajka Louise Wilson, ale gdy kliknie w jej profil, przekona się, że nie ma kogoś takiego.

Louise nie może tego schrzanić, bo zrobiła już wszystkie najgorsze rzeczy i pewnie nikt nigdy więcej jej nie pokocha, i dobrze zresztą, bo po co podkładać ogień pod swój dom, jeśli nie po to, żeby go spalić; może ją znaleźć, a może nie, ma jednak nadzieję, że jeśli komuś się uda, to temu, kto na to zasługuje.

Chciałaby, żeby była to Cordelia.

Ma dolara i czterdzieści sześć centów. Fałszywy dowód tożsamości. Jedną zmianę czystych ciuchów i kasztanowate włosy, tak ciemne, że prawie fioletowe.

Nie ma natomiast telefonu.

Idzie dalej, wkracza na Times Square. Szybko stawia kroki. Zagłębia się w tłum i musimy wykręcać szyje, żeby nie stracić jej z pola widzenia, bo w mieście jest mnóstwo ludzi, wielu z nich ma fioletowe albo kasztanowate włosy, sporo z nich to białe kobiety mierzące metr sześćdziesiąt pięć, dość szczupłe, sprawnie się poruszające, w czarnych legginsach, białych T-shirtach i ciemnych, nędznych płaszczach – a potem Louise albo któraś z nich skręca za róg, przecina ulicę i znika nam z oczu.

Podziękowania

Ogromnie dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki: agentkom literackim Emmie Parry i Rebecce Carter z Janklow and Nesbit za wiarę we mnie, cierpliwość i pracę włożoną w kształtowanie pierwszej wersji *Obsesji* oraz za stałe przypominanie mi, że najważniejsze to opowiedzieć dobrą historię, a o resztę można się martwić później.

Swojej wspaniałej redaktorce Margaux Weisman, której bystre oko i zawodowe zacięcie pozwoliły mi spojrzeć na tekst świeżym wzrokiem i dokonać w nim poprawek, oraz całemu świetnemu zespołowi Penguin Random House i Doubleday, który tak zadbał o piękny wygląd tej książki, że niemal boję się wziąć ją do ręki.

Dziękuję Simonowi Worrallowi, swojemu mentorowi, który od razu skierował mnie na właściwą ścieżkę!

I szczególne wyrazy wdzięczności dla Briana McMahona, który od 2009 roku cierpliwie czytał kolejne (i kolejne) wersje tej historii i którego wiara oraz przewodnictwo pomogły nadać jej kształt. Zawdzięczam tę powieść Tobie – i bardzo się z tego cieszę.

- 1) William Szekspir, *Makbet*, w przekł. Leona Ulricha (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↵
- 2) *We were very tired... we were very merry...* – pierwsze słowa wiersza *Recuerdo* Edny St. Vincent Millay. ↵
- 3) Alfred Tennyson, *Ulisses*, w przekł. Zygmunta Kubiaka. ↵
- 4) Księga Amosa 5, 22, Biblia Tysiąclecia. ↵
- 5) Robert Browning, *Pippa przechodzi*, w przekł. Jana Kasprowicza. ↵
- 6) Walt Whitman, *Pioneers! O pioneers!* ↵
- 7) W.H. Auden *Ten, kto kocha bardziej*, w przekł. Stanisława Barańczaka. ↵